F. Werfel

TAJEMNICA CZŁOWIEKA

L.S.




14
CYKL: 25 ARCYDZIEŁ OSTATNIEJ DOBY
FRANCISZEK WERFEL
TAJEMNICA CZŁOWIEKA
K. HILLER
PRZEŁOŻYŁ MARCELI TARNOWSKI
Instytut Wydawniczy „Renaissance"

FRANCISZEK WERFEL

TAJEMNICA CZŁOWIEKA

1*

FRANCISZEK WERFEL
ZBIOROWE DZIEŁA

Już się ukazały:

Verdi
Powieść opery — przełożył L. Staff

Grzechy młodości
Powieść — przełożył Witold Bełza

Tajemnica człowieka
Przełożył Marceli Tarnowski

W druku:

Barbara
Powieść

Maksymiljan i Juarez

Instytut Wydawniczy „Renaissance“

FRANCISZEK WERFEL

TAJEMNICA CZŁOWIEKA

Z upoważnienia autora przełożył
MARCELI TARNOWSKI

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE"
WARSZAWA — POZNAŃ — KRAKÓW — LWÓW — STANISŁAWÓW

Okładkę tytułową wykonał Karol Hiller

DRUKARNIA VERNAYA SP. AKC.

BRAT I SIOSTRA

Nie czuła już bólów, kiedy spowita w biel leżała na noszach, na których miano ją zanieść do sali operacyjnej. Doznawała tylko jakiegoś obcego, jakiegoś gwałtownego współczucia dla swego biednego ciała, ale tak, jakby to było ciało nie jej własne, ale jakiejś innej kobiety. Gdy przenoszono ją obok lustra, pochwyciła Gabrjela odbicie swojej twarzy, swojej głowy, otoczonej (jak czepcem mniszki) białą przepaską. Zauważyła, że w białem jest jej do twarzy. Mimo straszliwej chwili przejęło ją jakieś bolesne upodobanie do siebie samej:

„Teraz nie jestem źle ubrana. Może nawet Judyta nia miałaby nic do zarzucenia...“

Lekarz asystent, który towarzyszył pochodowi, sądził, że chora chce mówić i nie może. Ujął więc jej rękę i pogłaskał. Gabrjela wtuliła się w prąd siły, płynący od tej zdrowej i jędrnej ręki.

Gdy byli jeszcze dziećmi, ona i jej brat, ręka Erwina tak często trzymała jej dłoń. Niespokojna i pożądliwa ręka chłopięca ściskała dłoń Gabrjeli, tuliła, syciła się nią, jak owocem...

Zaś ręka tego lekarza była tak spokojna, tak pewna. Gabrjela oddychała głęboko. Ręka ta niosła jej ulgę.

Oto leżała na stole boleści.

Siostry ostrożnie uniosły chusty, któremi była pokryta:

Jak paczka, w której znajduje się coś złamanego. Nie spoglądała po sobie, aby nie wiedzieć nic o owej okropności. I istotnie, nie wiedziała nic

o tej mocy, co ją zdruzgotała, jakgdyby nieszczęście stało się nie przed dwiema godzinami, lecz przed niezmierzonym czasem.

Wystarczało jej, że była tylko głową, tylko twarzą! A tak jasno, tak mocno nigdy jeszcze głowa jej nie żyła. Zupełnie nową, zupełnie nieznajomą była jej twarz. Gabrjela czuła to i radowała się nową pięknością, która na nią zeszła. Rzeźbiarskiemi dłońmi wymodelowały ostatnie godziny z jej rysów istotę jej istoty, której nie znała sama, a którą jednak teraz wyczuwała z dumną czcią.

A przytem: Dlaczego nie miała bólów? Powinnaby przecież mieć bóle nie do zniesienia! Czy też może na świecie nie istniały wogóle bóle, tylko lęk przed bólami?

Profesor długo i uważnie spoglądał jej w oczy, a i on, obcy człowiek, który widział ją teraz po raz pierwszy, i on dostrzegł to coś „nowego", czuła to, dostrzegł przemianę, jaka się w niej dokonała. Zaś to coś nowego jakby darzyło ją nieustannemi sympatjami. Wszyscy tutaj lubili ją. Profesor pochylił się nad nią czule:

— Czy pani ma krewnych w Berlinie?

Oczy Gabrjeli ślizgały się po bezkresnych polach śniegowych fartucha chirurga. Widziała zimę. Stała gdzieś wśród dźwięczącej okolicy. Wszystkie góry zawiane są od szczytu do dołu śniegiem — musiała myśleć — a przecież jest dopiero początek listopada. Na czarnem niebie płonęło słońce w kuli z mlecznego szkła. Zewsząd zbliżały się dzwoneczki trzód i sani...

Profesor powtórzył swoje pytanie jeszcze tkliwiej. Gabrjela uśmiechnęła się obcym dla niej uśmiechem. Nie zamierzała wciągać swego brata Erwina w tę smutną historję. Czekały go przecież inne sprawy, za kilka dni miał się odbyć jego

koncert, w niedziele musiał przyjmować gości, a reszta czasu wypełniona była zupełnie służbą dla Judyty. Gdyby miała umrzeć, dowie się o tem później, albo może i nigdy, co byłoby przecież najlepsze.

Gabrjela spojrzała profesorowi w okulary i milczała.

Naczelny lekarz wydał komuś ze swoich ludzi rozkaz:

— Proszę przejrzeć w biurze książkę telefoniczną i adresową, szukając tego nazwiska, tak samo, jak zrobiliśmy wczoraj w sprawach Statezky'ego i Barbera. Pacjentka nazywa się Gabrjela Rittner. Proszę też zadzwonić jeszcze raz na policję. Chciałbym otrzymać jak najdokładniejsze wyjaśnienie tego wypadku.

Gabrjela miała dość siły, aby się oderwać od krajobrazu śnieżnego. Jak głupi, jak głupi są ludzie, myślała złośliwie. Dlaczegóż Erwin miałby się nazywać Erwin Rittner? Ona sama dość przecież niechętnie nosiła nazwisko Rittner, chociaż z pewnością bywali gorsi mężowie, niż nieboszczyk radca dworu Rittner. Wyraz „policja“ był jej niemiły. Nagle przeraziła się: Niestety zdradziłam się ze swoim hotelem.

Żaden głos ludzki nie mówił już teraz. Tylko trzody i sanie sunęły po tym stole coraz bliżej. Ale Gabrjela nie chciała być tylko niemą i bezradną ofiarą. Chciała wiedzieć, wiedzieć wszystko...

Wolno spróbowała unieść głowę. Zobaczyła pokój. Lekarze dokonywali niezmiernie poważnych i milczących przemywań. Na szklanych płytach układano instrumenty. Straszliwe noże, obcęgi, nożyce, piły. Wszędzie brzęczał niebezpieczny metal. Drugie słońce opuściło się nagle z sykiem.

Wówczas Gabrjela krzyknęła, po raz pierwszy,

niezbyt głośno, jakby aż do śmierci musiała się zachowywać poprawnie.

Profesor stanął obok niej:

— Co się stało, dziecko? Tylko się nie bać! To pójdzie bardzo prędko. Nie będzie pani nic czuła.

Jeszcze raz, jeszcze ciszej, jeszcze lękliwiej krzyknęła Gabrjela. Nie krzyknęła z lęku ani z przerażenia, krzyknęła, gdyż stworzenie musi się dać poznać w swojej dzikiej samotności.

Stary pan zażartował:

— Gabrjela, to bardzo ładne imię. Więc odwagi, Gabrjelo!

Dał znak.

Wszystko było gotowe!

Asystent zbliżył się z maską:

— Proszę, niech pani oddycha bardzo głęboko!

Tak, chętnie będzie głęboko, głęboko oddychała. Teraz czuła dobrą maskę przed ustami i cała oddała się poważnej pracy oodychania. Wyraźnie pokazywała swoją pilność i gotowa była przypochlebić się tym panom przez swoją usłużność.

Głos profesora zagrzmiał niby łagodny, boski grom z nieba:

— Ciekaw jestem, jak długo pani wytrzyma... Niech pani liczy, moje dziecko! Raz... dwa...

Nietylko słowa profesora, wszystko było teraz gromem. Leżała w wysoko sklepionej katedrze z gromów:

— Niech pani liczy! Raz... dwa...

I Gabrjela usłyszała teraz własny jasny głos, nieznajomy, nieco płaski głos recytującego w szkole dziecka:

— ... Raz... dwa...

Raz, dwa, trzy! Raz..., dwa trzy!

Pociąg zmienia swój śpiew.

Co to znaczy! Gabrjela była przecież jeszcze przed chwilą w górach. Wdzierała się z wysiłkiem po złośliwej gołoledzi ścieżki. Pewnie przechadzka poobiednia...

Pociąg nie śpi już tocząc się. Energiczniej, gniewnie niemal wstrząsa budzącym się rankiem.

Śnieg?! Ależ nie, śnieg, to było przecież wczoraj! Dzieli ją od tego noc, a przedewszystkiem zasypianie. Cała podróż naokoło świata w zasypianiu. W pociągu nigdy się przecież inaczej nie zasypia.

Coraz gęściej rzucają się naprzeciw pociągowi grzmiące zwrotnice. Martwy grunt u dołu podryty jest tysiąckrotnie.

Naturalnie! Pociąg do Berlina! Ale teraz niepodobna już cofnąć podróży. Gabrjela wie, że jedzie do Berlina, aby przeżyć to nieszczęście, przez które teraz, w tej samej godzinie będzie może musiała umrzeć.

Nadszedł ten dzień, minęły poprzedzające go tygodnie radości, oczekiwania.

Szara twarz, która zajmuje miejsce przy oknie, odsuwa firankę: mgła poranna, sosny, domki dróżników! Prócz niej pięcioro jeszcze ludzi, siedząc prosto, spędziło noc w tym zaniedbanym przedziale drugiej klasy. Dlaczegóż wszyscy ci ludzie mają tę samą twarz? Nawet mężczyzny od kobiety niepodobna odróżnić. Gabrjela stara się z wysiłkiem przypomnieć sobie, czy czytała to

podczas podróży w jakiejś gazecie, że na obczyźnie twarze wszystkich ludzi wydają nam się jednakowe.

Teraz postacie te pod wstrząśnieniami jazdy kiwają się tam i sam i nie mogą się naprawdę obudzić. I pocóż się budzić? Spać można wszędzie, nawet w piekle tego zaduchu.

Nareszcie poznaje Gabrjela, skąd pochodzi ten słodkawy i zgniły zapach, który dręczy ją już od szeregu godzin: Bez skargi znosić musi zapach snu obcych ludzi, niemytych ludzi w zaniedbanym przedziale. Żadną miarą nie może powstrzymać oddechu, gdyż oddychanie jest właśnie jej obowiązkiem.

Gabrjela szuka w torebce flaszeczki z wodą kolońską. Ale co dziwna, flakon znikł. Natomiast torebka pełna jest igieł i szpilek, które kłują jej rękę, że musi cofnąć ją natychmiast. Co za nieporządek! Jakże się ma uwolnić od tego ohydnego zapachu?

„Czuję ludzkie mięso“, powiada się w bajkach. Ulubione zresztą wyrażenie Erwina.

Wszystko możnaby jeszcze znieść, gdyby Gabrjela wiedziała tylko, czego chce w Berlinie. Dlaczego nie czekała na odpowiedź Erwina? Boże! Leniwy jest do pisania, jak wszyscy artyści. Czy też jest tu jakaś inna przyczyna? August nie żyje już od szeregu tygodni. Ona, Gabrjela, jest sama na świecie, jest wolna i swobodna, gdyż jej pięcioletnia Erwina nie liczy się. Ale Erwin nie jest wolny i swobodny, nie jest sam na świecie. Żyje w zupełnie innej sytuacji. Ale co ma Gabrjela robić? Czyż można wyskoczyć z jadącego pociągu pośpiesznego?

Z jadącego pociągu pośpiesznego nikt wyskoczyć nie może, ale można nawet podczas przedstawienia

opuścić widownię kina. Gabrjela jest przez pewien czas przekonana, że siedzi w dusznem, cuchnącem kinie i musi znosić jakiś pouczający film. Gabrjela nie należy do ludzi, zabijających czas, nie lubi kina, płytkiego nonsensu marzeń kobiecych. Gabrjela całą siłą woli wmawia sobie, że nie śni. Oddzielająca szyba okna wagonu, do której przyciska czoło, uprzytomnia jej, że stoi na jawie w korytarzu wagonu.

Jak długo przejeżdżamy już obok brudnych ruin, obok surowych grodów ceglanych, obok olbrzymich hal ze ślepemi oknami? I to jest punkt centralny świata! Na parszywych murach pożarnych budynków rozciągają się powtorne napisy, ale Gabrjela jest zbyt zmęczona, aby odczytywać wszystkie te nazwy i reklamy. W nieskończonym szpalerze murów pożarnych znajdują się wyłomy. Nagłe szeregi ulic ukazują dżdżysty listopad, w którym setki złośliwych pojazdów rozdzielają masy ludzkie jak pianę za tramem okrętu. Mosty wybałuszają wzrok. Zaś woda kanałów wydaje się nie wodą, lecz czarną smołą, w której tkwią beznadziejnie statki i czółna.

Osiem lat nie widziała brata: Czy to nie dostateczny powód, aby jechać do Berlina! Kiedyż była z nim po raz ostatni razem? W szpitalu polowym w Kołomyi, wówczas, gdy odwiedziła rannego i żebrała u wszystkich lekarzy i generałów, aby go przeniesiono. Od tego czasu spotkali się tylko krótko i przelotnie. Osiem lat leżało między nimi i zakurzona atmosfera jej małżeństwa z Augustem... Ale teraz August nie żył. Dostateczny powód!

Jadna szara twarz po drugiej podnosi się w przedziale i zdejmuje swój bagaż z siatki. Zjadliwe i bezwzględne linje otaczają kwaśne usta. Nic się przed Gabrjelą nie ukryje. Ale sąsiedzi nie zaszczycają jej ani spojrzeniem, nikt jej nie pomaga. Domyśla

się, że jest dla sąsiadów niewidzialna. Bezwładnemi rękoma zdejmuje teraz sama swoją walizkę i małe pudło do kapeluszy. Więcej przy sobie nie ma.

A gdy bierze do ręki swój bronzowy raglan, przychodzi jej na myśl:

— Czy Erwin będzie mnie oczekiwał?

Ale natychmiast wie odpowiedź:

— Erwin nie oczekiwał mnie.

Jak eterem zalewają pytanie i odpowiedź jej ciało. W jednej chwili spala się na lód.

— Ile sztuk bagażu?

Tragarz, o złośliwie toczących się oczach, miga przed twarzą Gabrjeli:

— Raz... dwa?...

Gabrjela liczy posłusznie:

— Trzy... cztery... pięć...

Rozgoryczony człowiek odchodzi od niej.

Ale ziemia dworca Anhalckiego wydaje się niby trottoir roulant. Gabrjela, u której rąk zwisają bez wagi dwie sztuki jej mienia, nie potrzebuje poruszać nogami. Tak samo nie potrzebują tego robić wszystkie te szare twarze, których jest teraz wieleset. Miasto łyka ludzi w najdogodniejszy sposób zapomocą instalacji ssącej. Lecz szare twarze udają, jakoby musiały same dążyć naprzód z dziarską siłą, gdy przecież w istocie cały ten wir obsługiwany jest automatycznie. Zdradzają oni gotową do natarcia i zaciętą energję, podbródki ich przesadnie wysunięte są do przodu i tylko karki mają barwę; są dziecięco-różowe.

O, jak bystro obserwuje Gabrjela, chociaż jest śmiertelnie znużona, chociaż wielka trwoga przytłacza ją niewypowiedzianie. Że Erwin nie oczekuje jej (nie stoi też tam, poza przejściem kontrolnem), to już rzecz zrozumiała. Przychodzi się po ludzi na dworzec w Salzburgu albo w Wiedniu. Tutaj nie!

Jedyną istotą wśród tych wszystkich ludzi, nie poruszaną mechanicznie, lecz używającą nóg do stukających kroków, jest jakaś dama, która wysiadła z wagonu sypialnego. Dama ta nosi ciężki, kosztowny płaszcz nurkowy, a za nią sapie wieża pakunków.

Gabrjela nie odwraca zmysłów od obłoku futra i perfum, w jakim kroczy zjawa tej kobiety. Czy to może być Judyta?

Coś pada jej ciężko na serce. Jej własny płaszcz, bronzowy, niezbyt już nowy raglan. Wstydzi się swojej ubogiej garderoby.

Obłok perfum zmienia się w opary asfaltu i benzyny.

Szofer budzi Gabrjelę.

— Dokąd, panieneczko?

Gabrjela wymienia jedyną ulicę, jaką zna, adres Erwina:

— Hohenzollernstrasse.

I w tej chwili słyszy obok siebie rozradowany okrzyk:

— Proszę zapisać Hohenzollernstrasse, panie kolego!

Szofer podnosi głos, jakby musiał pertraktować z osobą głuchawą:

— Numer, panienko!?

Gabrjela lęka się, że zdradzi tajemnicę. Ale cóż jej to pomoże, otrzymała przecież rozkaz liczenia. Liczy:

— Jeden... dziewięć... siedem!

Znowu zadowolony okrzyk obok niej:

— Zapisać!

Zaś szofer, aby jej ułatwić pracę, zaczyna teraz, podczas nakręcania motoru, śpiewać liczby, jakby to była pieśń:

— Osiem... cztery... dziesięć... sześć...

Gabrjela podciąga kołdrę aż po szyję. Nie spała, lecz udawała tylko sen, aby pozbyć się krewnych, którzy uwzięli się dotrzymywać towarzystwa wyczerpanej długotrwałą pielęgnacją wdowie. Tak, ma rzetelne prawo leżeć w łóżku. Gdyż przed półgodziną zabrano zmarłego radcę dworu Augusta Rittnera, aby zawieźć go na miejsce wiecznego spoczynku.

Gabrjela ma jeszcze w uchu własny łaknący samotności głos, jakim prosiła czuwające szpiegówki, aby ją pozostawiły samą. A teraz jest sama!

Natychmiast wyskakuje z łóżka i przeciąga się. Przed minutą jeszcze sądziła, że rozstanie z Augustem nie przyjdzie jej łatwo, gdyż strata jest stratą, chociaż to nawet tylko strata przyzwyczajenia. Osiem lat przyzwyczajenia i dwa tygodnie nieustannej pielęgnacji (co do pielęgnacji, to rzeczywiście nie ma sobie nic do zarzucenia), to ostatecznie naprawdę potęga. Ale dlaczego ta potęga teraz wygasła tak zupełnie, że nie pozostało po niej nic, prócz wyzywającej pychy, którą Gabrjela ledwo może opanować?

Stuka w niej oczyszczone uczucie zupełnego początku. Pierwsza rzecz, jaką robi: wydobywa suknię, której przez długie lata nie ruszała. (Niech ubranie żałobne wisi dalej na poręczy krzesła przy łóżku!) Zaś suknia ta, którą Gabrjela wkłada teraz, to barwny, fantastyczny strój poranny.

W tej chwili owdowiała pani radczyni Rittner czuje, że ma zupełnie prawo włożyć tę powiewną i niedbałą suknię poranną. Gdyż po pierwsze nie żyje jej mąż, który nie godził się z niezwykłym charakterem tego stroju, po drugie nie ma ona jeszcze dwudziestu dziewięciu lat, a po trzecie jest sama w domu, gdyż oddała swoją małą Erwinę

do przyjaciół, aby duszyczka dziecka nie poznała śmierci.

Gabrjela jest istotnie sama w domu. Rodzina Hainzingerów, która zamieszkuje drugie piętro, w pełnym komplecie bierze udział w pogrzebie. August był poważanym i powszechnie lubianym sędzią, jak się teraz okazuje.

Dom! Gabrjela jest sama w tym domu, który przebiega teraz. Niegdyś należał on do jej wcześnie zmarłych rodziców. W mieszkaniu, w którem przeżyła osiem lat swego małżeństwa, podrosła jako dziecko. Nigdy nie oddaliła się ze swego świata jak Erwin.

Przebiega obok pokoju śmierci Agusta: Zamknięto go. Ostry zapach kadzidła i środków dezynfekcyjnych bije jej naprzeciw. Czyż ten mały, purytański pokój nie był niegdyś chłopięcym pokoikiem Erwina?

Stoi na schodach. Spogląda wdół. Stary dom! Wąski tor szyn prowadzi przez wjazd, wzdłuż bramy na dziedziniec. Od niepamiętnych czasów znajduje się w podwórzu skład materjałów aptecznych, z którego płyną fale zapachu kamfory, korzeni i spirytualij.

Wdzięczna muzyka stuka i stuka. To małe, jasne młoteczki złotnika, którym Erwin i Gabrjela tak często się przysłuchiwali.

Wszystko jak dawniej, jak niegdyś!

Ale dla Gabrjeli nie jest to jak dawniej, jak niegdyś, gdyż od niepamiętnych czasów, poprzez długie lata swego małżeństwa, przechodziła przez ten dom bez spojrzenia, jak obca...

Teraz jednak bierze je (to dawno utracone mienie) znowu w posiadanie. Teraz zbiega i wbiega po schodach. Wicher towarzyszy jej pędowi. Zgubiła pantofle. Cudowne to uczucie dotykać bosemi stopami zimnego kamienia i zimnego drzewa.

Pęd jej mija mieszkanie rodziny Hainzingerów i zatrzymuje się przed otwartemi drzwiami strychu. Strych, tęsknota i dreszcz każdego dzieciństwa! Ale nawet gdy jakiś rozdział życia jest zakończony, chce się robić porządki i szperać po szufladach. Ciągle i zawsze dzieciństwo! A teraz ona sama ma już pięcioletnie dziecko.

Lekkiemi stopami posuwa się Gabrjela w mroku. Jakiś otwór rozjaśnia tam zakratowany kwadrat. Uskrzydlone jej ciało bez ciężaru przemyka się między kuframi, pudłami, skrzyniami, lustrami.

Lustra! Dlaczego ich nie zawieszono, gdy przecież przed godziną jeszcze leżał w domu zmarły? Ta myśl przygnębia ją nieco.

Stoi teraz przed jakimś stołem. A na tym stole widzi pokryty kurzem i nieuszkodzony wielki teatr marjonetek, który był największą radością jej i Erwina. Rozpoznaje kulisy poszczególnych scen, dzikie, sękate kształty drzew lasu i fantastyczne draperje sal tronowych, które zrobili oboje laubzegą. Bojaźliwie zaostrzonemi palcami, które lękają się kurzu dziesięcioleci, wydobywa figurki: Genowefa i Golo, Kacper, Maks i Rinaldo.

Ale między figurki dostała się nagle jakaś fotografja. Portret babki. Gabrjela nie śmie spojrzeć w oczy portretu, jakgdyby sfotografowana kobieta mogła poznać coś, czego Gabrjela nie chce zdradzić. Zdaje się jej też, że nie jest już na strychu, lecz w ciasnym, ciemnym domku ogrodowym. Z zewnątrz słychać igrającą wodę. A potem wydaje się, jakby ktoś obok niej oddychał. Ale to nie przystoi. Gabrjela umyka z zamkniętemi oczyma.

W swoim pokoju zastaje najweselsze słońce popołudniowe. Spuszcza rolety. Jak dziwnie pusta jest ulica! Ale naprzeciwko otwarte są okna, a Gabrjela nie chciałaby być przez nikogo obserwowana.

Przed lustrem próbuje długiego, trelującego

uśmiechu, tylko żeby się przekonać, czy nic w niej jeszcze nie zardzewiało. Ale taniec, którego próbuje teraz, przerywa po kilku krokach. Pod tym względem wydaje się sobie zacofaną i niezręczną.

Nagle spostrzega, że trapi ją wielki głód. Nie jest to właściwie prawdziwy głód, tylko dziki, podrażniony apetyt. Biegnie do swojej skrzynki, w której przechowuje niekiedy jakiś owoc albo słodycze. Co za niespodzianka! Znajduje mnóstwo najlepszych bombonierek i koszyczek z cukrzonemi owocami. Któż ją tak hojnie obdarował? August nie był tego rodzaju człowiekiem, a wśród jego kolegów z pewnością nie znalazłby się kawaler, zdolny do takiej potajemnej uprzejmości.

Gabrjela rzuca się na słodycze. Najpierw próbuje owoców południowych, potem zaczyna pożądliwie objadać się cukierkami czekoladowemi.

Pochłonięta rozkoszą słodyczy, nie spostrzega otwierających się drzwi.

Ale drzwi otwierają się i stoi w nich August, radca dworu, jej mąż.

Zmarły nie jest zbyt wyniszczony swą uciążliwą podróżą. Tylko puszek na jego łysinie zwichrzył się nieco, koszula frakowa wysunęła się z kamizelki, białe rękawiczki glacé nie fałdują się na dłoniach.

Gabrjela czuje krwisty rumieniec na twarzy, gdyż zmarły przyłapał ją na łasuchowaniu. Sztywno przyciska się do skrzynki.

Radca dworu nie próbuje przekroczyć progu. Otwarte drzwi wystarczają mu w zupełności. Mówi głosem lekko przyśpieszonym, jakby się obawiał, że się spóźni na rozprawę:

— Naturalnie znowu zapomniałem teczki. Wiesz, ta bronzowa teka do akt...

Gabrjela stara się dać do zrozumienia, że skłonna jest poszukać zapomnianej teczki.

Oddech zmarłego usiłuje ukryć lekki atak astmatyczny niecierpliwości. Niedbałe znaczenie leży w jego słowach:

— Nie sądzę, aby teczka znalazła się w moim pokoju.

Gabrjela z wysiłkiem zdobywa się na sceptyczne spojrzenie dokoła, które wysyła na pokój, aby wyrazić swoje powstąpiewanie, czy przedmiot ten znajdzie się u niej.

Zmarły potrząsa głową z zagniewaną ironją:

— Moja kochana Bielo, któżby mógł o tem wiedzieć, jak nie ty?

I znudzony kiwa ręką:

— Dajmy pokój teczce! Twoją będzie rzeczą dostarczyć dokumenty. Ja jednak nie lękałem się drogi, aby cię ostrzec!

Gabrjela czuje kanty skrzynki w ciele. Zmarły, któremu się już widocznie nie śpieszy, mówi bolesnym głosem:

— Przedewszystkiem muszę cię ostrec przed Erwinem!

Przerywa sobie, gdyż jest zmęczony i musi skupić siły. Po chwili:

— Twój wybitny zmysł rodzinny — może sama o tem nie wiesz — zatruł nasze małżeństwo. Niedość, że w wyrafinowany sposób rozłączyłaś mię z moją biedną matką, ale nadomiar, kochana Bielo, na każdym kroku okłamywałaś mię, zdradzałaś...

Gabrjela daremnie usiłuje krzyknąć. Ale zmarły nie daje się zbić z tropu:

— Gdybyś mię była zdradzała z kochankiem, z jakimś młokosem, przysięgam ci, Gabrjelo, nie powróciłbym, pogodziłbym się z tem. Chociaż nigdy o tem nie mówiłem, nie minęła jednak ani godzina, w którejbym sobie nie uświadamiał, że jesteś o dwadzieścia pięć lat młodsza ode mnie...

Zmarły użycza Gabrjeli krótkiego czasu na skupienie się. Udaje się jej też zawołać:

— Pielęgnowałem cię, dziesięć nocy nie spałam...

Tak słabą obronę usuwa zmarły ruchem ręki. Ciągle jeszcze jest raczej smutny niż zagniewany:

— Swoją skąpą pensję ośmiu miljonów koron oddawałem ci co miesiąc do grosza. I z tego naszego skąpego chleba kradłaś pokaźne sumy, aby je posyłać swemu bratu, temu cyganowi bez sumienia, temu Erwinowi. Gdybym podczas ciężkich lat otrzymywał do jedzenia więcej mięsa, może oszczędzonym byłby mi przedwczesny zgon...

Zmarły upewnia się, że Gabrjela nie waży się na sprzeciw. Potem zaś z trudnością tylko hamuje gniew w głosie:

— Wyłącznie dla tego wyznania przychodzę, Gabrjelo. Nie zniósłbym wieczności, gdybym wiedział, iż ty się radujesz, że mnie oszukałaś. Nigdy nie mówiłem ani słowa, ale teraz wiesz przynajmniej, że ja wiem wszystko! Gdyż nie jestem aniołem. Jestem zupełnie przeciwnie — twojem zdaniem — człowiekiem suchym, prawnikiem, starcem, niezdolnym już do radości. Ale jednem dzięki Bogu nie jestem, nie jestem Erwinem, nie jestem tchórzliwym zdrajcą...

Wówczas Gabrjela znajduje w sobie potężny głos:

— Erwin jest wielkim artystą!

Zmarły szydzi, choć w postaci jego ani ubiorze nic się nie porusza:

— Wielkim artystą!... W waszej rodzinie grasuje właśnie genjusz!... Twój ojciec był także wielkim karciarzem, twój brat jest wielkim skrzypkiem, a ty jesteś wielką kuglarką!

Wówczas Gabrjela słyszy własny rozpaczliwy głos:

— Chociaż powracasz z zaświata, Auguście, jesteś i będziesz...

— Czem? — grzmi ku niej, a tak straszliwie, że Gabrjela poczyna skomleć.

Ale teraz, po raz pierwszy, zmarły zaczyna się poruszać. Szyja jego nabrzmiewa z wściekłości, aż kołnierzyk pęka, ręce kiwają się nieopanowane, a koszula frakowa wysuwa się coraz wyżej i wyżej. Kilka razy próbuje, podrzucając nogi, zrobić krok naprzód i dostać się do pokoju. Wreszcie udaje mu się przekroczyć próg. Poczyna się zbliżać do Gabrjeli, która nie ma gdzie uciekać. Coś dyszy przytem z niego:

— Czyż w tej opuszczonej od Boga republice nawet śmierć nie jest już autorytetem?! Ubolewam, że cię nigdy nie biłem...

Coraz bliżej zatacza się zmarły ze straszliwie pracującemi członkami. Coraz gwałtowniej dyszy:

— Już ja cię nauczę autorytetu śmierci!... Żono!...

A teraz:

— Uklęknij przede mną!

Z wrzaskiem pada Gabrjela na kolana. Zmarły opanowuje się, spuszcza głowę, milczy. Czy myśli o swojej starości, o jej młodości, o straconych latach? Czy cierpi przez tę pierwszą brutalność wobec niej?

Nagle rozlega się w nim głęboki szloch, i on pada ciężko i bezgłośnie na kolana.

Teraz Gabrjela i zmarły cicho klęczą naprzeciw siebie.

Policjant ciągle jeszcze nie daje wzniesionem ramieniem znaku przejazdu dla samochodów, których kolumny narastają coraz gęściej i coraz niecierpliwiej.

I Gabrjela jest niecierpliwa aż do rozpaczy. Nie może dzisiaj znieść wszelkiego czekania i przeszkód. Ale jakże się cieszy, gdy profesor siada obok niej w aucie. Profesor uśmiecha się:

— Więc ciągle jeszcze nie śpimy? Mamy tak wielką siłę oporu?

W obecności lekarza odczuwa Gabrjela znowu ową poddańczą niemal usłużność:

— Czy mam liczyć od początku?

Profesor uspokaja ją z wyrozumiałością poczciwego człowieka:

— Mamy przecież czas. Możemy jeszcze trochę poczekać. Puls jest dobry. (Prawda, panie kolego?) ... A dokąd zamierza pani teraz jechać, pani Gabrjelo?

Gabrjela wymienia oczywiście Hohenzollernstrasse.

Profesor ostrzega:

— Ależ dziecko, teraz przecież o wiele za wcześnie jeszcze na wizytę. Nie może pani przecież wyciągać ludzi z łóżka. Zwłaszcza u krewnych ładnieby pani wyglądała! Niech pani pojedzie do hotelu. Niech się pani wyśpi! Podróż nocna nadweręża nerwy...

Gabrjela przechyla się wtył. Szczęśliwa jest, że ktoś myśli i kłopocze się za nią.

W polowoszarym mundurze wojskowym stoi portjer małego hotelu „Zajazd Austrjacki". Prastara, prasurowa jest jego twarz.

— Zanim poprowadzę damę do pokoju, muszę damę z obowiązku przesłuchać.

Palce Gabrjeli drżąc szukają paszportu. Surowy portjer oświadcza:

— W naszym hotelu zatrzymuje się wyłącznie publiczność austrjacka. Dama zrozumie...

Gabrjela nie znajduje paszportu. Urzędowy głos nie przestaje mówić:

— Dama będzie musiała wyjaśnić, w jakim celu przybyła do Berlina.

Gabrjela szepcze w poczuciu winy:

— Mój brat...

Szara twarz po raz pierwszy otwiera oczy. Oczy te wiedzą wszystko:

— Nazwisko brata?

— Erwin.

— Ile lat?

— O rok młodszy...

— Oczywiście żonaty?

Gabrjela czuje z niechęcią, że potwierdzenie to czyni jej głos lękliwym:

— Tak! Żonaty! Od trzech lat! Z panną Judytą Maimon!

Portjer zdejmuje czapkę, aby mieć głowę wolną do zastanowienia się:

— Podejrzana sprawa. Dama będzie musiała przyrzec, że nie dojdzie do jakichkolwiek przykrości.

Gabrjela zastanawia się: Tak blisko za frontem trzeba nietylko znosić niewygody, ale narażać się jeszcze na niemiłe pertraktacje. Ciągle jeszcze przeżywamy wojnę. Odległa wrzawa jest pewnie ogniem artyleryjskim. Gdybymż się tylko dostała do Erwina...

Człowiek w polowoszarym mundurze ostrożnie i powoli zapala jakąś latarnię, której światło pozostaje niewidoczne w jasnem słońcu, i idzie naprzód.

Korytarze hotelowe ciągną się daleko w zupełnej ciemności. Kroki idącego przodem portjera stają się coraz krótsze i coraz bardziej brzęczą ostro-

gami. Droga zmienia się. Prowadzi przez zabłocone ścieżki wiejskie, obok zbombardowanych domów, obok długich wężów i pęków zakurzonych, uśmiechających się żołnierzy.

Gabrjela ma wrażenie, że musi paść pod ciężarem swoich dwóch małych pakunków.

Jak długo jeszcze?

Słyszy jakiś głos za sobą:

— Niech szanowna pani pokojnie zostawi rzeczy. Już ja to później przyniosę.

W zuchwałem i szyderczem brzmieniu tego głosu kryje się wróg, złodziej. Dłonie Gabrjeli ściskają rączki i resztkami sił wloką pakunki dalej. Wlecze przecież to, czegoby nikomu nie powierzyła, podarunki dla swego brata.

— Erwin!

Oczy brata patrzą nieruchomo, rozszerzone. Ciągle jeszcze odbija się w nich martwe i poszarpane niebo codziennego ognia huraganowego.

— Erwin!

Gabrjela siedzi na surowo ociosanem krześle przy łóżku brata. Ręka jej dotyka tkaniny bluzy oficerskiej, wiszącej na oparciu. Twarda jest od krwi. Sala rannych rozciąga się nieskończenie aż do pagórkowatego horyzontu. Za najdalszemi obozami widzi Gabrjela czerwono zachodzące słońce.

— Erwin!

Ranny wydaje okrzyk. Chudemi ramionami przyciąga do siebie siostrę, obejmuje ją:

— Ratuj mię! Jesteś tutaj, Gabrjelo! Ratuj mię! Tylko nie wracać znowu! Tylko nie w pole...

Miażdży jej rękę. Przyciska potarganą głowę do jej piersi, jakby chciał wniknąć w nią, ukryć się w życiu jej życia. Gabrjela czuje, jak zęby jego

szczękają, pot lęku jego czoła przenika przez jej cienką suknię i zimno zwilża jej skórę. Ona sama pochyla płaczącą twarz na jego wilgotne włosy. Ukryła twarz w soczystej łące. Te źdźbła, te włosy pachną tak mile. Pachną zupełnie tak samo, jak jej własne włosy, pachną tak poufnie jak jej poduszka, kiedy ją obejmuje we śnie. Wszystko jest obce, tylko ten zapach jest pokrewieństwem z ojczyzną. Teraz Erwin jest zupełnie przy niej. Teraz posiada go w cichej błogości. Jakże ją wzrusza, że ten dumny mężczyzna, który tak często pysznił się odwagą i siłą, jak dziecko czepia się jej teraz, drżący i bez kłamstwa.

Głaszcze go:

— Śpij, śpij, Erwinie, ja nie odejdę. Nie pozwolę się odpędzić od ciebie...

Brat bełkocze:

— Uratujesz mię... Gabrjelo, jestem tchórzem... Boję się śmierci... Każesz mnie superarbitrować...

Gabrjela chciałaby ukołysać rannego do snu:

— Nie bój się, Erwinie... Jestem przecież kobietą... Pomówię z tymi panami... Napewno cię uwolnię...

A on:

— Tak, a potem pojedziemy do domu... I zawsze będziemy mieszkali razem... Już ja zacznę zarabiać... W najgorszym razie zbiorę sobie orkiestrę kawiarnianą... To przecież nie hańba... A ty zostaniesz przy mnie zawsze...

— Śpij, Erwinie... Nie zmarnujesz się... Będziesz największym wirtuozem naszych czasów... Śpij...

On podnosi głowę:

— Słyszysz?

Cicha muzyka skarży się i ćwierka. Płynie ona z katarynki, którą jakiś inwalida pcha przed sobą. Ten białowłosy inwalida obnosi po krwawej i połowoszarej sali szpitalnej niebieski mundur dawno

minionych czasów. Ze znieruchomiałych jeszcze ciągle w grozie oczu Erwina migocze na bezwładnych skrzydłach śmiech:

— To przecież pan Radetzky... Pamiętasz jeszcze... Z Lans... Jezioro... gdzie byliśmy z babcią... Wtedy latem... Ogród...

Inwalida nie zwraca uwagi na dzieci, na rodzeństwo. Posuwa swą katarynkę naprzód i kręci korbę, między ciągami materaców, które pokrywają podłogę aż do horyzontu, i dalej, aż w zachód słońca. Gra na katarynce naprzemian „Boże, zachowaj“ i „O, mój miły Augustyn“.

Twarz Erwina staje się naraz zła:

— Czy ten twój August odda mi ciebie?

Gabrjela kurczowo ściska kolana:

— August nie żyje... Właśnie dwa tygodnie temu... Ale, jeżeli chcesz, Erwinie, August nie istniał nigdy...

Szorstki okrzyk rozlega się na sali:

— Wszystkie łóżka, baczność! Wizytacja!

Erwin kurczy się i szepcze:

— Barbarossa.

Grupa mężczyzn idzie od łóżka do łóżka. Na przodzie potężny Rudobrody. Nosi spodnie generalskie ze szkarłatnemi lampasami i biały płaszcz, obwieszony trzema rzędami orderów i odznaczeń. Za nim sunie kilka postaci, które mają dziwne, podobne do kagańców maski przed twarzami i których głowy nakryte są szaremi kapturami z otworami na oczy. Postacie te podobne są do średniowiecznych sędziów trybunału tajemnego. Na końcu idą dwaj żołnierze z nagiemi tułowiami, balansujący na ramionach czemś podłużnem i nieokreślonem. Gabrjela lęka się, że poznaje tę rzecz. Może to trumna, w której wyniesiony będzie zaraz ze szpitala jakiś żołnierz.

Barbarossa staje ze swymi panami przed łóżkiem Erwina.

Głos komendy:

— No, jak się pan czuje, panie podporuczniku?

Gabrjela śpieszy z odpowiedzią:

— Źle, panie generalny lekarzu sztabowy, źle! Gorączkuje.

Barbarossa wytrząsa z rękawa termometr i na chwilę dotyka nim czoła rannego. Potem trzyma go pod światło i odczytuje:

— Nic! Normalna!

Gabrjela mimo wszelkich wysiłków nie może ukryć w głosie lęku o Erwina:

— Zdaje mi się... Domowa opieka... Mogłabym go wyleczyć...

Barbarossa marszczy czoło:

— Żona?

Gabrjela milczy.

— Narzeczona?

Gabrjela nie może mówić.

Barbarossa nie czeka na odpowiedź.

— Zupełnie niewinny przypadek! Takie rany leczą się bez trudności w ciągu dwóch tygodni. Pan podporucznik może tutaj spokojnie czekać, aż będzie znowu zdolny do służby frontowej.

Gabrjela wstaje. Wie, że się straszliwie czerwieni. Wydobywa z siebie przeciągły uśmiech, którym owiewa zaczerwienione oczy Rudobrodego. Potem pokazuje zęby. Wie, że ma bardzo ładne zęby.

Barbarossa, który nagle nosi teraz frak i białą krawatkę, stuka obcasami:

— Czy mogę panią prosić o następnego walca?

Gabrjela posłusznie otacza go ramieniem. Kto to jest, zastanawia się. Przypomina sobie jedyny bal, na którym — nawpół jeszcze dziecko — była przed wojną. Wieczorek urzędników państwowych! Szepcze:

— Mój brat gorączkuje.

Barbarossa mruczy ochryple:

— Jak szanowna pani rozkaże.

Muzyka gra walca z „Wesołej wdówki“. Olbrzymia dłoń Barbarossy spoczywa uprzejmie i ostrożnie na plecach Gabrjeli. Ohydnie cuchnący potem mężczyzna tańczy staromodnie, wszystkie sześć pas walca. Podczas tańca czerwone jego wąsy często dotykają jej policzka. Słyszy jego konwersację:

— Szanowna pani, jestem nietylko Barbarossą, generałem i lekarzem... Odgrywam też w społeczeństwie rolę jako przewodniczący instytucyj dobroczynnych i jako wesoły gawędziarz. Przysłowiem mojem jest i będzie: Nie wykorzystywać niesumiennie żadnej sytuacji! Dlatego zbliżam się do dam rozmaitych panów zawsze tylko z najpoważniejszemi i najuczciwszemi zamiarami. Jestem nieograniczoną potęgą, ale nigdy nikogo nie zmuszam...

Gabrjela, która wbrew woli z wielką rozkoszą oddaje się tańcowi:

— Jutro zabiorę Erwina do domu.

Barbarossa zapewnia szarmancko:

— Ależ oczywiście! Jedną tylko maleńką formalność trzeba będzie załatwić.

Taniec staje się coraz szybszy.

Barbarossa mocniej przyciska tancerkę do siebie:

— Brat pani jest uratowany. Gdybym go posłał zpowrotem do okopów, z pewnością zginąłby śmiercią bohaterską. Taka śmierć bohaterska to jeszcze nienajgorsza rzecz: Opłakiwałaby pani swego Erwina jak boga. Ale on byłby pani... dzisiaj... w Berlinie nie sprawił rozczarowania.

Taniec wzmaga się, staje się coraz dzikszy. Gabrjela chce się wyrwać. Barbarossa szydzi:

— Współczesne tańce mniej zagrzewają, niż taki stary walc.

Zamaskowani kroczą po sali pod takt. Dwaj żołnierze, którzy niosą owo coś podłużnego i nieokreślonego, krążą wokół pary tancerzy.

„Moja trumna“, woła coś w Gabrjeli, „przecież jestem właśnie teraz operowana“.

Barbarossa przyciska ją do siebie coraz straszliwiej, aż Gabrjela traci oddech. Jest on niby płonący dom. Djabeł! Gabrjela wie, że djabeł jest rodzajem płonącego domu. O, jakże mogła wątpić w istnienie djabła, uważać szatana za straszak dziecięcy! Z czerwonych oczodołów Barbarossy buchają płomienie. Dym i swąd spalenizny! Gabrjela toczy się coraz gwałtowniej dokoła siebie. Teraz musi umrzeć od zawrotu głowy. Zaś djabeł podnosi ją wysoko i rzuca daleko przez powietrze.

Zostaje rzucona na plac Poczdamski.

Gabrjela lęka się śmierci. Chce szybko przekroczyć naprzełaj prąd ruchu ulicznego. W tej chwili policjant daje znak. Ze wszystkich stron warczą autobusy, samochody ciężarowe, luksusowe pojazdy, taksometry. W długiem, połyskującem, zbytkownem aucie widzi Gabrjela przy kierownicy damę w futrze. Gabrjela przeraża się: Judyta! Nieruchomo staje w ognisku ruchu i zamyka oczy — otaczają ją fale okrzyków, złorzeczeń, trąbek.

Cud ratuje ją tym razem.

W jakieś bramie odzyskuje dech. Głęboka ciemność!

Gabrjela wie, że śpi. Ale gwałtownie koniecznem jest, aby się wynurzyła na powierzchnię świata. Musi postawić pytania, które w niej płoną.

Z wysiłkiem skupia wolę, kurczy wszystkie mięśnie i odpycha wodę, jak się uczyła jako dziecko przy pływaniu.

Udaje się.

Leży na sali operacyjnej. Siwo-szczecinowata kula głowy profesora unosi się tuż przed nią. Gabrjela rozróżnia wszystko jasno, nawet mleczne szkło olbrzymich okien. Profesor grzmi w straszliwą ciszę:

— Odważnie! Szybciej!

Gabrjela wyrzuca z siebie pytanie:

— Czy mogę teraz złożyć swoją wizytę?

Profesor przypomina, nie odwracając głowy:

— Narkoza!

Do Gabrjeli zaś mówi żartobliwie:

— Zpowrotem, moje dziecko! Nadół!

Gabrjela śmieje się w duchu, jakby się jej udał dobry figel. Potem wsiada szybko do windy, która zjeżdża wdół.

Gabrjela dziwi się, że jedzie wgórę, a nie wdół. Ale oto stoi nareszcie przed drzwiami, do których przypielgrzymowała z tak daleka. Do piątej po południu odkładała wizytę, w niewytłumaczonem trwożnem przeczuciu i lękliwości, jakgdyby nie przybyła zobaczyć się z ukochanym bratem, lecz jako suplikantka... Erwin jest przecież żonaty!

„Nie wolno mi więcej wiedzieć, że śpię", pojmuje teraz, i: „Wszystko musi być rzeczywiste!"

Bóg wysłuchuje ją. Marmur ściany, szklana szyba drzwi, których dotyka, nie ustępują, nie przemieniają się. Słyszy dźwięk dzwonka, który naciska, tylko że dźwięk ten nie chce się skończyć, chociaż krótko dotknęła guziczka! Dźwięk dzwonka nie może się skończyć, czuje Gabrjela, gdyż instalacja dzwonka zmontowana jest przecież w jej własnym dołku podsercowym.

Pierwsze poniżenie spotyka ją ze strony służącego, który otwiera drzwi. Spogląda na nią zdumiony i stropiony.

„Czy to służący Erwina? Czy to możliwe, aby ubogi nauczyciel muzyki, Erwin, trzymał takiego pańskiego i surowookiego służącego?... Nie, nie, to z pewnością jej służący!“

Gabrjela nie śpi. Wszystko jest rzeczywiste. Pokój pozostaje ciągle ten sam. Myśl jej jest jasna i bystra, tak jasna, że wyraźnie odczuwa wrażenie, jakie wywiera na służącym: krawcowa, nauczycielka języków.

Podnosi kołnierz bronzowego raglanu, aby nie widać było jej twarzy, z której pięknej wytworności zupełnie zdaje sobie sprawę. Z przekory podnosi kołnierz. Nie chce uchodzić za coś lepszego, niż jej ubranie. Nie chce z nikim współzawodniczyć. Nie przyjmuje walki z wrogiem.

Wrogowie stoją grupami dokoła, przechadzają się po purpurowem przedsieniu. W znudzeniu spaceruje kilku panów, wyróżniających się albo monoklem, albo przez dumnie wzniesione czoła. Nazwiska, których znaczenia Gabrjela nie rozumie albo rozumie tylko częściowo, wbijają się w jej pamięć. Jessner, Furtwängler, Strawinsky! Z nazwisk tych płyną fale pychy i wyniosłości, przenikające ją dreszczem.

Mechanizm dzwonkowy w jej dołku podsercowym dźwięczy niezmordowanie. Gabrjela nie może przeciwko temu uczynić nic, tylko wstydzi się. (Trzeba odmontować serce.)

Ktoś zaprasza ją wyniośle do jakiegoś pokoju. Jest to wielka rupieciarnia, daleko na uboczu od pomruku towarzystwa, który musi słyszeć. Dlaczego stoi tam nadnaturalnej wysokości maszyna do szycia, niby obelga? Prawda: Lata wojenne i powojenne były ciężkie, a ręce jej stwardniały

niestety. Ale czy powinna się pozwolić upokarzać przez tę bogatą kobietę, która wynajęła sobie to luksusowe mieszkanie i jej brata do tego?

O, lepiej sprawić, aby to wszystko znikło.

Gabrjela tupie nogą i odpycha wodę. Ale tym razem nie pomaga jej to. Wszystko jest rzeczywiste! Nie śpi. I pełna zgrozy wie, że nie jest oszołomiona.

Erwin!

Gabrjela przenika wzrokiem twarz brata. Trzeźwiejsza niż teraz nie była nigdy. Stoi w tej nowej trzeźwości, niby wśród lodowato zimnych języków ognia jakiegoś tajemniczego stosu. Tak! To twarz Erwina! To twarz siedemnastoletniego chłopca! To twarz towarzysza zabaw! To twarz rannego podporucznika, którego wybawiła od wojny. Nic się nie zmieniło, nic nie postarzało się w tej twarzy!

Ale ona sama jest przecie tak zupełnie inna, tak niezwykle trzeźwa!

Trzeźwość jej wie:

Ludzie są siedliskami pogody, jak góry.

Wokół głowy Erwina zbiera się jakieś obce, zimne powietrze. Nieznane wiatry owiewają ją. Naraz stało się w pokoju lodowato, lodowate jest pobliże Erwina, za którem przez tyle lat tęskniła. Od z m i e s z a n i a jego opada termometr. A zmieszanie to jest daleko boleśniejsze, niż obraza.

Gabrjela uchyla policzek, tak że pocałunek muska ją tylko chłodno i niemile.

Erwin udaje radość:

— Więc jednakże przyjechałaś? Jak to doskonale!

Więc jednakże przyjechałaś? Przecież w telegramie swoim nie podawała swego przyjazdu w wątpliwość. W tej chwili dźwięk dzwonka w dołku podsercowym Gabrjeli urywa się nagle. Dźwięk ten był naturalną wrzawą świata. Teraz zaś szem-

rze w niej cisza, jakiej świat nie zna. Wsłuchuje się w nią. Ale cisza ta jest monotonną kolejnością odległych chórów; przypomina ziewające litanje podczas czternastodniowej modlitwy w małym kościołku. Chóry śpiewają.

„Jesteś moim bratem...“ — „Latem byliśmy w Lans...“ — „Laubzega i wypalanie na drzewie...“ — „Akompanjowałam ci do skrzypiec...“ — „Aby ci posyłać pieniędzy, okradałam Augusta pierwszego każdego miesiąca...“ — „Stałeś się, czem jesteś...“

Mówi, aby coś powiedzieć:

— Mój telegram.

Erwin rozgląda się zrozpaczony:

— Twój telegram, naturalnie! Strasznie chętnie byłbym cię oczekiwał na dworcu. Ale pojutrze mam pierwszy koncert w tym sezonie! Rozumiesz przecież, co to znaczy. Zresztą dzisiaj jest niedziela. W niedziele przyjmujemy zawsze gości.

Tłumaczenie to jest tak samo bolesne, jak owo zmieszanie. Gabrjela chce rozwiać swoją nową trzeźwością ten fałsz i szorstkość, które słyszy.

Erwin mówi coraz szybciej:

— Nie gniewaj się, Biela. Ale człowiek się zmienia. Sentymentalizmem nie ruszy się tutaj z miejsca. Być młotem albo kowadłem! Ale lepiej młotem! Trzeba się tego nauczyć, inaczej jest się odrazu człowiekiem wczorajszym. Berlin, Berlin, to już taka sprawa.

Cisza śpiewa:

„Odstępca!“ — „Zdradził cię, zdradził rodziców, zdradził dom, wszystko, czem ty jesteś, wszystko, czem on jest“. — „I nie potrafi już mówić swoim językiem“.

Gabrjela słyszy teraz własne słowa w ciszy, przesiąkłej skargami litanij:

— Odjadę, Erwinie. Ale nie kłopocz się więcej.

Gdyż muszę tylko tupnąć kilka razy, a już zniknę, już znajdę się zupełnie gdzie indziej, jeżeli zechcę, w domu. Nie sądzę jednak, abyś ty mógł kiedykolwiek powrócić do domu, Erwinie...

Erwin śmieje się fałszywym tonem. Wymowa jego brzmi jeszcze bardziej kurczowo i obco:

— Odjechać! Co ci na myśl przychodzi? Ogromnie się cieszę, że jesteś. Zaraz cię przedstawię towarzystwu. A potem zjemy razem kolację.

Dlaczego on mówi „kolację“? To przecież kłamstwo.

Ale już stoi Gabrjela w wysokiej komnacie, która wiruje wśród wielu ludzi...

Łagodnie wirują komnaty wokół Gabrjeli. Wyszukane przedmioty na ścianach prześlizgują się, jak w igraszce. Erwin, ubogi konserwatorzysta, zamieszkuje zbytkowny pałac. Ale ona nie może się tem cieszyć, gdyż ona jedna czuje, jak on cierpi przez swoje kłamstwo i odstępstwo.

Dlaczego Gabrjela nie może się teraz uwolnić? Dlaczego życie jej nie przeskakuje już od obrazu do obrazu? Dlaczego czas stał się tak powolny, powolniejszy, niż być powinien? Co się stało? Zegar boży spóźnia się. Bóg trzyma go bez końca na owej sekundzie, z której goryczy żadna nie zostaje jej darowana. Musi stawić czoła nieprzyjaciółce i nie może uciec.

Nieprzyjaciółka jest wyższa i szczuplejsza od niej. Ale Gabrjela spostrzega bystrym wzrokiem, że delikatna żółtawa skóra jej twarzy niedoskonale tylko ukrywa czarującą trupią głowę.

Judyta kołysze się i kręci przed Gabrjelą jak przed lustrem. Za każdym obrotem nosi nową suknię:

Czarną ze srebrem teraz, z brylantową kolją wokół wysokiej szyi...

Białą ze złotem w następnej chwili, ozdobioną puchem łabędzim, z powiewnym wachlarzem w ręku...

Jak wolnym jest czas, jak niewyczerpaną garderoba Judyty!

Wreszcie obraz nieprzyjaciółki nie zmienia się już. Pozostaje w jednej barwie. Jest to cudowny kolor amestytowo-lila, dostosowany do czarnych włosów, do ciemnego oka. Mimo wszystko nie może Gabrjela oderwać wzroku od tej barwnej rozkoszy oczu.

Judyta uśmiecha się:

— Może pani zdejmie palto?

Judyta mocno ściska ręką bronzowy płaszcz na ciele. Jakżeby go mogła zdjąć! Pod paltem nie nosi przecież nic prócz sukni nocnej, która jest małomiejska i staromodna.

Ironiczna twarz Judyty nie kryje przed nią, że wie ona wszystko, chociaż powiada teraz serdecznym tonem:

— Czy nie powinnyśmy mówić sobie ty? Jesteśmy przecież siostrami!

Ale pocałunek, jaki wymieniają, pełen jest niebezpieczeństwa.

Gabrjela mocno zaciska wargi, aby ani kropla jadu nie przedostała się do niej. Ale już płonie jej trucizna na ustach. Czy to się nazywa „jad szwagierki“ i czy można to kupić w aptece?

Siostra spogląda na brata, który bezgranicznie zażenowany unika jej wzroku. Teraz kryje się, jakby nieświadomie, za plecami Judyty. Tak! Superarbitrowany do małżeństwa! Niezdolny do służby frontowej! Ale gdyby Gabrjela mogła, możeby go teraz pchnęła na wojnę.

Erwin zaczyna z całej siły i zupełnie po uliczni-

kowsku gwizdać jakąś melodję. Gabrjela nie daje się oszukać. Zna to już. Zawsze gwiżdże, kiedy coś zbroi. A tym razem chce jeszcze dowieść przez to, że jest dość odważny, aby się o nic nie troszczyć.

Judyta rozkazuje:

— Erwinie...! Masz klucz od mego kuferka... Przynieś mi... Na co czekasz...? Wiesz przecież, co masz przynieść...

Erwin wybiega. Jasnem jest, że władczyni chce pokazać, jak posłusznie aportuje niewolnik. Wzdycha:

— Niezawsze było łatwo, kochana Gabrjelo. Między Erwinem a mną trzeba było przezwyciężyć tyle obcości. Pochodzimy przecież z innych światów. Ale teraz rozumie on nareszcie to, co najistotniejsze...

Erwin przynosi Judycie złoty rewolwerek. Czy to osobliwy przedmiot toaletowy rafinowanej kobiety, czy to broń, którą podaje mąż? Judyta robi znudzoną minę:

— Ciągle jeszcze nie wiesz, czego potrzebuję?

Erwin wybiega.

Szwagierka Gabrjeli orzeka:

— Brat twój ma cudownie piękny ton. Ale jest trochę leniwy i nie posiada energji. Wada wszystkich Austrjaków: krew muzykancka bez szpiku!

Erwin powraca obładowany. Niesie całe stosy pończoch jedwabnych, koronek i batystów. Judyta bierze mu z ręki sztukę za sztuką, a że nic jej nie odpowiada, rozsiewa je dokoła po podłodze. Erwin schyla się za każdym razem. Nareszcie piękna ma, czego chce. Kilka listów, nieotwartych listów, które zatrzymuje w ręku. Gabrjela poznaje na adresach swoje własne pismo. Jej listy do Erwina, nieotwarte!

Dlaczego zegar boży spóźnia się? Dlaczego czas biegnie tak leniwie, jakby pan Radetzky coraz wol-

niej kręcił korbę swojej katarynki? Dlaczego trzeba tak dokładnie przeżywać życie? A teraz to ciężkie, najcięższe tak dokładnie?

Erwin przyciska policzek do skrzypiec, nie inaczej niż dawniej. Wsłuchuje się w nastrój instrumentu, rumieniąc się i z przymkniętemi oczyma, jak czynił zawsze. Czy słyszy jeszcze żarty i poszepty dzieciństwa w szmerze boskiego drzewa? I czy to tyrolskie skrzypce Stainera, które podarowała mu w dwudziestą rocznicę urodzin po roku najbezwzględniejszej oszczędności?

Nie, te skrzypce — Stradivari albo Amati napewno — dała mu w prezencie Judyta jednem pociągnięciem pióra. Ale gdzie uszedł słodki ton starych skrzypiec?

Nie Gabrjela lecz Judyta siedzi przy fortepianie i surowemi palcami, którym nie zależy na dźwięku, uderza w klawisze.

Prawe ramię Erwina stało się nagle przeźroczystym prętem szklanym. Gabrjela widzi, jak w pręcie tym sunie naprzód granatowy, podobny do atramentu płyn i wypełnia go, aż ramię staje się znowu ramieniem. Silny jad judytowy. Smyczek drga w zatrutej ręce i gra rozpoczyna się.

Nie koncert Mendelssohna rozbrzmiewa, nie Czajkowski, Grieg, Schubert, żaden z tych utworów, z tych sonat, które Erwin i Gabrjela ćwiczyli niegdyś razem, lecz złośliwa i wściekła muzyka, muzyka Judyty. Czarownica stworzyła marzycielskiego zdrajcę (ach, kupiła go), aby przez talent jego wywierać zemstę. Zemstę na niej, Gabrjeli, na jej siostrzanej przeszłości, na jej duszy, na jej rodzicach i przodkach!

Naelektryzowane palce Erwina migają. Mściwe pasaże tłuką się po sali. Ostre chwyty przy podstawce skrzeczą jak wołanie o pomoc.

Ten kurczowy skrzypek nie wie wcale, że

prawdziwy Erwin w nim woła o pomoc. Ale jakże ma mu obezwładniona Gabrjela pomóc.

Zaś Judyta nie siedzi wcale przy fortepianie, lecz przy tablicy rozdzielczej jakiejś maszyny. Naciska akordy kontaktów, triumfalnie puszcza w ruch dźwignie pedałów. Erwin jest tą maszyną. Członkowana lalka, którą silny prąd wstrząsa i porywa tam i sam. Gabrjela czuje we własnem ciele uderzenia prądu, który tak niemiłosiernie podrzuca jej brata.

Jedynie imieniu Chrystusa i krzyżowi świętemu, którym się żegna, zawdzięcza Gabrjela, że jakaś słodka i niewidzialna wola wyprowadza ją stąd, pośród wszystkich tych przebiegłych ludzi, którzy mają tak samo mściwe i zjadliwe miny, jak ta muzyka.

Teraz wydaje jej się, że nareszcie, nareszcie jest sama w wielkiej, bezbarwnej przestrzeni, która nie jest domem i nie jest naturą. Ale natychmiast zmuszona jest pojąć, że nie jest samotna.

Zwróceni do niej plecami stoją tam Erwin i Judyta. Judyta nosi znowu inną suknię, a gronostajowy kołnierz świeci z jej ramion. Erwin pokornie skłania ucho ku władczyni. A Bóg, który tak okrutnie zwalnia czas, zmusza Gabrjelę do słuchania. Głos Judyty brzmi z obojętną surowością:

— Drogi przyjacielu, bądź ostrożny! Radzę ci, nie pokazuj się wiele z tą prowincjałką! Jest to osoba dość niepozorna, a przy swej ładnej blond niezdarności jest do ciebie przeraźliwie podobna. I jak ona jest ubrana! Ta siostra jest dla ciebie najgorszem tłem, jakie sobie można wyobrazić.

A Erwin, jej brat, jej kolega, jej Erwin nie opamiętuje się, nie oburza się, nie czerwieni się, nie jąka, ale mówi z niepojętym spokojem:

— Nie lękaj się, Judyto, już ja się jej w jakiś sposób pozbędę!

Gabrjela idzie wolno, oddychając cicho, naprzód w bezbarwną i pustą przestrzeń.

Ma wrażenie, jakby przeraźliwy ból oddzielił się od niej i ten ból i ona są teraz dwiema oddzielnemi rzeczami. Spokojnie niesie przed sobą to bezgraniczne cierpienie. Czy wolno jej będzie teraz spać?

Oko jej spoczywa na pachnącym silnie cyklamenie, który trzyma w ręku.

Teraz Gabrjela wie, że śpi.

Tylko we śnie sunie się tak lekko przez świat, tak mile jedzie się czółnem. Czy to jezioro w Lans? A któż wiosłuje? Pan Radetzky! Inwalida wylicza setki miejscowości i opowiada, czy zachowują się wobec niego chętnie czy opornie, opowiada, gdzie dostaje pieniądze, a gdzie tylko żywność.

Gabrjela zbożnie przysłuchuje się mruczącemu głosowi.

Ale przy najbliższej sposobności skacze już po żwirze ścieżki ogrodowej. Przez sekundę tylko dziwi się swoim podskokom, jakgdyby inny, doroślejszy chód odpowiadał jej bardziej. Próbuje też wykonać kilka spokojnych i równych kroków. Ale natychmiast poczyna znowu hasać. Po tem hasaniu i po kole, które toczy się przed nią, poznaje Gabrjela, że jest jeszcze widocznie dzieckiem.

Śmieje się głośno. Coś posępnego i skłębionego przychodzi jej na myśl, coś, co przeżyła, a czego nie umie odcyfrować. Tylko kolano tak strasznie ją boli. Podczas tej posępnej i skłębionej historji upadła i stłukła sobie kolano.

Ktoś skacze i hasa u jej boku. Ktoś ściska i miażdży jej rękę. Erwin mimo zakazu babci nosi nowe ubranko marynarskie, co martwi Gabrjelę. Erwin nie chce nosić starych rzeczy. Erwin jest „elegantem“. Babcia nazywa go hochsztaplerem. Dziwna, że Gabrjela wie dokładnie, jak Erwin jest ubrany, ale jego samego nie widzi, ani nie ma właściwego pojęcia o jego chłopięcym wyglądzie, podobnie jak o swoim.

Chociaż więc nie posiada obrazu Erwina, postrzega jednak wszystkie jego gesty. Teraz naprzykład wskazuje ręką za wodę:

— Co tam jest?

Gabrjela widzi szaro białe sznury wierzchołków Alp i gęste chmury. Widzi zalesione czuby, a tam, tuż nad brzegiem, pokryte zaroślami i tajemnicze pagórki.

Erwin oświadcza zawzięcie:

— To jest tamten świat!

I podczas gdy słowo to brzmi straszliwem echem w Gabrjeli, kończy z przechwałką:

— Przedrę się tam jeszcze kiedyś.

Gabrjelą owłada coraz większa trwoga:

— Erwinie! To niebezpieczne. Tam są zbójcy albo obce plemiona.

Erwin odpowiada pogardliwie:

— Co najwyżej poszukiwacze złota.

Słowa jego zapalają się teraz pożądliwie:

— Ale napewno znajdę tam ametysty i motyle „trupie główki“.

Motyle „trupie główki“! I to słowo podnieca Gabrjelę wielorakiem znaczeniem.

Gimnazista pyta surowo i z wyższością wobec niewykształconej siostry:

— Jak się nazywa „trupia główka“ po łacinie?

— A s a J u d i t h a — twierdzi Gabrjela gorli-

wie i przekonana jest o słuszności swego tłumaczenia.

Drobne, hałaśliwe szczekanie.

To Amor, młody piesek, należący do tego ogrodu. Erwin leży na ziemi i bawi się ze zwierzątkiem.

Ale Amor to nietylko mały piesek, Amor to zarazem Erwina, dziecko Gabrjeli.

(Czy też obecni opiekunowie ubierają dziecko dość ciepło!? W zeszły czwartek kupiłam cztery staniczki wełniane. Przy jedzeniu trzeba się bardzo wysilać. Mała umarłaby z głodu, gdyby się jej niezmordowanie nie zmuszało do jedzenia: Jedną łyżkę dla mamy! Jedną łyżkę dla wujaszka Erwina! Jedną łyżkę dla ta...)

Amor szczeka, Erwina płacze. Erwina szczeka, Amor płacze. A Erwin się śmieje.

Gabrjela wyczuwa jego złośliwy humor, jego kurczowe naprężenie. Słyszy, jak w nim coś trzeszczy z zadowolenia. „Młotem albo kowadłem!" „Ale lepiej młotem!" Erwin drażni psa.

Ale Amor jest po uszy pełen charakteru. Pomrukuje z goryczą, śledzi ruchy nieprzyjaciela i parska na jego rękę.

Z Gabrjeli wydobywa się krzyk:

— Nie dręczyć, dręczycielu zwierząt!

Erwin staje się coraz złośliwszy. Gabrjela poznaje nikczemne oszołomienie, które opętało brata. Co za cierpienie dla niej! Napomina:

— Wczoraj, kiedy cię chłopcy przywiązali do pala męczeńskiego, chciałeś być superarbitrowany...

Erwina niepodobna poskromić:

— Wczoraj było wczoraj, a dzisiaj jest dzisiaj!

— Nie dręczyć, Erwinie!

Erwin podnosi wzrok z ziemi:

— Czy mam może lepiej dręczyć c i e b i e?

— Tak, dręcz raczej mnie, niż dziecko!

Erwin zrywa się na nogi:

— Dobrze! Będę udawał trupa. Będę trupem!

Być trupem to najstraszliwsza ze wszystkich zabaw, jakie Erwin wymyśla, aby napędzić siostrze strachu. Gabrjela łka:

— Nie! Na miłość boską nie być trupem! Nie... Nie... nie być trupem!

Erwin chwyta Amora i biegnie z nim do wody. Ale do nikczemnego czynu nie dochodzi, gdyż Bóg, aby uratować Amora, zsyła burzę.

Straszna to burza. Ogród tańczy. Drzewa z zamkniętemi nogami skaczą z miejsca na miejsce. Niebo strąca z gór zygzakowate gromowe skały. A dzieci wirują jak liście.

Teraz siedzą w domku ogrodowym. Jest tu zupełnie ciemno. Tylko gdy wpada jaskrawe światło błyskawicy, poznaje Gabrjela na ścianie obrazki, które sama wycięła i przypięła pluskiewkami. Bardzo wyraźnie rozpoznaje te wszystkie ulubione swoje ilustracje z „Wianuszka", „Przyjaciela" i z „Przez Lądy i Morza". Poznaje też teatr marjonetek, który stoi na stole zakurzony i rozrzucony. Figurki na długich drutach opierają się i leżą jedne na drugich. Niekiedy przechodzi je dreszcz, wzdrygają się jak ryby, które się zabiło, a z których nagle wybucha jeszcze resztka życia.

Erwin siedzi tuż obok niej na ławce. Gabrjela szepce, aby nie zwrócić na siebie uwagi Boga:

— Może zapalisz lampę naftową, Erwinie?

— Nie mam... może... przy sobie zapałek, Bielo. A ty, ty się boisz burzy?

Gabrjela drży przecież z lęku. Ale Erwin jest mężczyzną:

— Ja się nie boję burzy. Bać się tej odrobiny elektryczności?! Zresztą Pan Bóg jest także niczem innem, jak elektrycznością. Patrz!

I Erwin, aby okazać swoją odwagę, otwiera drzwi i wychodzi w burzę. Wściekła błyskawica i huczący grom! Erwin ze śmiechem powraca w mrok:

— To drobnostka dla człowieka, który przez dwa tygodnie bez przerwy stał w ogniu huraganowym.

Gabrjela chwyta rękę brata. Obawia się, że kara za bluźnierstwo zmiażdży go. Ale zarazem podziwia go. Tak, to Erwin, dla którego warto żyć. Ale on głaska ją, pożądliwemi palcami syci się jej ręką:

— Dlaczego się lękasz, Bielo, gdy ja jestem przy tobie? Dotknij no moich mięśni! Jestem nawet silniejszy niż Halbhuber z czwartej klasy...

Zbliża się coraz bardziej.

— Nas nic rozłączyć nie może, Bielo! My dwoje będziemy ostatnimi ludźmi na ziemi.

Gabrjela kwili. Ale czuje się błogo. Głos Erwina staje się nagle cichy i głęboki:

— Nigdy się nie ożenię i ty także nigdy nie wyjdziesz zamąż, Bielo!

Cały świat wypełniła chmura, która się oberwała. To potop. A domek ogrodowy płynie po wodzie jak arka. Kilka jaskółek, które schroniły się do arki przed ulewą, ćwierkają i trzepoczą się nad głowami rodzeństwa. Erwin całuje Gabrjelę.

Teraz wie ona znowu, że to sen. I nie odwraca twarzy jak przedtem, tak że pocałunek dosięga jej zupełnie.

Ale przez nieskończony głos deszczu, który brzmi jak trucht miljonów karłowatych koników po drewnianym bruku, przez ten nieskończony głos dociera inny głos, daleki, nadziemski głos kobiecy:

— Erwinie, Gabrjelo!

Babcia, która stoi na tarasie niewidzialnego domu i woła dzieci.

Gabrjela wyrywa się, aby usłuchać wezwania.

Ale Erwin chwyta ją boleśnie i pociąga zpowrotem w mrok:

— Zostań, Bielo, pokażę ci coś!

Gabrjela gorączkowo szuka drzwi:

— Puść mię, Erwinie, puść mię!

Ale choć skrzętnie obmacuje dygocącemi rękoma ściany, nie znajduje klamki. Drzwi zapadły się, znikły.

— Gabrjelo, Erwinie!

W rozlegającym się daleko, wzywającym do domu głosie brzmi teraz jakieś trwożne napomnienie i jakaś potężna groźba.

Gabrjela budzi się ze snu.

Pokój hotelowy! Ach, tak! Zajazd Austrjacki! Któż tutaj jest?

Erwin spogląda na siostrę z wyrazem przygnębienia i niepewności:

— Nie przeszkadzam ci, Gabrjelo? Przyszedłem tylko zajrzeć trochę do ciebie.

Nie zdejmuje palta. Gabrjela nie porusza się. Coraz ciemniej jest w nędznym pokoju, a Erwin staje się coraz bardziej przygnębiony:

— Możesz mieć tyle biletów do teatru i na koncerty, ile tylko zechcesz.

Gabrjela nie porusza się:

— Radziłbym ci chodzić dużo do teatrów, słuchać muzyki, nowoczesnej muzyki...

Gabrjela ma w uchu straszliwe słowa:

„Już ja się jej w jakiś sposób pozbędę".

Nie porusza się.

— Teatr i koncerty! Na całym świecie niema wspanialszych. Nie masz przecież pojęcia, co się pod tym względem dzieje u nas w Berlinie.

U nas! Gabrjela nie porusza się. Ale wie — jak zawsze — o wszystkiem, co zachodzi w Erwinie. Wie, że władają nim teraz przeciwieństwa, wie, że teraz, bardziej jeszcze niż w obceności Judyty, jest wysłańcem tej kobiety i może mówić tylko jej słowa. Wie też, że Erwin się wstydzi:

— Wierz mi, Bielo, na prowincji zamiera się. Istnieje rodzaj zacofania, który działa na ludzi oddalająco. Trzeba się dostosować do teraźniejszości. Jeżeli już tu jesteś, wykorzystaj czas!

Gabrjela słyszy, jak mówi:

— Do teatru potrzeba pięknych sukien. Wykształcenie... wykształcenie jest tylko dla Judyty.

Spogląda w ziemię, pokrytą wilgotnem i brudnem listowiem jesiennem. Twarda jest drewniana ławka parku miejskiego, na której siedzi z Erwinem. Mgła przesłania lampę łukową. Szare twarze przechodzą przez drogę. Zaś za plecami Gabrjeli stoi Judyta.

Chociaż nie wiedzieć jak ostrożnie zbliżyła się na swoich delikatnych pantofelkach zamszowych, listowie jesienne zaszeleściło jednak.

Gabrjela przeczuwa, że w przestrzeni tej obnażono przeciw niej coś ostrego i śpiczastego. Może szpilkę od kapelusza albo spojrzenie. Nie jest pewna, czy Judyta zakradła się tylko, żeby podsłuchać jej rozmowę z Erwinem, aby nie pozostawiać męża samego, czy też wybiera teraz miejsce, gdzie ma uderzyć. Niech uderza! A szybko! Gabrjela jest zbyt zmęczona, aby się odwrócić i zdemaskować morderczynię.

Słucha Erwina.

— Czuję, że widzisz Judytę w niewłaściwem świetle, Gabrjelo. Jest ona bajecznym człowiekiem, powinnaś się starać poznać ją. Pochodzi oczywiście z innych sfer niż my, ze znacznie zresztą dzielniejszych sfer, ale znalazłem w niej pierwszą i jedyną kobietę duchową, jaką znam!

Gabrjela nie porusza się. Także Judyta za nią nie porusza się.

Erwin nie przestaje wychwalać Judyty:

— Nie możesz sobie oczywiście zdać sprawy, Gabrjelo, jak dalece skończonym człowiekiem byłem po wojnie. Wszystkiemu winna była obojętność wobec upadku. Co miało ze mnie być? Nie miałem na życie i nie znałem nikogo. Takich jak ja były setki. Gdybym nie spotkał Judyty, siedziałbym dzisiaj w kapeli jakiegoś baru albo jako drugi skrzypek w orkiestrze operetkowej.

Gabrjela nie porusza się. Judyta nie porusza się.

Słowa Erwina stają się coraz bardziej natarczywe:

— Judyta wzrosła w najwyższym blasku. Wszelkie dobra życiowe są dla niej rzeczą naturalną. Nie posiadasz wogóle skali do właściwego patrzenia na Judytę. Pochodzimy przecież z dobrej, starej rodziny i nie powiem nic przeciwko naszej młodości. Ale ta straszliwa ciasnota, Bielo, w jakiej wzrośliśmy, te przesądy i ten wieczny niedostatek! O, mógłbym się niemal wstydzić! Spójrz, Judyta ukazała mi inną stronę życia...

Gabrjela nie porusza się. Judyta nie porusza się.

Erwin wyznaje:

— Czemkolwiek się stałem, wszystko zawdzięczam jej... A moja sztuka? Masz, czytaj sama!

Gabrjela widzi, jak Erwin nowym i bezwstydnym ruchem sięga do kieszeni i wyciąga wycinki z gazet. Ale powiew wiatru wyrywa mu je i rzuca je pod liście i brud.

Siostra dziwi się własnym słowom, które wydzierają się teraz z niej:

— Za wszystko, co winieneś Judycie, Erwinie, musimy jej być wdzięczni.

W tej chwili Judyta znika za plecami Gabrjeli.

Po długiem niebezpieczeństwie Gabrjela wzdryga się. Nie wie, czy jest ranna, czy nie.

Erwin przemawia nagle z cichą tkliwością:

— Nie sądź, Gabrjelo, że mogę zapomnieć kiedykolwiek, co dla mnie uczyniłaś.

Gabrjela nie porusza się.

Głos Erwina brzmi płaczliwie:

— Poświęcałaś się dla mnie, gdzie tylko mogłaś. Poślubiłeś tego starego radcę dworu. Zawsze wyciągałeś mię z wody i może nawet robilaś rzeczy, o których nie chcę wiedzieć...

Gabrjela spoglądała na Erwina:

— Dlaczego mówisz tak wiele, Erwinie? Niema mnie już przecież w Berlinie. Ale teraz musisz pójść, gdyż tam na rogu czeka na ciebie Judyta.

Erwin jęczy:

— Co za nonsens! Przeszłość to przeszłość! Jesteśmy przecież tylko bratem i siostrą. Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Gdybyś mnie potrzebowała, zawsze będę dla ciebie!

— Nigdy cię więcej nie będę potrzebowała, Erwinie.

Erwin uderza się w czoło:

— Szaleństwo, sentymentalne szaleństwo! I czy to możliwe w t e m mieście?!

O Erwinie, mętny człowieku, mętny jak pokryta parą szyba, co ty wiesz o swojej siostrze? Czy przeczuwasz ów jasny zapał, jaki ją teraz wypełnia, gdy zniszczyłeś to, co nieprzemijające? Czy przeczuwasz tę anielską wolność, jaka ją uskrzydla? Czyżbyś inaczej mógł pytać w swej sytości i tępocie:

— Co tobie, Gabrjelo? Płaczesz?

Oczy Gabrjeli zpowrotem wpychają Erwina w mgłę:

— Ja? Płakać? Dlaczego? Żegnam się tylko z tobą.

— Pozostawia go za sobą. Za każdym krokiem oddalenia staje się wolniejsza, coraz wyżej wznosi się nad ziemią, a teraz, niesiona nieopisanie miłą obojętnością, fruwa.

Ale to jest zupełnie nowe.

Już nie ta sama Gabrjela przemierza przestrzeń. Już nie ta sama śpiąca i czuwająca kobieta błąka się po wielkim domu, gdzie każde drzwi prowadzą do innego pokoju snu lub czuwania. Ta słodka obojętność, ta lekkość lotu należy do innej istoty, która zrzuciła bronzowy płaszcz.

Najszczególniejsze jest, że każda droga jest przed Gabrjelą otwarta. Uświadamia sobie wolną wolę bez granic. Gdyby chciała odwiedzić dziecko, samo to życzenie zdolneby ją było zaprowadzić do Erwiny. Ale ona szuka nie Erwiny, szuka czegoś bliższego, siebie samej.

Szybuje więc teraz Gabrjela po sali operacyjnej, gdzie Gabrjela pod rękoma lekarzy leży we własnej krwi na stole. Istota szybująca nie odczuwa do istoty leżącej miłującego lub bolesnego stosunku, ale jedynie cichą ciekawość i chłodną obserwację. Ta wolna Gabrjela obserwuje skrępowaną Gabrjelę, jej żółtą twarz z małą białą maską. Z zupełną jasnością widzi pracującą w jej ciele dłoń profesora, widzi w tej dłoni instrumenty, a na palcach śliskie rękawiczki gumowe. Widzi krew, swoją krew, która przez specjalne urządzenie, przez rynnę kapie na kaflaną podłogę. Widzi asystenta, który czuwa nad jej pulsem. Widzi siostry, podając instrumenty i pochylające się nad nią z podnieconemi policzkami. Najsubtelniejszym słuchem słyszy lekki szelest wentylatora. Słyszy szczęk pincetek i nożyków.

W tamującej dech ciszy słyszy krótkie, drgające rozkazy profesora:

— Klamry! Prędko!

Jakaś siostra rzuca się do sterylizatora.

— Puls?!

Asystent unosi nieco jej rękę.

— Czterdzieści pięć!

Profesor łaje jakiegoś pomocnika:

— Ośle!

Wszystko to słyszy i widzi Gabrjela z niedbałą ciekawością. Nie odczuwa współczucia dla tego walczącego tam życia. Ma wrażenie, jakby ta twarz na stole operacyjnym, ta twarz o barwie śmierci była tylko jedną jedyną z pośród jej niezliczonych twarzy, jak własne ciało wydaje się jej czemś tysiącokrotnie zmiennem.

Ale co najosobliwsza: Gabrjela czuje wprawdzie, że szybuje. Ale nie szybuje w jakiemś określonem miejscu przestrzeni. Nie poruszając się, jest jednocześnie pod syczącą lampą łukową, nad własną głową, przy drzwiach albo przy oknach. Ma wrażenie ograniczonej do tej sali wszechobecności i niematerjalności, wie jednak, że nic nie mogłoby jej przeszkodzić być tutaj, a jednocześnie w domu.

Tylko że coś jeszcze prócz niej znajduje się tutaj, co z dziwną siłą przeszkdza jej w szybowaniu. Miejsce to wydaje się natłoczone egzystencjami, podobnemi do niej.

Z tych egzystencyj i ich przenikających się wzajemnie wirów woli wychodzi jakiś równokierunkowy magnetyzm, który zmierza do wspólnego celu. Powstaje prąd, który z chwili na chwilę staje się coraz silniejszy i któremu Gabrjela nie może się umknąć.

W niej samej żyje ten cel, którego nie zna i którego nie potrafi nazwać, chociaż przenika ją jakieś nieokreślone słowo, które przełożone na język

świadomości miałoby mniejwięcej znaczenie „miejsca zebrań".

Ale już nie jest panią swej woli, prąd ogłusza ją i porywa z sobą. Posłuszeństwo wobec tego potężnego prądu zadowalnia ją jak pobożny uczynek. Zaznaje niewytłumaczonej radości świadomego niebytu.

Dopiero gdy otacza ją elektryczny obłok świetlny, skupia się znowu. Z obłoku świetlnego płynie jakaś siła przeciwna, przeciwstawiająca się czystemu wpływowi, który chce ją porwać dalej. Przez nieskończenie długą chwilę zastanawia się Gabrjela, której z tych dwóch sił ma się poddać.

Jest to niewysłowiony moment decyzji. Z uczuciem, że czyni coś bardzo nieprzyzwoitego, daje się Gabrjela skusić, daje się ściągnąć, zaprzestaje zmierzać ku niewyjaśnionemu celowi.

Teraz jest sama. Owłada nią jakiś rozpustny, rozwiązły nastrój. Ma wrażenie, że jest pijana, tak się czuje awanturniczo i lubieżnie. Nie poznaje własnego śmiechu, taki jest zachrypły i nikczemny, gdy się znalazła na ulicy.

Przedewszystkiem: Gabrjela przebrała się gdzieś i kiedyś. Pochodzenia pięknych sukien, błyszczącej elegancji nie potrafi zrozumieć. Ale nowy strój jest zarazem nowem ciałem, które zamyka się wokół rdzenia jej życia.

Niemal z rozkoszą spogląda na swoje nogi, które krótka sukienka zakrywa zaledwie do kolan. Czuje grubo nasmarowaną maść na wargach i granatowe obwódki, z których połyskują jej oczy. Dziwnie uświadamia sobie przeciągłe, czyhające

spojrzenia i rozmiłowaną w sobie grę wszystkich ruchów, która pozostaje jej obca.

Ale rdzeń jej życia drga ambitną żądzą zemsty. Zemsty za co? Na kim? Mało ją to obchodzi, gdyż rozkoszny popęd wypełnia ją aż po brzegi. Z przeszłością zakończyła. Nigdy już nie będzie nosiła bronzowego palta spacerowego, oszczędzała, męczyła się i niszczyła sobie rąk szyciem i praniem. Nareszcie jest wolna, nareszcie wydostała się ze wszystkich więzień. Niema już dla niej względów. Bo i na kogóż miałaby mieć wzgląd?

Od boskiego celu, ku któremu ślepym prądem zmierzają owe egzystencje tam wgórze, odpadła już. Teraz i ona spróbuje z tem miastem. Teraz wolno jej żyć. A żyć znaczy to — to przekonanie płonie w niej — znaczy to rzucić się, odrzucić się.

Ulica wyje. Nigdy nie widziane dzikie reklamy świetlne smagają noc czerwonemi, zielonemi, niebieskiemi, pomarańczowemi splotami. Pośrodku nieskończonego kłębowiska aut, pałaców kinowych, masowych restauracyj, kawiarń i cynicznie zaambarasowanych sznurów ludzi widzi Gabrjela wielki kościół. Niby olbrzymi kałamarz rozwiera teraz ten kościół kopułę, a ohydne organy wylewają swoje pomyje dźwięków na rozległe skrzyżowanie ulic. Czyżby kto uwierzył, że instrument boży grzmi w świat jakiś przebój. W święte piszczałki i rejestry wbudowany jest snać jazzband.

Ulica przybiera zuchwały rytm organów. I Gabrjela stawia nogi w takt muzyki. Dlaczegóżby nie?

Jakiś głos obok Gabrjeli:

— Mała protestancka muzyka wieczorna!

Gabrjela nie przyśpiesza kroku.

Głos:

— Nazywam się Taki-a-taki! Jestem gentlemanem! Idę do tego domu, karta wystarcza.

Głos ma małe czarne wąsiki i monokl. Organy grzmią. Gabrjela powiada sobie, muszę dokładnie zapamiętać wszystkie jego słowa. Ale motyle „trupie główki“ odwracają jej uwagę, trzepocząc się przed jej oczyma. Taki-a-taki informuje się:

— Czy szanowna pani zamierza spędzić wieczór?

Ależ naturalnie! Ona rozporządza przecież biletami do wszystkich teatrów i na wszystkie koncerty. Musi się kształcić, aby można się jej było w jakiś sposób pozbyć. Ale nikt jej nie zmusi, aby jadła zatrutą kolację. Nie potrzebuje łaski. W pierwszej zaraz minucie zorjentowała się.

Głos z czarnym wąsikiem jest zabawny i ma miły dźwięk mimo swych skrzeczących słów. Teraz szepcze do ucha Gabrjeli:

— Pierwszorzędne dowcipy i inne zalety są u mnie gwarantowane!

Gabrjela zatrzymuje się i dziwi się znowu swemu zachrypłemu śmiechowi.

Potem przyłącza się do głosu.

— Proszę laskawie dać rączkę! Wten sposób będziesz asystowała przy ostatnich rundach wyścigów sześciodniowych.

Głos z małym czarnym wąsikiem nadyma się:

— Punktualnie o północy finish!

Gabrjela pije słodki likier.

Z loży swej trzeźwemi oczyma widzi obłędny pęd pałacu sportowego. Ciągle jeszcze żyje w niej resztka owej zimnej obojętności, owego wszędzie i nigdzie, owej niepojętej chwili, kiedy widziała siebie samą na stole boleści. Resztka ta żyje w niej

jako niezainteresowana bystrość rozumu, której nigdy jeszcze nie dostrzegła w sobie.

Jasnym wzrokiem pojmuje prawidła gry biegu sześciodniowego, zanim jeszcze towarzysz jej gotuje się do fachowego wyjaśnienia jej ich. Pojmuje, słyszy, widzi wogóle wszystko o ułamek sekundy wcześniej, niż się to dzieje. Jest to jak ozdobnik nuty w muzyce. Wie, że Taki-a-taki będzie teraz pił, i w następnej sekundzie pije on rzeczywiście. Teraz kelner upuści na ziemię tacę z talerzami; i w następnej już chwili słychać gdzieś brzęk tłuczonego szkła.

Niekiedy poczyna Gabrjela znowu szybować nazewnątrz siebie i być wszechobecną na sali; ale popęd jest słaby, nieznacznie tylko może się oddalić od swojej loży. Kiedy powraca, głos z czarnym wąsikiem śmieje się rozweselony.

Ale wszystko to mniej niż kiedykolwiek jest snem. Gabrjela zdolna jest słuchać marszów muzyki cyrkowej. Słyszy podniecany ciągle na nowo krzyk tłumu, nie tracąc zarazem nic z dowcipów i nadskakiwania swego towarzysza. Odczytuje na płótnie wyniki biegu, a bystrość pamięci bez wysiłku przyswaja sobie numery zwycięzców.

Oddawna wie, że Judyta jest tutaj.

Gabrjela nie ma powodu kryć się. Nie wstydzi się zupełnie, że znalazła sobie kawalera. Jej blond niezdarność nie wszystkich odstrasza. Nawet w Berlinie nie jest opuszczona, chociaż Erwin nie przyszedł po nią na dworzec i przez zdradę swą tak głęboko ją zranił.

Judyta stoi wyprostowana w sąsiedniej loży.

Gabrjela wpatruje się w jej ciemną, czarującą trupią głowę! Ona sama zaś wydaje się dla szwagierki niewidzialna. M u s i być przecież niewidzialna dla Judyty; gdyż nieprzyjaciółka spo-

gląda opętanemi przez ambicję oczyma wdół, na maneż, co niby biały kawał ciszy śmiertelnej wyodrębiony jest z warczącego, wrzącego okręgu areny. Na pochylonych skrajach tej białej ciszy śmiertelnej mkną obłędnie zawodnicy, leżąc jak kochankowie z oddaniem na swoich rowerach.

Zaś Numer Siódmy — Gabrjela poznaje to — jest to jej brat Erwin.

Niby błysk mew nad wodą, runda za rundą, kołuje gęsty ciąg rowerów.

Głos:

— Sześć dni, sześć nocy każda para na siodle! Najwyższy wyczyn współczesnej ludzkości. Litość bierze nad dawnymi rycerzami turniejowymi!

Ktoś powątpiewa gdzieś w rozumny sens tych wyścigów.

Głos odwraca się, zapytuje:

— Za pozwoleniem! A popyt i podaż to nic?? Prima egzystencja to nic?!

Tysiącogłosy okrzyk:

— Siódemka bierze!

A potem:

— Naprzód Siódemka!!

Gabrjela widzi, jak Judyta podnosi nagie ramiona, słyszy zdławiony krzyk nieprzyjaciółki:

— Erwin wyprzedza wszystkich!

Ona zaś pozostaje obojętna wobec szalonego wysiłku mężczyzny, który na grzbiecie trykotu nosi Numer Siódmy. Jakże się dawniej modliła do Boga, aby brat jej stał się zwycięzcą w życiu. Ale teraz pożegnał się z nią przecież, i jest obcym, jest Numerem Siódmym. To zwycięstwo nie obchodzi jej. Jest to zwycięstwo Judyty.

Erwin, dysząc poziomo na rowerze, wysuwa się na czoło łańcucha cyklistów. Zdobywa przewagę. Niby chmura pyłu wznoszą się grzmiące głosy wgórę.

Gabrjela jest spokojna.

O, Erwinie, co ty robisz, zgubiony!? Nigdy już nie zdoła cię Gabrjela obronić. Czy sądzisz rzeczywiście, że Judyta cię kocha? Podżega cię, smaga cię biczem, wydziera ci życie z ciała...

Wrzaskliwy triumf. Grzmot muzyki. Strzały rewolwerowe huczą w ściany. Taki-a-taki z zachwytu wiruje dokoła siebie samego. Numer Siódmy zdobył przewagę całej rundy. Zbliża się już do tyłów łańcucha.

Wówczas wytryska z Gabrjeli wstrząsające objawienie boże:

„Teraz jesteś ostatni, Erwinie! Gdyż pierwsi są ostatnimi, ponieważ wszystko jest kręgiem".

Jakaś stara ręka głaszcze lekko głowę Gabrjeli:

— Pierwsi będą ostatnimi.

Boże mój, to przecież wielebny Franciszek Ksawery Ueberberger, katecheta Gabrjeli, który komunikował jej klasę w szkole.

Podczas lekcyj religji tęgi stary ksiądz sam zwykle podszeptywał uczennicom odpowiedzi na własne pytania. Nawet gdy ktoś wyższy przybywał na inspekcję, nie wstydził się tej metody. Teraz podszeptuje znowu swojej uczennicy:

— Wszystko to, moja mała Gabrjelo Pacher, zbudowane jest na piasku.

Ciche te słowa wydają się odpowiedzią na jakieś trudne pytanie z katechizmu, gdyż pod ich dźwiękiem pałac sportowy poczyna się chwiać.

Podagryczna ręka chłopska spoczywa na czole Gabrjeli:

— Czy pamiętasz jeszcze, jak botanizowałem z wami? Ano, góry nasze przywędrują tutaj. Wyobraź sobie, że zerwałem dzisiaj na Hohenzollernstrasse gencjanę i cyklamen.

Sklepienie starego kościoła unosi się nad ma-

neżem. Franciszek Ksawery Ueberberger szepcze ciągle jeszcze:

— Bieg sześciodniowy jest biegiem stuletnim. Niech walczą i wyją! Przy końcu zwyciężą silne kwiaty.

Gabrjela nie ogląda się za kojącym mówcą. Rozkoszą jest dla niej, że toczy się tutaj potajemna, wielosetletnia wojna. Nie może sobie tego jasno wytłumaczyć, ale czuje, że idzie o jej sprawę. Tak, wojna bliskich jej, cichych i powolnych, przeciwko nieposkromionemu tumultowi. Ostatni będą pierwszymi. Zaś Erwin przeszedł do wrogów.

Taki-a-taki przypomina:

— Koniec!

Głos wielebnego Ueberbergera staje się coraz czulszy:

— Ale cóż ja ci opowiadam, moja droga przyjaciółko Gabrjelo Pacher? Widzisz przecież znacznie więcej niż ja...

I istotnie, Gabrjela widzi tak wiele, że nie potrafi tego nawet rozdzielić. Widzi uwieńczonych wawrzynem i cyklistów i połyskujący główny ołtarz. Widzi kelnerów, przebiegających z chorągwiami kościelnemi w ręku. Dziki tłum tłoczy się do wyjść. Ale pośrodku tego tłumu dostrzega w białych sukienkach komunikantek swoje przyjaciółki: Tu Mizzi Trimbacher, tam Urszula Höpler i Frania Hufschmied. Nie wyglądają inaczej, niż wyglądały. Zaś w otchłani maneżu, otoczona skałami, ukazuje się ciemna tafla jeziora w Lans.

Głos z małym czarnym wąsikiem jest zniecierpliwiony.

Gabrjela, szepcząc sama, pyta swego starego nauczyciela:

— Czy dość? Czy mogę teraz usiąść? Czy mogę wrócić na ławkę?

Katecheta uśmiecha się za jej plecami z życzliwą wyrozumiałością:

— Tym razem nie wystarczy dziesięcioro przykazań, Pozdrowienie Anielskie i Ojczenasz. Inspekcja nie zakończyła jeszcze swoich pytań egzaminacyjnych. Ale nie lękaj się, Gabrjelo Pacher! Ja ci podpowiem...

Poczem duchowny pan z komicznym wdziękiem ujmuje Gabrjelę pod ramię i ze staroświeckim ukłonem prowadzi ją do jej towarzysza.

„Dlaczego wszyscy mężczyźni spuszczają szelki, kiedy się rozbierają? Czy to dlatego, że pochodzą od małp?"

Tak jasno potrafi Gabrjela myśleć. I jasno widzi zasmarowany wzór tapety, zwiotczałe firanki, brudną biurową lampę, wiszącą w tym pokoju hotelowym.

Czuje pod sobą wilgotno-zimne prześcieradło, które z pewnością nie jest czyste, a tylko przeprasowane. Ale ona, czysta, nie wzdryga się dzisiaj pod takiem dotknięciem, gdyż wie: Każda dusza ma swoje sto tysięcy ciał. Jakżeby się te wszystkie sto tysięcy ciał ustrzegło przed brudem!

Głos z małym czarnym wąsikiem mówi pochlebczo:

— Naprawdę miła z ciebie koteczka. To rzeczywiście doskonale, że cię mam!

Gabrjela nie wzdryga się. Czego chce ten obcy, obcy głos:

— Czy wcale nie jesteś ciekawa dowiedzieć się mego imienia?

Jakiego imienia? Przesiąknięty dymem tytoniowym oddech zbliża się. Męskość napiera na jedno z jej ciał.

Gabrjela nie czuje nic. Nie wie nic. Siedzi przy łóżku małej Erwiny.

Dziecko budzi się, mruga oczyma i przeciąga buzię:

— Mamusiu! Czy wrócisz niedługo?

— Jestem przecież tutaj, przy tobie, Wineczko.

— Nie, nie jesteś tutaj, mamusiu.

— Bądź spokojna, Wineczko! Czy byłaś grzeczna?

— Nie, mamusiu, płakałam, byłam niedobra.

— Dlaczegóż?

— Dlatego, że ciebie niema, mamusiu. Nie chciałam jeść.

— A czy nosisz zawsze staniczek pod koszulką, jak powiedziałam cioci? Teraz jest listopad, musisz go codzień wkładać...

Matka przekonywa się ręką, czy polecenie jej jest wykonywane. Dziecko zaczyna płakać.

— Dlaczegóż płaczesz, Wineczko?

— Mamusiu, mamusiu, tak się boję, że ty nigdy nie wrócisz.

— Śpij, Wineczko! Wrócę znowu, kiedy się dowiem, jak on się nazywa!

Teraz w ciemności głos z małym czarnym wąsikiem jest już tylko chrapiącym oddechem. Gabrjela siada cicho na łóżku. Nadsłuchuje, drży:

— Jak pan się nazywa?

Niema odpowiedzi! Obcy oddech idzie swoją drogą. Szalejące serce miota Gabrjelą na wszystkie strony:

— Jak pan się nazywa?

Oddech urywa się. Gruby język mlaska i oblizuje się. A teraz! Nie jest to już obcy głos. Jest to urywany głos, pękający z szyderstwa po przyłapaniu na gorącym uczynku, a głos ten bełkocze coś niezrozumiałego przez sen.

Gabrjela zrwa się jak smagana z łóżka:

— Jak pan się nazywa?
Rozlega się skrzeczenie:
— August!
Jednocześnie z ohydnym okrzykiem, który wyrywa się z gardła Gabrjeli, zapala się światło.
Zmarły zatacza się na posłaniu. Ale jest to tylko w połowie łóżko. Wielkie grudy czarnej ziemi nagromadzone są na prześcieradle. Zgniłe deski leżą wpoprzek obszytej koronkami kołdry, brunatne liście pokrywają poduszki, a druciany szkielet wieńca zwisa zboku.
Daremnie usiłuje zmarły wyzwolić się z uścisku grobu. W strzępach opada frakowe ubranie z jego pracujących członków. Rzęzi:
— Policja! Ta złodziejka, ta cudzołożczyni wyciągnęła mi portfel. Łapać tę złodziejkę! Czekaj...
W ciężkich ciemnościach zbiega Gabrjela po setkach krętych schodów wieży. Za nią głos zmarłego:
— Łapać!

Istotą tajnej policji nie jest przytrzymywać aresztować ściganych, lecz wedle wyższego rozkazu prowadzić z nimi nieobliczalną grę. Tajna policja rezygnuje więc z wysyłania umundurowanych lub cywilnych urzędników przeciw oskarżonym. Zadowalnia się tem, że jest potęgą, która na swój sposób i z nieprzeniknionemi zamiarami zbliża niekiedy, a częściej jeszcze oddala bardzo. Przedewszystkiem jednak Gabrjela i wszyscy inni mają jak najbardziej nieograniczoną swobodę ruchów.
Niezrozumiałem jest więc, dlaczego pędzi do utraty tchu. Może naśladuje tylko swoich towarzyszów niedoli. Gdyż obok niej biegnie ktoś truchtem, równomiernie i niewidzialnie przez noc. Ga-

brjela nie czyni nic, aby poznać towarzyszów. Trucht przez noc nie jest niemiły. Biegnie się przez najrozmaitsze korytarze, przez tunele i szyby kolei podziemnej. Biegnie się dlatego tylko, że bieg jest jedyną formą życia, a stanie czemś, coby się nikomu nie udało. Wśród współbiegnących znajduje się wiele kobiet. To uspokaja Gabrjelę. Rada jest jednak, gdy poczyna znowu oddychać świeżem powietrzem.

Towarzysze giną. Gabrjela biegnie teraz sama. Chociaż się czuje tak wolna, w głębi duszy wie, że wolność jej jest krok za krokiem określona zgóry. Uciekająca podejrzewa, że wszystko, co napotyka, ustawione jest specjalnie, żeby jej zastawiać jakieś pułapki.

Pędzi przez groblę smolistego kanału. Widzi, jak przy cuchnącem świetle lampy karbidowej kilku mężczyzn stara się ocucić jakąś kobietę. Gabrjela domyśla się, że w tej topielczyni ukrywa się jedno z jej tysięcy ciał, że rozgrywa się tam jej własny los. Ogarnia ją gorzka, nieprzemożona niemal chętka, aby spojrzeć w twarz tej kobiety bez życia. Ale podejrzenie jej powiada natychmiast: Wszystko to jest tylko pułapką. Ucieka dalej.

W następnej chwili słyszy za sobą drobny, dyszący oddech i zarazem rytmiczny brzęk drgającego w biegu łańcuszka na szyi. Wie natychmiast: Ubogie dziecko!

Głosik zaczyna płakać:

— Dobra pani, proszę mi pomóc!

Gabrjela biegnie, nie odwracając się.

Głosik błaga coraz rozpaczliwiej:

— Dobra pani, proszę mi pomóc! Nie mogę iść do domu. Matka już nie wróci.

Bolesna pokusa, aby ująć dziecko w ramiona, gwałtownie wzrasta w Gabrjeli. Ale opiera się ze wszystkich sił. Gdyż i to jest tylko pułapką.

I jeszcze, kiedy daleko za miastem mknie przez piaszczyste, błotniste, porosłe krzakami równiny, coś piszczy i dzwoni za nią. Ale teraz jest to pewnie Amor.

Jak długo ma jeszcze trwać ten bieg!? Ciągle na nowo wzdłuż toczących się ulic, przez niebezpieczne skrzyżowania, naprzełaj przez tory kolejowe, gdy z obu stron warczeć poczynają lokomotywy! Potem ta równina za miastem, której pola i łąki przecięte są sunącemi żaglami. Nic nie spoczywa. Ciągle wszystko jest w ruchu, jakgdyby cały świat był niczem innem, jak leniwą i bezsensowną ucieczką przed bardziej jeszcze bezsensownym pościgiem.

O nogi nie obawia się Gabrjela. Są młode i dość silne, aby przez wiele jeszcze godzin deptać po ostach i bagnistych miejscach. Ale głód i pragnienie dręczą ją nieznośnie.

Cóż jej pozostaje innego, jak pójść do domu i poszukać resztki jedzenia i picia? Wkręca w swoją rodzinną ulicę, wchodzi do domu. Złotnik wystukuje młoteczkiem swoją wdzięczną muzykę, zapach kamfory ze składu materjałów aptecznych bije jej naprzeciw. We wszystkich skrzynkach w swoim pokoju szuka słodyczy. Ale pudełka z czekoladą i koszyczki z owocami są dawno opróżnione. Może w kuchni coś się znajdzie...

Wówczas spogląda na otwarte drzwi pokoju śmierci, który pełen jest gęstego dymu infekcyjnego. Pułapka! Gabrjela ucieka z domu.

Na jakiejś ulicy świata zastanawia się biedna duszyczka, co robić, aby ugasić swoje śmiertelne pragnienie. Kogo ma jeszcze, aby jej dał pić? O, gdybyż mogła znaleźć inną odpowiedź! Ale jest tylko jedna jedyna odpowiedź: Erwin! Można żyć samotnie i samotnie umrzeć. Ale p i ć musi każdy

człowiek. Przed pragnieniem nie może uciec. A w pragnieniu topnieje wszelka duma.

Kroczy więc, gdy całą siłę lotu utraciła już, przez ołowiano ciężką przestrzeń swego życia ku domowi Erwina, ku domowi Judyty. Zaproszono ją na to, co się nazywa kolacją.

Ale w oświetlonem przedsieniu opuszcza ją odwaga. Jak ona wygląda? Potargana, w podartej koszuli nocnej, z bosemi nogami, ubrudzonemi błotem ulicznem.

Towarzystwo niedzielne ciągle jeszcze jest widocznie zebrane. Surowooki służący i dziewczyna z karafkami, butelkami, tacami przebiegają przez przedsionek. Brzęk i śmiechy docierają z za drzwi.

Pragnąca pada niemal. Wtem wychodzi Erwin i rozgląda się na wszystkie strony, jakby czegoś szukał. Raz jeszcze skupia Gabrjela wszystkie siły. Lepiej znieść te męki, niżeli stropione, zmieszane spojrzenie Erwina. Tylko precz stąd!

Gabrjela błąka się po wielu jeszcze ulicach. Przeżywa nagłe niebezpieczeństwa i coraz gorsze trudności: brutalne spojrzenia, ohydne słowa i ruchy, kierowane do niej.

Nareszcie jednak znajduje się w jakiejś wielkiej sali, podobnej do poczekalni trzeciej klasy na dworcu.

Zebrała się tu najrozmaitsza hołota. Biedacy, wychodźcy pewnie, oczekujący na pociąg, śpią na swoich tobołkach.

Dzięki Bogu! Bufet jest otwarty. Gabrjela żąda napoju. Kelner bez kołnierzyka (Gabrjela widzi wyraźnie, że brak mu dwóch palców u prawej ręki) podsuwa jej brudną szklankę. Nareszcie może pić. Ale już po pierwszym łyku upuszcza szklankę na ziemię. Płynny pieprz dostał się do jej gardła.

Nielepiej wiedzie się jej, gdy chce coś zjeść. Na zalanym piwem blacie bufetu stoi półmisek z ka-

napkami. Gabrjela sięga po jedną z nich. Ale gdy ją chce podnieść do ust, na stęchłej powierzchni porusza się mała rybka, uderzając ogonkiem. Z przerażeniem odrzuca Gabrjela jedzenie.

Usiłuje odejść niepostrzeżenie.

Kelner podnosi groźny głos:

— A kto płaci, moja damo?

Gabrjela czuje oszołamiającą falę krwi. Sięga w próżnię. Torebka jej znikła. Zgubiła ją lub zostawiła gdzieś.

Kelner napomina ze znużoną szorstkością:

— Czy dama nie ma przy sobie płacącego pana?

Gabrjela poddaje się. Wpadła w pułapkę.

Kelner poczyna złorzeczyć i szydzić głośno:

— Ładne porządki! Zmykać nie zapłaciwszy! Zabiorę panią na odwach policyjny jako zastaw.

Kelner złości się coraz bardziej. Ludzie otaczają Gabrjelę śmiejącem się i mruczącem kołem. Zjawili się wśród nich „pachołkowie“, których Gabrjela zna z jakiejś powieści historycznej. Pachołkowie ci są ubrani niezwykle. Noszą sztylpy i bardzo krótkie kaftany, zakończone u dołu w zęby i zaledwie sięgające im do pępka. Dolna część tułowia jest naga. Ale co dziwna, brak im zupełnie członka męskiego, a na jego miejscu widać grubą, czerwoną bliznę.

Jeden z pachołków wskazuje na tekę do akt, którą trzyma pod pachą:

— Teczka pana radcy dworu. Zanoszę mu ją.

Drugi dotyka skóry:

— Co tam jest?

— Uregulowane rachunki pana koncertmistrza. Teraz nie potrzebuje już robić długów. Ale pan radca dworu musiał w to wierzyć.

Kelner pyta:

— Na co ten pan umarł? Na zapalenie płuc, prawda?

Pachołek:

— Co też panu na myśl przychodzi, panie starszy? Na puchlinę głodową...

Oświadczenie to wzbudza zainteresowanie. Wszyscy tłoczą się bliżej. Pachołek rozwodzi się:

— Pan radca dworu miał przepisane trzy razy dziennie obfite posiłki mięsne. Ale czasy powojenne były ciężkie, a pani chciała oszczędzać. No tak! Wykształcenie brata pochłaniało połowę pensji...

Ktoś się odzywa:

— To czyn karalny.

Pachołek potwierdza:

— Naturalnie, że to karalny czyn biegać za panem bratem. Aż do Berlina. Czy to przystoi? I nie może się on jej wogóle pozbyć...

Gabrjela słyszy, jak jakaś stara kobieta, którą zna z domu, oznajmia pachołkowi:

— Wszystko pochodzi stąd, że nie poszła do klasztoru.

— Do jakiego klasztoru?

Kobieta syczy:

— Nie wie pan? W dwunastym roku życia złożyła ślub, a potem złamała go. Czuła wtedy dobrze, że coś z nią jest nie w porządku.

Jakiś pan w zapiętym po szyję czarnym surducie peroruje:

— Zachować wiarę dziecięcą to rzecz niebezpieczna. Utracić wiarę dziecięcą — jeszcze niebezpieczniejsza. Ale ani — ani jest najniebezpieczniejsze. Powstaje z tego tylko ordynarne świństwo.

Najstarszy z pachołków podsuwa myśl:

— Najlepiej będzie zatelefonować do departamentu V: Królestwo Umarłych!

Głosy oponujące:

— Niemożliwe! Czyż pan nie wie, że zmarli strajkują?

— Co!? Telefon i telegraf także?

— Niech pan tylko przeczyta pisma wieczorne! Strajk generalny zmarłych!

Tymczasem zbudzili się śpiący biedacy i zbliżają się także. Nastrój ludzi staje się coraz bardziej wrogi. Straszliwe razy brzmią wokół głowy schwytanej:

„Niech się wylegitymuje!“

„Cudzoziemka!“

„Odnotować personalja!“

Niech się dzieje, co chce! Dłużej nie może się Gabrjela bronić. Gdybyż teraz przyszedł kierownik tego wszystkiego i zrobił z nią koniec!

Ale zjawia się zbawca, chociaż jest to tylko stary i słaby zbawca. Pan Radetzky wygramolił się ze swego miejsca na ławce, gdzie spał z biedakami:

— Dajcie jej spokój, ludzie! Czyż ona jadła to, za co ma płacić? Od kiedyż to płaci się za to, czego się nie jadło? Puśćcie ją! Przecież ona też jest wychodźczynią i czeka na pociąg...

Pomruk cichnie. Ludzie powracają na swoje miejsca. Gabrjela widzi, jak pan Radetzky kiwa głową i wzdycha do swoich ludzi:

— Płacić! Płacić się ma jeszcze za to, czego się nie jadło. Jakgdyby życie było lichwiarzem!

W tej chwili rozlega się w lokalu zły dzwon i głos:

— Piąta godzina! Opróżnić salę!

Wtłoczona w wielką ciżbę Gabrjela zostaje wypchnięta na powietrze.

Pusty brzask poranny leży na ulicach, leży na jej oczach, leży na wszystkich oczach. Tępe i jasne jak źrenice oślepłych na kataraktę są oczy biednych duszyczek, szykujących się do nowego dnia. A dzień świata sam jest szarą kataraktą, zasnuwającą światło Boga.

Prąd niesie ją. Ale już nie ów wesoły prąd bez-

ciężarowych egzystencyj, lecz zgroza i ohyda, prąd plugastwa. Liche, cuchnące ubrania i ciała tłoczą się wokół Gabrjeli. To jest może wydany na nią wyrok: Aby była bezradną cząstką tej smutnej masy, która sunie do beznadziejnej pracy. A ciało usycha z pragnienia, wstrętu i hańby. Coraz gęściej spowija ją zapity oddech tysięcy, spowija ją w opuszczenie, w którem się udusi.

Gabrjela wie, że jeżeli teraz nie uda się jej z wysiłkiem wskrzesić w sobie drobnego płomienia, będzie stracona na wieki.

Modlić się! Ale wszystkie modlitwy w niej zgaszone są przez jakąś ciężką rękę. Nawet imienia Chrystusa nie może pamięć jej stworzyć.

Dzień rozpoczyna się. Masa posuwa się naprzód. Gazeciarze pędzą jak obłąkani. Miasto chrząka ochryple i gniewnie. Stracona!

Nagle przez pamięć Gabrjeli przechodzi błyskawicą:

„Zapłacić! Płacić? Mam przecież liczyć!"

Początkowo nie może w niej powstać żadna liczba. Zapomniane każde słowo, zapomniana każda cyfra! Cała jej siła rozpaczliwemi ciosami wali w opór.

Ulica spławia szeregi ludzkie na jakiś plac. Można odetchnąć swobodniej. Asfalt wibruje niby olbrzymia wstęga gumowa. Żaluzje wznoszą się z chrzęstem.

I oto z okrzykiem ulgi wydziera się z Gabrjeli:

— Raz, dwa, trzy...

Natychmiast powstaje wokół niej pusta przestrzeń, a moc liczby trzy porywa ją niby potworny wicher wgórę i ku niebu.

Pierwszem, co się dzieje, jest, że Gabrjela wypija duży, okrągły drewniany kubek mleka.

Wlewa w siebie dobrotliwy płyn, potem, uga-

siwszy pragnienie, łyka coraz wolniej, owiana lekko słońcem, brzęczeniem owadów, cieniem liści, setkami szybujących obrazów życia; wnika w nią nieopisana, zwierzęca błogość.

Sięga po chleb, który poduwa jej babka, i kruszy i żuje ten dar z głęboko uważną nieprzytomnością: Chleb ten ma smak dobrego, domowego chleba żytniego. A jednak jest tam jeszcze jakiś inny, soczysty smak, jakaś siła, która natychmiast udziela się krwi, nietylko jako rozkoszne zaspokojenie, ale także jako subtelna, niewysłowiona wiedza.

Gabrjela żuje swobodnie. Bezpieczeństwo otacza ją jak kąpiel. Spogląda nieruchomemi, szeroko rozwartemi oczyma. Stary, znajomy ogród. Daleko, za wodą, wierzchołki tamtego świata. A tutaj „placyk“ pod orzechem na krótko zżętej murawie, tak miłej dla podeszew.

Babcia obiera scyzorykiem włoskie orzechy. Palce ma już zupełnie bronzowe. Zielone łupinki rzuca na ziemię, orzechy do koszyka. Gabrjela stara się rozpoznać babkę, pod której władzą wyrosła po wczesnej śmierci rodziców. Babcia zmieniła się bardzo, możnaby niemal wątpić, czy to rzeczywiście ona. Wydaje się wyższa i bardziej koścista, przybrała też jakiś szorstki wyraz wyższości w twarzy. Często wygląda jak stara chłopka, często jak kobieta rozkazująca, która stoi na czele wielkiego domu.

Teraz otwiera orzech nożem i z wdzięczną starannością zdejmuje żółtą skórkę. Ziarno wtyka wnuczce do ust.

Gabrjela z rozkoszą wyczuwa słodycz ziarna orzechu. Natychmiast spostrzega, że język jej wyposażony jest w jakąś dziwną i nową siłę smaku. Wydaje się jej, jakby nigdy jeszcze nie miała orzecha w ustach. Pyta:

— Co to jest? Co to za smak czuję w orzechu?

Kobieta obiera dalej bronzowemi palcami:

— Przyjrzyj się dobrze takiemu ziarenku, dzieweczko! Każdy orzech jest głową, mózgiem. Przed tym światem istniał kiedyś świat, w którym najwyższemi istotami, ówczesnymi ludźmi, były orzechy. Bóg zniszczył ów bardzo mądry świat. Ale w smaku orzechów coś z nich pozostało. Także olej w skórce, to była nienawiść, owa gorzka złość, bez której nic nigdy nie żyło...

Gabrjela jest bardzo przejęta tą bajką. Jak dziecko chciałaby usłyszeć więcej jeszcze o naturze i nowych zmysłach, które zostały jej darowane. Ale kobieta zajęta jest znowu gorliwie orzechami i nożykiem swoim wskazuje nieokreślonym ruchem w świat, jakby chciała powiedzieć: Rozejrzyj się sama!

Gabrjela spostrzega na stole bukiet cyklamenów. Wącha kwiaty. Nigdy dotąd nie wiedziała, jak arcypotężnym jest ten zapach, gdyż i powonienie jej zostało odmienione; nie jest już rozkoszującym się tylko zmysłem, ale zmysłem duchowym. Przeniknięta mocą życiową fiołków alpejskich, woła:

— Zapach śpiewa.

Kobieta nie robi zdziwionej miny:

— Posłuchaj tylko dobrze!

Łupinki padają na ziemię, ziarna do koszyka. Zaś Gabrjela wącha pieśń cyklamenów:

Jesteśmy górskiem pokoleniem,
Najwspanialszym rodem wśród wszystkich fiołków.
Dlatego dumne jesteśmy z siebie.
I witamy się wzajem,
Gdy zabrzmi nasze pobliże

Pośród mchu, pośród korzeni, kałuż
i kamieni.
Co chwila dygoczemy z radości,
A radość tylko
Daje moc woni i pieśni stworzeń.
O tak silna, o tak spokojna jest nasza
radość!
Jak wietrzące, nadsłuchujące zwierzęta
pokładają uszy na karku.
Tak my pokładamy płatki swoich kwia-
tów
W rozmodlonej czujności,
I otwieramy wielkie, okrągłe usta,
Aby przyjmować światło i wodę.
Błogosławimy żywioły pożywienia:
Światło i wodę!
Nie przeklinamy żywiołów zniszczenia:
Nocy, wichru i mrozu!
Bowiem i śmierć jest błoga
Gdyż nie trwa długo...

Zalana łzami odrywa się Gabrjela od pieśni cyklamenów, która nie ma końca. Olbrzymie życie rozwiera się przed nią. Chciałaby zrozumieć słowa wszystkich kwiatów. Ale babcia ujmuje ją za ramię. Idą po wysypanej żwirem ścieżce. Trawa, krzewy, drzewa wydają się stworzone nie ze stałej materji, lecz są jakby jedynie rozmaitego stopnia prądem i ukształtowaniem barw.

To nie potężne ćwierkanie świerszczy słyszy się dokoła, ale szum fal światła, odbijanych od ziemi i trawy. Gdyż światło nie jest falującym spokojnie żywiołem, ale kryształowym deszczem ulewnym. Gabrjela nadstawia rękę pod słońce. I widzi, jak krew jej płonie, co tylko dzieciom dane jest widzieć, gdyż dorośli nigdy nie nadstawiają ręki pod słońce. Poznaje, że i krew jest zwolnionem,

gęstopłynnem i zamroczonem przez cień serca światłem.

Poczyna zastanawiać się nad tą tajemnicą: krew! W krwi tej kobiety byli oni, Erwin i Gabrjela, żarliwiej, bliżej niegdyś spokrewnieni, niżeli w krwi rodzonej matki. Ale właśnie wobec niej tak trudno jest o tem mówić. Z warg Gabrjeli zrywa się jednak:

— Czyż to coś złego, że kocham Erwina?

Babcia milczy i spogląda zatroskana. Gabrjela stara się wyjaśnić i obronić to, co niewysłowione:

— Kiedy się razem podrasta... Myślę jego myślami, oddycham jego oddechem, znam wolę jego zawczasu już... Wyczuwam każde drgnienie w nim, którego Judyta nawet się nie domyśla... Co to za fałszywe słowa: Kocham go?... Wszystko to jest przecież o wiele prostsze... Włosy nasze mają ten sam zapach... Cyklameny także się wzajemnie kochają... I toby miało być coś złego?... Gdybyśmy rośli na drzewach, nie byłoby w tem nic złego...

Stara kobieta zaciska niechętnie wargi. Ale Gabrjela nie może się pohamować:

— Babciu! Gdyby on pozostał biedny, mogłabym być najszczęśliwszą istotą na świecie. Ale on się sprzedał, odrzucił siebie. I co najgorsza: On nie jest już sobą i dlatego też nie jest już mną. Nie mówi już swoich, naszych słów, wyobraź sobie, mówi już zupełnie po berlińsku. Że był zmieszany, to mu muszę wybaczyć. Ale jakże mu na Bóg wybaczyć, że nie jest już sobą, lecz niepewnym, zdeprymowanym człowiekiem? Ach, on był moją dumą i moim wzorem. Spodziewałam się po nim, że n a s z y m tonem skrzypiec zdobędzie świat. A on skacze teraz jak obłąkany i skrobie wolę Judyty na skrzypcach. Gdyż kobieta ta napełniła go swoim czarnym olejem. Ona jest tą żółtą skórką, tą gorzką

złością w owocu i dlatego ziarno ma zatruty smak. Czy wszystkie kobiety olejem swoim nadają mężczyźnie gorzki smak?

Gabrjela czuła, jak to i wiele jeszcze płynęło z jej serca. Ale ogród i południe są tak przejrzyste, że posępne słowa wyznania jak para zimowa zawisają jej przed ustami. Jest przez to bardzo niezadowolona z siebie.

Babcia napomina:

— Jesteś przecież taka zmęczona, Gabrjelo. Położę cię spać.

Tak, zmęczona jest i ciekawa snu. Będzie on cudownem przyżyciem, jak jedzenie, picie i pieśń zapachu.

Kobieta wchodzi pierwsza do domu, który jest chatą chłopską, a jednak nie jest. Znajomym i nieznajomym zarazem wydaje się Gabrjeli ten dom. Babcia otwiera jakieś drzwi:

— To twój pokój!

Gabrjela wie natychmiast: To jest oczywiście mój pokój, ten i żaden inny na świecie. Nic nie mogłoby bardziej odpowiadać jej istocie, jak ten mały pokoik z wąskiem łóżkiem, jasnemi ścianami, mnóstwem kwiatów i szeroko otwartemi oszklonemi drzwiami, prowadzącemi na mały balkon. Tym pokojem, tą celą jest ona sama. Nigdzie nie będzie się czuła tak w domu, jak tutaj. Myśli:

„Więc to jest wieczność! Dlaczegóżby nie?“

Babcia, która nosi teraz czepiec mniszki, otwiera drzwi przyległego pokoju. Gabrjela idzie za nią. Pokój ten jest zupełnie podobny do jej pokoju. Niema tu tylko kwiatów, a natomiast stoi mała szafa do książek, w której na najwyższej półce leży futerał ze skrzypcami. Garnuszek mleka i chleb z masłem są przygotowane. Ale małego balkonu niema.

Gabrjela nie potrzebowałaby dopiero poznać starych książek szkolnych i pudła do skrzypiec, aby wiedzieć, że jest to pokój Erwina. Mina starej kobiety staje się coraz bardziej nieubłagana i coraz twardsza. Stanowczym ruchem zamyka okna i okiennice tego pokoju. Robi się ciemno. Potem zabiera garnuszek z mlekiem i chleb i rozkazująco wypycha Gabrjelę z pokoju Erwina zpowrotem do jej własnego pokoiku.

Teraz stawia jedzenie i starannie zamyka dość wielkim kluczem izdebkę brata. Wszystko to dzieje się w milczeniu. Ze wzrastającą trwogą śledzi Gabrjela surowość kobiety:

— Co robisz, babciu?

— Zamykam!

— I Erwinowi nie wolno wrócić do domu?

— Nie!

— A ja go już nigdy nie zobaczę?

Gabrjela chce pochwycić rękę staruszki, ale sięga w próżnię. Woła:

— I tutaj także go nie mogę przyprowadzić?

Dwoma krokami wychodzi babcia na balkon. Jej chłopski grzbiet pochyla się nieubłaganie. Z szerokim zamachem rzuca klucz w głębię. Dostateczna odpowiedź! Nie potrzebowała nawet mruknąć:

— Jeżeli sobie weźmiesz klucz!

Ileż przeżywa Gabrjela w zamęcie tej pełnej wydarzeń chwili! Pokój i sen pociągają ją wtył, myśl o Erwinie pcha naprzód, a niemniej silnie tęsknota, aby znowu wmieszać się między niejasne i brudne sprawy życia, których się lęka. W nagłym wichrze stoi na balkonie. Jeszcze tylko krótki, ostry lęk... I Gabrjela rzuca się, spadając coraz szybciej, w ramiona nieskończonej przestrzeni.

Przestrzeń nie zabija jej.

Jak wierny wielbłąd przyklęka i łagodnie pozwala się jej osunąć pośrodku najpotężniejszego skrzyżowania ulic Berlina.

W tej chwili policjant, kierujący ruchem kołowym, daje znak. Ze wszystkich stron naszają z warkotem autobusy, samochody ciężarowe, luksusowe pojazdy, taksometry. Gabriela uskakuje wbok przed długiem, połyskującem zbytkownem autem — w tej chwili powala ją ciężar autobusu. Długotrwały, nadludzki ból budzi ją.

Gdy Gabrjela obudziła się po straszliwej operacji w swoim pokoju szpitalnym, nikt tego nie zauważył.

Trudnoby też było zauważyć to, gdyż chora nie dawała znaku życia. Ona tylko wiedziała, że się obudziła i znowu jest na świecie. Otworzyć oczu nie miała siły. Ale powieki stały się tak cienkie i tak przejrzyste, że widziała wszystko, co działo się dokoła niej, podobnież jak słyszała wszystkie słowa, wypowiedziane i niewypowiedziane także.

Najpierw poznała pielęgniarkę i asystenta, którzy stali obok jej łóżka. Asystent trzymał jeszcze jej puls. Pośrodku małego pokoju zobaczyła profesora, poczciwego, którego kochała. Nie nosił już białego płaszcza, lecz futro i gotów był do odejścia. W cieniu drzwi dostrzegła Gabrjela jeszcze dwie inne postacie, które jakby się lękały wejść dalej do pokoju. Jedna: Obcy pan, który trzymał w ręku notes.

Zaś drugim mężczyzną był Erwin, jej brat.

Tak! To był cichy głos Erwina:

— I nie daje pan żadnej nadziei, panie profesorze?

Jak potężnie, jak uspokajająco wyglądał profesor w swojem futrze! Gdybyż tylko został! Gabrjela słyszała go:

— Wszystko będzie zależało od serca.

Naturalnie, od tego będzie wszystko zależało. Jak szybko musiał Erwin biec! Słychać było, jak dyszał jeszcze. Raz poraz ocierał czoło chusteczką.

Palto jego — i on nosił bronzowy raglan — było odpięte. Wilgotny blond kosmyk zwisał mu prawie na oczy. Teraz wyszło z niego płaczliwe pytanie:

— Ale jak to było możliwe!?

I powtarzał raz poraz, jak nieprzytomny:

— To okropne, niepojęte, okropne...

Prawie boleśnie dotarł do ucha Gabrjeli nazbyt jasny i bliski głos asystenta:

— Gdyby pan wiedział, ile ofiar nieszczęśliwych wypadków przywozi się dziennie do Charité!

Obcy pan zmusił swoje mruknięcie do łagodnie-ubolewającego brzmienia:

— Przepraszam najmocniej, ale obowiązek mój wymaga, abym zadał temu panu kilka pytań. Formalność tylko. Ale według zeznań naocznych świadków usiłowanie samobójstwa wydaje się niewykluczone.

Gabrjela odczuła, jak Erwin zżymnął się oburzony na przypuszczenie, że mogła chcieć popełnić samobójstwo:

— Ależ to przecie nonsens, jawny nonsens!

Pan odpowiedział uprzejmie:

— Jeden ze świadków naocznych opowiada, że obserwował tę damę, jak przez dłuższy czas błąkała się po ulicy bez celu, niby ślepa, a potem pobiegła wprost pod koła autobusu...

Erwin jęknął z udręką:

— Nonsens, absolutnie nielogiczny nonsens...

Obcy pan urzędowym tonem współczucia zadał pytanie:

— Jak długo bawi już siostra pańska w Berlinie?

Erwina jakby owładnęła nagła gadatliwość:

— Bardzo krótko! Przyjechała z Austrji wczoraj rano pociągiem passawskim o siódmej pięćdziesiąt. Niestety zaszło nieporozumienie. Siostra moja depeszowała, a ja, zahukany, jak zawsze niestety

w moim trybie życia, fałszywie odczytałem dzień i godzinę przyjazdu — przez nieuwagę. Dlatego też stało się tak, że nie byłem na dworcu. Okropnie się tem przeraziłem, ale potem było już za późno. Musicie wiedzieć, moi panowie, że Gabrjela... moja siostra... jest niezwykle wrażliwa, co ja mówię, subtelna, ba, marzycielsko usposobiona. O Boże, jesteśmy do siebie głębiej przywiązani, niż zazwyczaj rodzeństwo; od najwcześniejszego dzieciństwa byliśmy najlepszymi przyjaciółmi! Zawsze była moim aniołem-stróżem, fanatycznie wprost, i to w czasach, gdy nikt we mnie nie wierzył. Ach, co ja też panom opowiadam, Boże mój, Boże mój...

Erwin przerwał sobie, rzucił przerażone spojrzenie na Gabrjelę i skrzywił twarz, jakby musiał a nie mógł nie płakać:

— A teraz... to okropne nieszczęście!

Nieznajomy zajrzał do swego notesu:

— Siostra pańska zamieszkała w hotelu „Zajazd Austrjacki"?

Erwin gwałtowniej otarł czoło i mówił coraz szybciej, tak że Gabrjeli trudno było nie stracić ani słowa:

— Owszem! W takim kiepskim hotelu! I to jeszcze! Mielibyśmy dość miejsca. Mieszkanie nasze jest bardzo wielkie. Należy ono coprawda do mojej żony. Ale to przecież wszystko jedno. Przydarzył się właśnie cały łańcuch fatalnych zbiegów okoliczności. Już ta nieszczęsna niedziela. Miewamy wtedy zwykle — to znaczy moja żona — tak, miewamy wtedy u siebie wiele ludzi, przyjaciół. Rozmawia się o sprawach sztuki, gra się. Ani moja żona ani ja nie byliśmy przygotowani na przyjazd Gabrjeli... na przyjazd mojej siostry...

Gabrjela usłyszała cichy głos profesora:

— Czy doszło między wami do jakichś nieporozumień?

— Bynajmniej! Co też pan myśli, panie profesorze? Nieporozumienia! Dlaczego nieporozumienia? Poprostu był to chaos! Byłem zupełnie zaskoczony, gdy Gabrjela stanęła przede mną. Kiedy człowiek jest zaskoczony, robi głupią minę. A siostra moja miała przecież najzupełniejsze prawo do najbardziej szalonej radości przy powitaniu. Gdyż nie widzieliśmy się przez wiele lat. Teraz ubolewam nad tem głęboko. Gdyż nagle stają ludzie naprzeciw siebie, a te wiele lat... Co pan mówi, panie profesorze?

Profesor nic nie powiedział.

Erwin nerwowo zwrócił się do nieznajomego.

— Skąd takie krańcowe przypuszczenia? Niech mi pan wyjaśni, gdzie powód pańskich domysłów? Gawędziliśmy przecież z sobą wczoraj zupełnie normalnie... Żona moja była oczywiście jeszcze mniej przygotowana na tę wizytę. Wie pan przecież, jakie są kobiety. Inne światy! Zazdrość o chwilę obecną! Zazdrość o całą przeszłość! Stoi się między niemi... Ale ja mówię. A tam leży ona...

Gabrjela wyczuwała z dźwięku głosu profesora, jak głęboko wniknął w jej los:

— Czy siostra pańska była zamężna?

Dlaczego słowa Erwina ścigają się wzajemnie?

— Wdowa, panie profesorze! Umarł przed trzema tygodniami. Radca dworu August Rittner, wysoki urzędnik, przyzwoity człowiek, ale niestety o dwadzieścia pięć lat starszy od niej. W innych warunkach nigdybym nie dał pozwolenia na to małżeństwo, które zresztą było zupełnie szczęśliwe...

Erwin oparł się o ścianę, jakby go ogarnął zawrót głowy, i przymknął oczy:

— Ale życie, moi panowie!

Nieznajomy, który nie ruszał się od drzwi, przeciwstawił teraz podnieceniu Erwina swój obojętnie rzeczowy ton:

— Siostra nie spędziła wczorajszego wieczora w pańskiem towarzystwie.

— O to właśnie idzie. Obiecała nam, że zostanie na kolacji, i nagle znikła.

— Siostra pańska była wczoraj wieczorem w towarzystwie jakiegoś pana na zakończeniu wyścigów sześciodniowych.

Erwin spojrzał zdumiony na nieznajomego.

— Ależ ja o tem nie mam najmniejszego pojęcia. Ja sam nigdy nie widziałem wyścigów sześciodniowych...

Urzędnik kryminalny rozkoszował się faktami:

— Nieszczęście przytrafiło się o ósmej trzydzieści rano. O piątej w nocy widziano tę panią, mianowicie w restauracji kolejowej na dworcu przy Zoo.

Ręka Gabrjeli wyczuła wzbierający gniew w dłoni, która trzymała jej puls. Gniew ten drżał też w pytaniu asystenta:

— Czy siostra pańska po raz pierwszy jest w Berlinie?

Erwin odpowiedział lękliwie, jakby się musiał bronić przed wyrzutem:

— Wyszła zamąż bardzo młodo i dlatego rzadko wyjeżdżała poza Salzburg.

Mocno i jasno padło z ust asystenta:

— Moi panowie, nie uważam za nieprawdopodobne, że chora słyszy większość z tego, co się tu mówi. Poza tem zupełnie bezcelowem jest czynić przypuszczenia co do powodów i przyczyn. Nikomu to nie pomoże. Istnieje bardzo wiele przyczyn na wytłumaczenie rzeczy najnieprawdopodobniejszych. Poza tem i ja sam pochodzę z małego mia-

steczka austrjackiego i pewnego ranka przybyłem po raz pierwszy na dworzec Anhalcki... Niech mnie panowie dobrze zrozumieją! Sam ruch nie jest jest jeszcze tem niebezpieczeństwem...

Asystent urwał, jakgdyby nie miał nadziei, że będzie zrozumiany. Mruknął do siebie:

— W każdym razie ruch w Londynie jest znacznie większy...

Nagle ujął jej rękę mocniej, pochylił się do przodu i począł nadsłuchiwać.

Gabrjela widziała przez zamknięte powieki znaczące spojrzenie profesora, skierowane do asystenta. Ostro i jakby zgóry umówione zabrzmiały słowa asystenta:

— Jeżeli pan profesor rozkaże, uskutecznię teraz zastrzyk.

Profesor zapiął futro i zakomenderował z nagłą brutalnością:

— Proszę panów opuścić pokój chorej!

Gabrjela nie widziała nic więcej.

Ale słyszała obok siebie przyśpieszony, łkający oddech. Wiedziała, że Erwin klęczał obok niej. Wiedziała, że Erwin płacze. Na niewrażliwej dłoni czuła jego pocałunki i łzy. Czuła, że trzymał tę jej dłoń, jak dawniej, jak niegdyś, że ją ściskał i tulił, że się sycił tą dłonią jak owocem...

Ale i Gabrjela trzyma rękę Erwina. Udało się. Obcość roztopiła się. Lata rozwiały się. Odzyskała brata. Wolno jej poprowadzić go zpowrotem do domu.

Ale do żadnego domu i przez żaden ogród nie wiedzie droga. Musi wędrować przez jezioro. Łagodnie i ciepło zwiera się wokół niej sklepienie wody. I bosko lekko oddycha się w zielonkawo-niebieskiej przestrzeni wodnej. Tak dobrze jej z tem życiem, iż Gabrjela nie spostrzega wcale, że dawno już zgubiła rękę Erwina.

Lecz w głębi snu widzi babkę. Kobieta kroczy ciągle naprzód, i Gabrjela musi się śpieszyć, żeby nie zostać bez przewodnika. Nie jest jeszcze dość zręczna, aby szybko posuwać się naprzód w tym żywiole. Babcia nie ma czasu i wydaje się niecierpliwa. Gabrjela słyszy dalekie napomnienie:

— Chodź szybciej, żebym ci nareszcie mogła opowiedzieć twoje życie!

TAJEMNICA CZŁOWIEKA

I

Mondhaus, historyk sztuki, zezował.

Wada ta, która jak wszelka ułomność niewątpliwie odpowiadała jakiemuś rysowi charakteru, nietylko czyniła go niesympatycznym, ale powodowała, gdy się z nim miało do czynienia, jakieś szczególne zakłopotanie. Uczciwy dialog był z Mondhausem niemożliwy, gdyż zdawało się zawsze, że przywołany przez podwójny wzrok znajduje się przy tem jeszcze ktoś trzeci. Jego szybka, bezbarwna mowa podobna była jak dwie krople wody do „mówienia na stronie“ w dawnym stylu dramatycznym.

Poza tem był Mondhaus specjalistą „baroku austrjackiego“, na cobym jednak nie przysiągł. Mógł być tak samo specjalistą „wiejskiego malarstwa na szkle“ lub „wczesnego gotyku alemańskiego“. Obok tej działalności naukowej pisywał dla kilku gazet artykuły pod wspólnym tytułem „Listy Włoskie“, przyczem potrafił stwarzać ostrą potrawę z zamachów, wystaw sztuki, wieców politycznych, uroczystości sportowych, sensacyjnych przestępstw, premjer operowych, skandali towarzyskich, społecznych obrazków nastrojowych, impresyj pejzażowych, wytwornych znajomości, a więc z najróżnorodniejszych korzeni. Był on wcieleniem niewzruszonego wtajemniczenia. Znałem go oddawna. Kto nie znał Mondhausa? Bywali nawet ludzie, którzy cenili bardzo jego artykuły.

Owego jednak popołudnia, wydawał się zupełnie

wytrącony z równowagi. Ekscentryczniej niż kiedykolwiek przemykały się jego spojrzenia obok ludzi i przedmiotów. Dwujęzyczność jego była niemożliwa do zniesienia, ale niepodobna się było od niej uwolnić.

W charakterze moim nie leży bynajmniej tracić panowanie nad sobą na widok starych palazzi, dostojnych skarbów sztuki i zatęchłych mebli, ani też narażać się przy lada sposobności na trudy, aby się móc rozkoszować ich widokiem. Nie szczycę się wcale tą otępiałością, która spycha mię przecież, w przeciwieństwie do upijających się pięknością znawców, w ową niższą, niewysubtelnioną kastę nerwów, dostępniejszą raczej dla mniej wytwornych rozkoszy ucha.

Ale tym razem byłem przez tak wiele tygodni samotny w mieście, nie rozmawiając prócz kelnerów, portjerów i gondoljerów z żadną istotą ludzką, że przypomniałem sobie nagle polecenie do malarza Saveria S. i natychmiast, ogarnięty ucieczką przed sobą i głodem ludzi, pojechałem na przedmieście.

Kiedy w wysławianej willi zastałem nietylko pana domu, ale całe towarzystwo, przeraziłem się bardzo. Odzwyczaiłem się od mówienia, moja zdolność poruszania się między ludźmi zardzewiała zupełnie, czułem w sobie owo nieswobodne zakłopotanie, które tak wiele godzin młodości zaprawiło mi goryczą.

To mogło być powodem, dla którego aż nazbyt chętnie przyłączyłem się początkowo do Mondhausa, jedynego znajomego, który natychmiast uczynił mię ofiarą swoich źle wycelowanych spojrzeń i dobrze wycelowanych uwag.

Zachowywał się, jakby był tu u siebie w domu, i przy pierwszej sposobności odciągnął mię nabok:

— Więc i pan przychodzi obejrzeć sobie naszą osobliwość?

Nieodrazu go zrozumiałem, co jednak nie zbiło go z tropu:

— Niezły objekt dla psychologa!

Kogo on ma na myśli, zastanowiłem się; stawało mi się coraz bardziej niemiło, że mówiąc kłuł palcem moje ramię:

— Więc po pierwsze, podaje się za Włocha. Ale proszę pana, czy triesteńczyk (w najlepszym razie triesteńczyk!) jest Włochem? Triest należał do Austrji. To wiadomo. Triesteńczycy pochodzą z Bukowiny, wiedeńczycy z Moraw, czy też naodwrót...

Teraz dopiero wiedziałem, o kim mówił:

— Proszę bardzo, niech pan tylko zwróci uwagę na jego wymowę włoską! Ma ona ten sam godny uwagi odcień, co jego wymowa niemiecka. A czy zauważył pan jego sposób podawania ręki? Prawda, całą siłą prosi człowieka o przebaczenie. Wie napewno, dlaczego...

Istotnie zauważyłem w uścisku ręki pana Saveria i w jego powitaniu pewną przesadę. Od uścisku, który nawet dla przypieczętowania związku przyjaźni byłby za silny, ciągle jeszcze bolała mię ręka. Byłem dla niego obcym człowiekiem, poleconym mu tylko bardzo powierzchownie. Dlaczego ruchem niemotywowanego porozumienia przyciągnął moją rękę do serca? Dlaczego wpił oczy tak głęboko w moje, jakby chciał powiedzieć: „Znam cię“ i „Oto się nareszcie znaleźliśmy!“

Nawet bez podszeptu Mondhausa byłbym zauważył, że w serdeczności tego powitania oczyma, które w równej mierze stawało się udziałem każdego gościa, był jakiś wysiłek, coś fałszywego, ba, żebrzącego.

Saverio był człowiekiem ociężałym. Zadzierał

wysoko gładką, żółtą twarz, podobną do rozmiękczonej przez tłuszcz głowy Rzymianina, jakby mu nie wystarczał wielki wzrost jego wspaniale ubranej postaci, chociaż przewyższała wszystkich. Ale to przeciąganie się wydawało się w nim jedynym rysem nieskromnym.

Nigdy nie widziałem człowieka, którego wiek tak trudno byłoby określić. W jego gęstych włosach nie dostrzegłem ani jednej siwej nitki.

Mówił naprzemian po niemiecku, włosku i angielsku. W tym ostatnim języku tylko wówczas, gdy zwracał się (co za osobliwość) do tęgawej Angielki, podobnej dzięki rozdzielonym na przodzie siwym włosom i skośnemu, bezmyślnemu uśmiechowi do maski chińskiej lub tybetańskiego kota.

Nie mogłam się żadną miarą zgodzić z krytyką historyka sztuki. Saverio mówił wszystkiemi językami w sposób, który właśnie podobał mi się przez swój kosmopolityzm. Prawda, że i wymowa jego odznaczała się podobną przesadą, jak jego uścisk dłoni, ale była cicha, nieco zachrypła, a żebrząca jej melodyjność mile uderzała ucho.

Rozmawiał z dwiema paniami: matką i córką. Zdumiewałem się nad gładką trywjalnością jego koplementów, które w pojęciu mojem zupełnie nie zgadzały się z jego osobą. Zdawał się on należeć do owych ludzi, którzy sądzą wobec każdej kobiety, iż posiadają jakieś urojone zobowiązania.

— Chciałbym być młodym, tylko aby móc wierzyć, że mogę jeszcze mieć nadzieję.

Odnosiło się to pięknej, płomiennowłosej córki, która rzadko tylko odrywała pełen podziwu wzrok od własnych nóg.

— Co pocznę z fotelem, na którym pani siedzi?

To się odnosiło do pięknej matki, która zaśmiała się na ten niesmaczny nonsens, ale której ramiona zdradziły jednak zadowolenie.

(Ta sama dama powiedziała kiedyś po latach do jakiegoś przyjaciela: Ten Saverio był ciekawym człowiekiem, ale jako mężczyzna wogóle nie wchodził w rachubę. Przynajmniej dla mnie. Córka zdawała się coprawda nie podzielać tego poglądu matki. Gdyż — jak twierdził Mondhaus — zjawiła się pewnego dnia z całym bagażem u malarza i rzuciła mu się na szyję, przyczem Saverio zachował się zupełnie po rycersku i odesłał panienkę matce. Jest to tylko plotka, pogłoska, a przytem pogłoska z ust Mondhausa. Ale wiele pogłosek otaczało tego Saveria S.)

Gdy Saverio miękkim głosem prawił swoje komplementy, zbożnie ślizgając się spojrzeniem po godnych podziwu linjach dam, oczy jego były jednak głęboko zasępione. Niekiedy porzucały przedmiot swego podziwu i z wyrazem przyłapanej na gorącym uczynku niepewności szukały w pokoju jakiegoś sędziego.

Zdawało się, że znajduje się on tu istotnie.

Jest rzeczą zrozumiałą, że nie wymienię nazwiska słynnego, międzynarodowo słynnego malarza, który znajdował się owego popołudnia w naszem towarzystwie. Był to barczysty mężczyzna w wieku pięćdziesięciu lat, którego pewna siebie postać zamiast w normalnem ubraniu tkwiła w bezkształtnym, dziwacznym worku. Owłosione ręce z szeroko obciętemi paznogciami, podkute żelazem trzewiki uzupełniały obraz kroczącej mocno, zrosłej z ziemią chłopskości, stojącej w rażącym kontraście do elegancji Saveria. Twarz sławy, o wystających kościach policzkowych, wielka łysina, czarna broda, wszystko to przypominało wyraźnie ów autoportret Cezanne'a, porywający wszystkich znawców. Nie chcę powiedzieć nic złego, ale podobieństwo to posuwało się zbyt daleko. Twarz słynnego malarza można było niemal nazwać plagjatem. Ale był to

oczywiście tylko plagjat zupełnie niewinny, absolutne podobieństwo przez powinowactwo z wyboru.

Mężczyzna ten palił krótką fajkę, trzymał się na uboczu, z powagą obserwował ściany i wszystko, co na nich wisiało, wyglądał przez okno, mrużąc przytem oczy i jakby dzieląc to, co widział, na wycinki pejzażowe. Jedyne, cośmy od niego słyszeli, był to oddech, który głośno i z wysiłkiem przedzierał się przez nos.

Wiele razy jeszcze spotykałem tego słynnego malarza, nie przypominam sobie jednak, abym usłyszał od niego pięćdziesiąt słów. Natomiast mam jeszcze w uchu zupełnie określone, pełne indywidualności chrząkanie, które wydawał jako oznakę uznania lub przygany, i widzę przed sobą jego pięść z olbrzymim, wygiętym nazewnątrz kciukiem, którym rąbał w powietrzu szeroko zakreślone hieroglify. Był to pełen wyrazu i szczery gest malarski.

Nie dla przyjemności zebraliśmy się w domu Saveria — pałacu letnim jakichś szlachciców renesansowych. Pod przewodnictwem pana domu zaczęło się już oprowadzanie. Nie będę oczywiście opisywał obrazów, rzeźb, skrzyń, szaf, drzwi, tkanin, brokatów, aksamitów, kosztowności wszystkich wieków, rozsianych po tym domu w sposób jak najmniej wpadający w oko i jak najoszczędniejszy. Dzieło sztuki, piękny przedmiot, gdy pokazuje go nam przypadek, gdy odkrywamy go przy wałęsaniu się po mieście, może zachwycać. Ale konieczny jest do tego przypadek, nieprzewidziany zbieg okoliczności, radość odkrywcza, intymność chwili. Obok wspaniałości muzealnych przechodzi się natomiast z przepisowym podziwem i mniej przepisowem zmęczeniem. Każdy zbiór narzuca się i oszołamia. Skarby Saveria odznaczały się coprawda szczególnie rzetelną wartością. Nawet słynny malarz wobec

niektórych dzieł porzucił swoją zarozumiałą obojętność. Mimo to prawie nic z tego nie zachowałem w pamięci, gdyż indywidualność Saveria niepokoiła mnie i odwracała moją uwagę.

Mondhaus nie odstępował od mego boku. Odczuwał widocznie wielką obawę, że nowicjusz mógłby iść po tych salach niewtajemniczony i wierzący:

— Na wypadek, gdyby pan miał nic nie wiedzieć: Ani ten dom, ani te rzeczy nie należą oczywiście do niego. Jest on poprostu agentem Barbieriego. Sprzedaje w wytworny sposób i gra rolę bogatego człowieka i artysty. Ale to tylko zwierzchnia glazura. Gdyż jest on bardzo skomplikowaną species.

Raziła mię ta oszczercza gadanina obok mnie. Ostatecznie znajdowaliśmy się w domu tego obgadywanego tak sromotnie człowieka. Do kogo należał dom z jego skarbami, było mi zupełnie obojętne. Starałem się uwolnić od towarzysza. Ale Mondhaus, który spostrzegł, że plotki jego działały mi na nerwy, zdwoił wysiłki:

— Musi mię pan we właściwy sposób zrozumieć. Z a c h w y c a m s i ę Saveriem. Jest on prawdziwym unikatem. Nie uważa mnie pan chyba za moralistę, który postawił sobie za zadanie zdemaskować naiwnego szalbierza. Niema tu wogóle nic do demaskowania, gdyż cały świat wie o wszystkiem. Pomyślałem sobie jednak, że pan interesuje się pewnemi zjawiskami kulturalnemi Włoch. Mogę panu powiedzieć, że czyniłem gruntowne studja. Antykwarstwo naprzykład! Niewyczerpany wprost temat. Tę powieść musi pan napisać. Chętnie służę panu szczegółami... Piękne tu są rzeczy, co?

W tej chwili martwa łapa Mondhausa spoczęła na jakiejś szlachetnej rzeźbie. Był to gest tak odrażający, jakby ktoś tępemi palcami sięgnął w kwiaty. Tylko człowiek, nienawidzący sztuki,

mógł mieć takie ręce i w ten sposób dotykać niemi uduchowionego przedmiotu. Powtórzył:

— Piękne rzeczy? Pytam pana, co jest prawdziwe, co jest fałszywe? Niech się pan uspokoi! Nie wiedzą tego uczeni, i nawet laicy tego nie wiedzą. Decyzja co do tego należy do bonzów muzealnych, którzy wiedzą najmniej. Natomiast wiedzą ci panowie, ile takie ekspertyzy warte są w dobrej walucie. — Co do mnie, płaciłbym za fałszowane przedmioty więcej, niż za prawdziwe. Co za genjusz tkwi w tych nie dających się przejrzeć fałszerstwach! Niech pan sobie tylko wyobrazi takiego zucha, który dzisiaj jest starszym Bellinim, jutro Tintorettem, Mantegną, Carpacciem, raz Donatellem, raz znowu Michałem Aniołem. Niech pan to sobie przetłumaczy na literaturę! Który ze wszystkich żyjących poetów potrafiłby w sposób wiarogodny i nie stając się parodystą sfałszować, powiedzmy, jakiś nieznany dramat Szekspira? Żaden! A niech pan zważy przytem, jak niewyczerpaną jest Italja od wieku! Coraz to zjawia się, nie mówiąc o mniejszych bogach, jakiś nieznany Tycjan, na którym handlarze i pośrednicy zarabiają setki tysięcy. A tymczasem genjalny fałszerz siedzi w jakiejś dziurze i musi się zadowolnić skąpem odczepnem. Ja sam odwiedziłem kiedyś jednego z tych wspaniałych zuchów w jego jaskini. Było to w Caserta. Nigdy się ich nie spotyka w większych miastach...

Chociaż towarzystwo, prowadzone wdół i wgórę po schodach, szło grupami i nikt nie mógł słyszeć Mondhausa, paplanina jego stawała się dla mnie jednak coraz bardziej przykra i chciałem jej położyć kres:

— Pan S. jest przecież nietylko zbieraczem, ale przedewszystkiem malarzem.

Nieregularne spojrzenia Mondhausa usiłowały skoncentrować się na mnie:

— Malarzem!? Przysiągłbym, że nie trzymał on pendzla w ręku dwa razy w życiu. Wątpię nawet, czy potrafi odrestaurować najprostszy obraz, od czego przecież co drugi antykwarjusz we Włoszech zaczyna karjerę. Jest on tak samo malarzem jak pan lub ja. Ale pod tym względem weźmiemy go dzisiaj trochę na ząb.

Szybko odszedłem od Mondhausa do innych, którzy zebrali się teraz wszyscy przed jakimś drzeworytem. Była to bardzo wczesna „Pietà" z ukośnie-sztywną Madonną i Chrystusem, który bez punktu ciężkości przecinał ją jako przekątna. Wszyscy byli zachwyceni. Prymitywy należały do dobrego tonu. Nawet znakomitość chrząknęła, zakreślając śmiało wygiętym i zużytym kciukiem rytm rzeźby w powietrzu.

Byłem już tak dalece zatruty przez gadaninę Mondhausa, że wbrew woli musiałem bystro obserwować pana Saveria S. I rzeczywiście — tak mi się wówczas zdawało — istota jego zdradzała coś mrugającego i niezwykle zakłamanego. Nie patrzał wcale na „Pietà". Zdawała się go interesować równie mało, jak dzieło sztuki interesuje woźnego w muzeum, który je objaśnia gościom, albo towar subjekta, który go sprzedaje. Nastawił natomiast twarz na wyraz rzekomej świętości, jakby oświetlając ją światłem, na które posiadał specjalny włącznik, i dotykając pięknemi palcami o delikatnych koniuszkach fałd szaty Madonny, rzekł głucho, jakby kondolując z powodu wypadku śmierci, który dotknął nas wspólnie:

— Czem my wszyscy jesteśmy wobec tego?

Mondhaus spojrzał na mnie. I ja wyczułem coś napuszonego, zawstydzającego niemal w tym wzrocie.

Herbatę podano w atelier Saveria. Dlaczego sala ta nazywała się atelier, trudno było zrozumieć,

chyba dlatego jedynie, że była wielka i miała bardzo wysokie okna. Pomyślałbym raczej o salonie muzycznym. Gdyż stał tam fortepian, fisharmonja i kilka gramofonów. Nie widać było jednak ani śladu stalug, płócien, rajsbretów, ram, palet ani innych insygnjów malarstwa. Natomiast w jednym kącie nagromadzone były zasznurowane, gotowe do podróży bagaże, co nadawało pokojowi wygląd prowizoryczny, stwarzało nastrój odjazdu i ucieczki.

Dlaczego mając do rozporządzenia tyle wspaniałych komnat, zaproszono nas na herbatę właśnie do tego atelier, które zdawało się przyznawać rację wszelkim możliwym podejrzeniom Mondhausa? Rzekomy malarz i pan domu okazywał oszukańczą uprzejmość. Osobiście nalewał herbatę, dotknął mię czule, gdy przyszła na mnie kolej, i wyraził wzruszoną radość, że go zaszczyciłem odwiedzinami. Przed słynnym malarzem ugiął ze czcią kolano, co wyglądało zarazem pokornie i niemile. Mondhaus otrzymał lekkiego, przyjacielskiego klapsa, który mówił jakby:

„Znam wprawdzie twoje zgryźliwe sądy, ale u mnie nic ci to nie zaszkodzi".

Przez chwilę jeszcze osnuwał swoje dwie sąsiadki, matkę i córkę, właściwą sobie żebrzącą melodyjnością, poczem oznajmił nam:

— Cieszę się, że widzę dziś państwa wszystkich u siebie, gdyż jutro rano wyjeżdżam.

Wskazał przytem na kufry.

Ze wszystkich stron rozległy się pytania, dokąd jedzie. Nie zadawał sobie nawet trudu opanowania słodkawej miny:

— W Szwajcarji jest już wspaniały śnieg. Jestem namiętnym narciarzem i jadę do Arosy.

Mondhaus, który siedział obok mnie, trącił mię i syknął mi do ucha:

— Ani słowa prawdy! Wiadomość ta kosztuje go

trzy tygodnie wygnania do Treviso, które musi odsiedzieć, aby być w Arosie. Znam to już. Co rok powtarza się ta sama historja.

Starałem się odkryć w Saveriu S. jakąś oznakę, któraby mi mogła wyjaśnić bezsensowność tych głupich przechwałek. Czy właściciel tego palazzo i tych skarbów sztuki musiał się pysznić przeciętnie-wielkoświatowemi gestami, rzeczami, któremi nie chlubiłaby się dusza subjekta? Prawda, był tylko agentem pałacu. Ale mogło to być także oszczerstwem, gdyż oficjalnie był on panem domu. Może miał za sobą młodość ciężkiego ubóstwa; a to pozostawia zawsze u najkulturalniejszych nawet ludzi jakąś absurdalną resztkę. Ale dłonie miał miękkie i wrażliwe. Takie dłonie nie przeżyły nigdy ubóstwa. — Do Treviso? Zagadkowe! Ale Saverio sam teraz wyjaśnił zagadkę swojej podróży, a byłem w zupełności skłonny wierzyć mu na słowo:

— Oczywiście jadę do Arosy nietylko dla samego sportu. Pewien mój znajomy, nawet przyjaciel, posiada tam wpobliżu piękną willę podmiejską. Co? Nie, wszyscy go państwo nie znacie. Mam od niego pewne zamówienie...

Pięści Mondhausa bębniły po moich kolanach. Saverio jakby coś wyczuł, gdyż dodał nieśmiało, posyłając lekko-wychłostane psie spojrzenia ku znakomitości:

— My współcześni nie potrafimy już niestety z uczciwem przekonaniem malować fresków. Brak nam tła socjalnego. Na miłość boską, nie chciałbym wobec naszego czcigodnego gościa powiedzieć czegoś nieskromnego. Korzę się przed nim... Ale, wiecie państwo przecie: Wielkie ściany kuszą malarza ...

Nagle głos Mondhausa zabrzmiał ku naszemu gospodarzowi z zaakcentowaną wyrazitością:

— Mistrzu! Dzisiaj nie wykręci mi się pan!

Zagadnięty okrył się natychmiast ciemnym rumieńcem.

Mandhaus nie ustępował:

— Od lat już obiecuje nam pan zbiorową wystawę. A nigdy jeszcze nie widzieliśmy żadnego obrazu pańskiego. Pańscy przyjaciele w Arosie są szczęśliwi. Dla nich maluje pan odrazu całe ściany. A my odchodzimy z próżnemi rękoma. Ale teraz nadeszła chwila. Zebraliśmy się w pańskiem atelier i nie wymknie się nam pan.

Saverio rzucił na słynnego malarza spojrzenie delikwenta, któremu odczytują wyrok śmierci. Ten nie powiedział coprawda ani słowa, ciągnąc swoją fajkę z jęczącym oddechem. Ale potem z krtani jego wydobył się chętny pomruk. Przedsiębiorczo odsunął od ciała krótkie ramiona, jakby się gotował do zapasów, ciekaw, kto się chce z nim zmierzyć.

Czoło Saverio było blade i wilgotne. Wybełkotał, tracąc panowanie nad sobą:

— Niemożliwe! Widzicie państwo: moje rzeczy są zapakowane lub pochowane. Jakżebym mógł...

Mondhaus nalegał spokojnie:

— Malarz nie pakuje ani chowa wszystkich obrazów.

— Mam tutaj tylko bardzo niewiele rzeczy. Wszystkie one są stare i niezbyt wartościowe. Nie mogę...

— To dziecinne wykręty!

Saverio przez cały czas tej walki nie odwracał oczu od sławy:

— Nie będę przecież żądał od takiego mistrza...

Mondhaus zagrał swój atut:

— Niech się pan cieszy, że ma pan przed sobą wielkiego człowieka. A do sądu nas pozostałych będzie pan przywiązywał mniej wagi.

Saverio pochylił nieszczęśliwe czoło i przez

chwilę milczał z rozpaczą. Potem rzekł znowu skargliwie:

— Nie mogę!

Ale dokoła zabrzmiały już raniące namowy, jakiemi towarzystwo ludzi obojętnych łaskawie zachęca artystę, aby wydał swoje dzieło na łup:

— Prosimy tylko bez wykrętów!

Saverio, o którego drżałem, był zgubiony. Wstał jako tęgi, stary człowiek i podszedł do okna, przez które wdzierało się ciemno-złote już światło późnego popołudnia. Miał rzeczywiście pecha. Jeszcze pół godziny, a byłby wieczór. Żaden znawca sztuki nie mógłby wtedy żądać, aby mu pokazano obraz.

Po chwili można było zauważyć wyraźnie, że Saverio powziął jakąś decyzję. Ale uczynił coś zupełnie nieoczekiwanego.

Powoli, jakby chcąc zyskać na czasie, podszedł do jednego z gramofonów, nakręcił go i puścił płytę. Z aparatu głos Carusa począł wyrzucać swoje potężne kantyleny. Ale niedość na tem! Teraz napastowany malarz puścił w ruch mechanizm elektryczny, umieszczony wtyle fortepianu, i potężny śpiew zagłuszyła brawurowa etjuda, bębniona przez zamaszyste łapy upiorne.

Było to coś nie do opisania. Niema okropniejszej, bardziej demonicznej wrzawy, jak niedobrowolne przenikanie się różnorodnych muzyk. Może się o tem przekonać każdy, kto zatrzyma się na placu zabaw, jarmarku, w lunaparku w ognisku dźwiękowem kilku katarynek karuzelowych. Polifonja taka jest dźwiękowym obrazem zamroczonej duszy, obłędu, otchłani.

A tu nadomiar w wysokiej, akustycznej sali!

Co to miało na celu? Czy nasza zdolność sądu miała być przez to zniweczona? Czy nieczyste sumienie wymagało takiego ogłuszenia się? Czy to był wybuch człowieka przyciśniętego do muru, czy

też dzika poza? Wszyscy spojrzeliśmy po sobie. Nawet Mondhaus znieruchomiał. Tylko słynny malarz pozostał zupełnie chłodny i obojętny. Spoglądał jak zimny fachowiec, który nie ma najmniejszego zamiaru dać się wywieść w pole przez kuglarską wrzawę. Wydawał się zupełnie niezaskoczony, jakby znał wrzask, jaki podnoszą oszuści, gdy się ich przyłapie. Ale za tę pewną siebie obojętność począłem teraz nienawidzić sławnego człowieka.

Saverio niepostrzeżenie wydobył skądsiś jakiś obraz. Była to mała rzecz, w ramie pod szkłem.

Zaczekał, aż wszyscy zbliżyliśmy się do niego, potem odwrócił się nagle szybko, tak że stanął twarzą do okna. I teraz, kurczowym ruchem, skierował obraz pod światło, wepchnął go niemal w złoty prostokąt okna.

Ujrzeliśmy czarną powierzchnię szkła, więcej nic.

Wszyscy milczeli, a zagmatwana muzyka szydziła z tej sceny.

Mondhaus chwycił Saveria za ramię:

— Odwrócić, mistrzu, odwrócić! Źle widzimy.

Ale wyszydzony obnażył zęby i wybuchnął z nieopanowaną wściekłością:

— Nie zna się pan na niczem, człowieku! Tak jest dobrze, tak, tak, tak!

Ta nagła wściekłość przeraziła mię. Pozostawała ona w rażącem przeciwieństwie do dotychczasowego łagodnego usposobienia Saveria.

Jakby szukając wybawienia i pomocy, zwrócił się drżący z podniecenia mężczyzna do słynnego malarza. Ale ten dawno już nie stał za nim, zaledwie musnął obraz wzrokiem i stukając podkutemi bucikami wałęsał się po pracowni, zainteresowany bardzo grzmiącą muzyką płyty. Jako wcielona suwerenność i pogarda trzymał się na uboczu. Od

tego szarlatana, który pokazywał brunatnawe płótno pod światło, do prawdziwej sztuki, oddającej poezję świata w nieprzekupnych barwach, od Saveria do niego nie było mostu.

Ale mimo hałaśliwej wrzawy instrumentów, mimo daleko hałaśliwszego i bardziej przykrego milczenia, usłyszałem w piersi Saveria jakiś szloch i usłyszałem, jak zęby jego zazgrzytały namiętnie.

Dłużej niepodobna było tego znieść. Ktoś musiał przemówić słowo. Ja! Aby się móc na to zdobyć, zbliżyłem się zupełnie do obrazu, gdyż byłem przekonany, że Saverio nie kpił z nas.

Początkowo nie ujrzałem na ciemnem szkle nic prócz własnego odbicia. Chciałem jednak przeniknąć poprzez swoje odbicie i przezwyciężyć je. I rzeczywiście, przed bystrzejszem spojrzeniem znikło ono stopniowo. I zwolna wyłoniło się z czarnego tła upiorne oblicze męskie o takiej sile duchowej, tak niezwykłem doświadczeniu cierpienia, że teraz, gdy piszę to po latach, że teraz i zawsze mogę tę twarz wywołać przed swemi oczyma.

Jestem oczywiście laikiem i muszę uchylić czoła przed sądem znawców. Ale wiem, co mówię. Jeden tylko jeszcze portret męski wywierał takie wrażenie, jak ta głowa, co na chwilę wynurzyła się z nieokreślonego tła szklistej powierzchni. Może to bluźnierstwo, ale nie widzę na to rady: ... Król Saul Rembrandta, zakrywający sobie oczy...

Czy to było malowidło, kuglarstwo, moja własna imaginacja?

Nie wiem.

Ale przejęty zachwytem a zarazem ogarnięty mocną radością, że mogę się sprzeciwić sławnemu malarzowi, zawołałem:

— Jakie to piękne!

A za mną odpowiedział triumfalnie głos Saveria:

— Prawda!?

II

Temu okrzykowi zawdzięczałam, że Saverio nie pożegnał mnie razem z innymi.

Gdy towarzystwo rozchodziło się — stało się to w chwilę później — nie był już człowiekiem owego szlochu i zgrzytania zębów, ale znowu eleganckim panem domu i światowcem o wymuskanych frazesach, który ubolewał nad wczesnem odejściem przyjaciół i głaszczącym głosem użalał się szczególnie na odejście dwóch pięknych pań. Brak charakteru, umożliwiający tak szybką zmianę, był wprost nie do wiary. Nawet Mondhaus, który tak mu dokuczył, spotkał się z gorliwem zaproszeniem, aby przyszedł znowu. Także wielki malarz odszedł zasypany podziękowaniami za swoją wizytę.

Gdy jednak ja chciałem odejść jako ostatni, ręce Saveria z mocnym uściskiem wepchnęły mię zpowrotem do atelier.

Byliśmy sami. Muszę wyznać, że teraz „oczekiwałem“ czegoś, powiedzmy: „prawdy“. Doznałem rozczarowania. Gdyż Saverio z przykrą przesadą pędził po pokoju i gorączkował się:

— Czy bywają więksi szubrawcy jak artyści? Obserwował go pan?

Wymienił nazwisko sławy:

— Żadna pycha nie może być tak sataniczna! Czy wyczuł pan, jak ten kleksiarz gardzi mną, gdyż obraz mój nie posiada przepisowego koloru? Nawet nie spojrzał. Coś takiego dla niego nie istnieje wogóle. „Ciemny sos“, myśli, „jakby

nigdy nie istnieli Francuzi!" I jaki ten ograniczony drab jest pewien siebie! Nie mógłby sobie wogóle wyobrazić, że istnieje inna droga, niż jego własna.

Saverio miał udręczoną twarz, jak człowiek, w którego ustach słowa wbrew woli stają się nieprawdziwe. Ciągle jeszcze biegał dokoła. Potem zawołał:

— Czy pan nie sądzi, że i ja się zmagam?

Wszystko to wypowiedziane było z taką przesadą, że nie zrozumiałem ani słowa. Także wyrażenie „zmagać się" nie przypadło mi do smaku. Podniecony malarz chwycił znowu moją rękę:

— Pan jeden mię zrozumiał!

Coś w moich oczach gniewało go widocznie. Gdyż nagle pożółkł zupełnie i zmienił ton:

— Czy widział pan mój obraz dokładnie?

Pytanie to stropiło mię tak bardzo, że nie wiedziałem (i nie wiem do chwili obecnej), czy rzeczywiście widziałem ten uduchowiony portret męski, czy nie. Ale odpowiedziałem ze stanowczością:

— Dokładnie!

— Niech się pan zastanowi! Czy może pan przysiąc, że widział pan tę głowę?

Chociaż nie mogłem przezwyciężyć swoich wątpliwości, spojrzałem mu w oczy i rzekłem:

— Tak!

Ale on mrugnął oczyma:

— A jeżeli ta głowa była tylko sugestją?

Czyżby był tak ambitny, że nagle spodobało mu się zamiast malarza grać rolę czarodzieja? Roześmiałem się:

— Niestety nie jestem medjum. Sugestja nie udałaby się panu ze mną. Zresztą niech pan jeszcze raz spróbuje! Gdzie jest ten obraz?

Saverio milczał i zapalił światło, tak że powstał bardzo niemiły półcień, gdyż za oknami daleko było jeszcze do zmroku. Teraz podszedł się do mnie

zupełnie blisko i rzekł cicho, jakby musiał zdradzić coś bolesnego:

— Jest pan przyjacielem pana Mondhausa! I pan Mondhaus niewątpliwie dał panu do zrozumienia, że nie jestem malarzem.

Broniłem się energicznie.

— Nie jestem przyjacielem pana Mondhausa! Ale to prawda, iż jest on przekonany, że pan nie jest malarzem.

— A co p a n sądzi?

— Ja widziałem pański niezwykły obraz i wierzę bezwzględnie, że pan go namalował.

Saverio wydawał się nieszczególnie uradowany tem mojem credo. Może nie ufał mi:

— Dlaczego pan tak sądzi? Cóż panu daje prawo sądzić tak?

— Na to nie mam odpowiedzi.

Saverio pozostał uparty:

— Przypuśćmy naprzykład, że trzymałem pod światło jakąś starą, zakopconą szmatę...

Milczałem. Zaś Saverio podkreślił słowo „przyjaciel", aby mię rozgniewać:

— Pański przyjaciel, pan Mondhaus, wyjawił panu jeszcze inne rzeczy o mnie. Że dom mój jest lokalem handlowym Barbieriego. Co? A ja jestem czemś w rodzaju jego utrzymanka. Co? Zadaniem mojem jest zwabiać bogatych Amerykan. Co?

Oświadczyłem, że wszystkie te fakty nie interesują mnie. Ale Saverio biegał po atelier i twierdził — przyczem usposobienie jego nabrało znowu czegoś niemile słodkawego — że niestety jest estetą i nie może żyć bez otoczenia pięknych przedmiotów. Potem zaś oddał się swojej nienawiści:

— Jacy to wszystko przebiegli szperacze, ci Mondhausowie! Widzą rzeczywiście wszystko, co można zobaczyć. Mondhaus! Czy nie uważa pan, że wszyscy ludzie mają w ł a ś c i w e nazwiska?

Zatrzymał się:

— Mond! Księżyc! Z księżyca widzi się zawsze tylko jedną stronę, prawda?

Ale zanim jeszcze mogłem odpowiedzieć na to, oświadczył:

— Musi pan wiedzieć, że jestem bardzo niewykształcony, uczyłem się o wiele za mało.

I to wyznanie wydało mi się niewiarogodne.

Wlepił we mnie wzrok:

— Ile pan ma lat?

— Zaczynam trzydziestkę!

— I ma pan być sławny? Co?

Musiałem się roześmiać:

— Ze wszystkich cierpień sława najmniej mi doskwiera.

Saverio pozostał poważny:

— Powiem panu coś: Niech pan spróbuje stać się sławnym dopiero w czterdziestym roku! Ale powolutku! Stopniowo!

Zdziwiła mię ta recepta:

— Dlaczego daje mi pan tak komiczną radę?

Saverio perorował:

— Dlaczego? Gdyż niewiele się już panu wtedy może przydarzyć. Bo straszną jest rzeczą, panie, mieć sławę z a s o b ą!

Chociaż i to zdanie brzmiało bardzo bombastycznie, uczułem lęk przed dalszemi pytaniami. Ale on z niezrozumiałych powodów zgasił znowu lampy na suficie i pozostawił tylko oddaloną lampę stojącą, wskutek czego zwiększony mrok stał się jeszcze bardziej deprymujący. Potem rzekł, aby mi dodać otuchy:

— Dość jeszcze pozostaje sławy dla poety. Niech pan weźmie Dantego! Ten nieszczęśliwiec stworzył Pieklo, Czyściec i Raj, ale Lasu nam nie dał.

Saverio stanął znowu w pozie starego, zasmuco-

nego komedjanta i począł recytować pierwsze tercyny Komedji.

W tem miejscu muszę wtrącić pewne wspomnienie:

Podczas wojny przybyłem kiedyś do Gemony, małego miasteczka w Alpach weneckich, gdzie znajdowała się jakaś austrjacka komenda korpusu. Jako podróżujący samotnie żołnierz, poszukujący swego oddziału, więc nigdzie nie przynależny, nie mogłem znaleźć kwatery w przepełnionych mieszkaniach miasta. Pod wieczór, wyszedłszy za miasto, natknąłem się na większy folwark chłopski, gdzie przyjęto mię życzliwie. Co dziwna, posiadłość ta uniknęła kwaterunku. Otrzymałem — wydało mi się to cudem — własny pokoik z białem łóżkiem, które byłoby dość dobre dla generała, tak iż przez cały czas lękałem się, że zostanę wypędzony z tej czystej izdebki, nienależnej wcale mojej szarży. Gospodarze moi, stary wieśniak i długa, chuda wieśniaczka, którzy spostrzegli, że nie mam co jeść i wbrew zakazowi wyciągnąłem już „żelazną porcję“, zaprosili mię do swojej izby. Poczęstowano mię tam polentą i dobrem czerwonem winem. Małżonkowie, którzy sami mieli po włoskiej stronie dwóch synów na wojnie i dla których z tego czy innego powodu byłem sympatyczny, nalewali mi bardzo gorliwie i równie gorliwie popijali ze mną. Podniecony winem i silną sympatją dla tej pary, począłem mówić o swojej miłości dla narodu włoskiego, z tem większym zapałem, że we wrogim mundurze korzystałem z gościnności włoskiego domu. Rozgorączkowałem się mówieniem i opowiadałem parze starych wieśniaków o szczęściu, jakie przeżyłem dzięki muzyce włoskiej; w swem lekkiem opilstwie uświadamiałem sobie przytem, że najpewniej nie zostanę wcale zrozumiany. Ale zostałem cudownie zrozumiany. Gdyż

chuda kobieta, która przez cały czas przysłuchiwała mi się w milczeniu, zerwała się nagle i stanęła w swojej czarnej, spłowiałej sukni, wysoka w tej niskiej izbie, niby Megera jakiegoś ponurego natchnienia. I bez zająknięcia, bez omyłki wyrecytowała ta stara chłopka w długobrzmiących wierszach całą pierwszą pieśń Boskiej Komedji. Nie była to pycha, co w każdym razie byłoby jeszcze dość wspaniałe, nie była to jakaś wyuczona niegdyś deklamacja, był to płomiennie-rozgoryczony wybuch patrjotyzmu, więcej niż patrjotyzmu, rasy.

W wielkiej izbie chłopskiej w Gemonie musnął mię wówczas po raz pierwszy surowy cud krwi łacińskiej.

A teraz, po długim czasie usłyszałem znowu dźwięk tych tercyn, z ust Saveria. Ale w aktorskiej dźwięczności była to tylko tania banalność, która sprawiała przykrość, dowód właśnie obcoplemienności, nie, ponurego braku rasy. Przedtem mówił o swojem niewykształceniu. Teraz chciał mię — leżało to zupełnie w jego charakterze — przez tę dźwięczną recytację przekonać o czemś wręcz przeciwnem. W tej chwili odczułem, że nieszczęście Saveria musi być natury cielesnej. Ale uczucia takie trudno jest uzasadnić. Skończył swoją deklamację i wyciągnął wniosek:

— Co mię obchodzi Inferno, Purgatorio, Paradiso? O Lesie chcę słyszeć, o „selva oscura“! Las, w którym wszystko jest odwrócone, w którym każdy krok prowadzi na manowce bez wyjścia, ten Las niech nam pan wyśpiewa, mój drogi...

Usiadł, oddychając ciężko. Tercyny wyczerpały go. Zauważyłem teraz, że oczy jego były niezwykłe małe i głęboko osadzone. Dotychczas nie palił, teraz zapalił papierosa. Ruch, jakim wydobył z pudełka rosyjskiego papierosa z długim ustnikiem, był pośpieszny i świadomy winy, jakby łamał przez

to jakiś ślub. Od tej chwili nie przestawał palić. Spoglądał na mnie jak spiskowiec, tęsknie sycąc całe ciało aromatem:

— Jest pan, jak sądzę, niezwykle łatwowiernym człowiekiem... Zresztą, niech pan wierzy, w co pan chce!

Wówczas ogarnął mię ból z powodu tego człowieka. Może spostrzegł coś, gdyż stał się brutalny:

— W dwudziestym czy trzydziestym roku nie powinno się mieć talentu! Czy pan wie, jak talent zatruwa człowieka?! Co jest powodem całego powodzenia naszego genjusza, mego słynnego gościa? Jego brak talentu, powiadam panu. Hartuje to energję, jak nieustanna kuracja zimną wodą. W dwudziestym roku człowiek ten był napewno pustym wołem roboczym, a i dzisiaj jeszcze przy najmniejszem wspinaniu się musi używać pełnej siły. Ale on zna swój wóz! Malarz, malarz, malarz! Nie żył on rzeczywiście ani godziny. Ale od tych ciężko pracujących robotników jedynie płynie cała zazdrosna nienawiść i pycha...

Zerwał się wściekły i z przesadą uderzył się w serce, aż się rozległo echo:

— Każdy ma swoje tabernaculum!

Zaświtał we mnie domysł. Stanąłem tuż przed Saveriem:

— Jestem przekonany, że w panu ciągle jeszcze żyje siła. Głowa, którą nam pan dzisiaj pokazał, a raczej ukrył, dowodzi tego!

Nie patrzał na mnie:

— Więc wierzy pan rzeczywiście, że nie jestem tylko agentem starożytności et cetera?

Saverio uczynił kilka ruchów ręki, zdradzających osłabienie woli; zdawał się walczyć z sobą:

— Mogę panu przecież dać dowód.

Z wahaniem przeszedł za biurko, zatrzymał się nagle i dzikim gestem wydobył z szuflady żółto

oprawną broszurę, którą mi podał. Rzucił przytem szybko, jakby musiał wyznać jakąś hańbę:

— Katalog wystawy!

Ale zaledwie wziąłem broszurę do ręki i chciałem przeczytać tytuł, wyrwał mi ją znowu. Był to ten sam ruch, ta sama gra w chowanego, ten sam wstyd, co pierw przy pokazywaniu obrazu. Ale los zdarzył, że ruchem tym przedarł kartkę okładkową i w ręku mojem pozostał kawałek lichego ząbkowanego papieru, na którym można było odczytać tylko miejsce wydania — Paryż — i końcową sylabę nazwiska Saveria, nadającą się zresztą do połowy nazwisk włoskich.

To niepowodzenie sprawiło mu niezwykłą radość. Zapytał szyderczo:

— Przeczytał pan?

Spojrzałem mu prosto w oczy i skłamałem:

— Przeczytałem na okładce pańskie nazwisko!

Roześmiał się:

— W takim razie wszystko w porządku.

Ale teraz nie mogłem opanować dłużej gniewu. Nie chciałem mu nazbyt ułatwiać gry:

— Miałbym wielką ochotę zobaczyć pańskie nowe prace!

Śmiał się jeszcze ciągle:

— Kto panu powiada, że jestem lub byłem kiedykolwiek artystą?

— Pan sam mówił o zamówieniu w Arosie!

— A pan jest zdania, że jadę do Arosy?

— Dlaczego miałbym w to wątpić?

— I uważa pan te kufry za spakowane i gotowe do podróży?

— Oczywiście! Inaczej nie stałyby przecież w pokoju!

W rysach Saveria ukazał się jakiś zarazem lisi i błędny wyraz, jakiś brzydki triumf. Podbiegł do pakunków, chwycił je i lekką ręką rzucił na środek

pokoju. Walizy otworzyły się, kufry rozwarły paszcze, wkładki powypadały. A wszystko było puste.

Teraz chwyciłem jego rękę:

— Poco pan to wszystko robi? Kogo pan mistyfikuje?

Lisi wyraz wzmocnił się. Wyglądał rzeczywiście jak zwyczajny agent. Jego gruba warga dolna drżała:

— Kogo mistyfikuję? Pan sam widział przecież i chwalił mój obraz! Poco to robię? Niech pan zapyta Mondhausa! Mondhaus wie wszystko, Mondhaus, pański przyjaciel! Wszyscy wiedzą wszystko.

Saverio ani nie krzyknął tego, ani pierw, rzucając kufry na pokój, nie wysilił się. A jednak stało się coś, czego nie widziałem jeszcze u żadnego człowieka. Bez powodu czoło jego poczęło się perlić, po policzkach ściekały mu coraz szybciej grube krople, a nawet czarne włosy zwilgotniały dostrzegalnie. Był to silny, niezrozumiały wybuch potu. Jeżeli można tak powiedzieć, ciężkie ciało tego mężczyzny płakało wszystkiemi porami. On sam jednak zdawał się nic nie spostrzegać. Niespodzianie i poprostu niegrzecznie zabrzmiało:

— Szkoda, że chce mnie pan już opuścić!

Mimo tego brutalnego pożegnania z nieczystem tylko sumieniem zdecydowałem się odejść. Jakiż wieczór przeżyje Saverio sam z sobą!?

Nigdy nie wziąłem mu za złe tego obraźliwego pożegnania.

Ale on zmienił się znowu natychmiast w ulizanego salonowca, zadawał mi najrozmaitsze uprzejme pytania, pomógł mi włożyć palto, wyrażał troskę, czy zajdę szczęśliwie do domu. Nakoniec odprowadził mię aż do wielkich schodów, wiodących z hali na piętro. Tutaj na chwilę przebiła się znowu druga istota przez jego maskę. Zapytał:

— Jest pan przecież zdrowym człowiekiem?

Spojrzałem na niego nieruchomym wzrokiem.

Poklepał mię po ręku:

— W takim razie wszystko dobrze i może pan nie mieć obawy. Dziękuję panu. Darował mi pan rzeczywiście czarującą godzinkę . . .

Chciałem mu właśnie podać rękę, gdy ujrzałem, że po schodach wchodziła jakaś młoda dziewczyna. Aby nie być niegrzecznym i nie spotkać nowego gościa na schodach, zaczekałem. Ale wąska i elegancka postać wolno wchodziła stopień za stopniem. Dziwiłem się, że dziewczyna ta nosiła woalkę na twarzy, co stoi w rażącej sprzeczności z modą dzisiejszą.

Saverio przedstawił mię i wymienił nazwisko gościa: Contessa Fagarazzi.

Pocałował ją w rękę i zapytał przytem nie bez surowości, dlaczego przychodzi tak późno. Dama podniosła woalkę, i ujrzałem emaljowaną, uparafinowaną twarz starej kobiety, której zniszczenie stawało się przez nieruchomość i gładkość powłoki zewnętrznej jeszcze wyrazistsze. Chciała odpowiedzieć, ale zaledwie wymówiła kilka słów, gdy umalowane na fioletowo usta popadły w rodzaj tańca św. Wita, poczęły się kurczyć, wyciągać, wykręcać, garbić, szarpane na wszystkie strony drgawkami.

Ten nerwowy tik ust nie był dla mnie nowy. W dzieciństwie lękałem się pewnej starej osoby, która biegała po ulicach, ogarnięta tą samą ułomnością. Niańki opowiadały sobie wzajemnie, że była ona okropną plotkarką, a choroba jej jest sprawiedliwą karą bożą. Pogląd ten nie jest zupełnie zabobonny, gdy się zważy, że często los dotyka człowieka w jego wybitnych lub grzesznych organach.

Contessa Fagarazzi sprawiała wrażenie udręczo-

nej kobiety, która chce powiedzieć coś pilnego, a nie może wydobyć głosu. Saverio przez chwilę przyglądał się z odrazą temu opętaniu, potem rozkazał:

— Niech pani wejdzie!

Kobieta usłuchała pokornie.

Pożegnał mię potem ze wzmożoną jeszcze serdecznością. Ale ja spostrzegłem natychmiast, że w przeciwieństwie do pozostałych gości nie prosił mnie, bym go znowu odwiedził.

Aby się dostać do domu, musiałem wziąć na lagunowej stacji F. łódź parową. Wieczór jesienny był niebezpieczny. Wdychało się zapowietrzoną mgłę i zgniliznę wody. Moje ziębnące zmęczenie stawiało sobie ciągle te same monotonne pytania:

— „Czy rzeczywiście widziałem tę twarz na obrazie?“ — „Czy on jest oszustem, paradoksalnym samochwalcą, czy istotnie malarzem?“ — „Czy na katalogu wystawowym figuruje jego nazwisko?“ — „Co miały na celu jego niejasne aluzje do talentu i młodocianej sławy? Czy otacza się on sentymentalnym nimbem, aby usprawiedliwić swoją egzystencję handlarza?“ — „Czego szuka u niego wieczorem to stare pudło z nerwowym tikiem?“ — „Dlaczego zapytał mnie, czy jestem zdrów?“ — „Dlaczego zwierzał mi się, a potem nie zaprosił mnie ponownie?“

Najsilniej jednak zajmowała mnie ciągle na nowo kwestja rzeczywistości twarzy na portrecie męskim.

Zagadek tych niepodobna było rozwiązać.

Ale im dłużej trwała jazda, tem wyraźniej odczuwałem, że ten Saverio był mimo wszystko — nie potrafię tego wyrazić bardziej wiarogodnie — człowiekiem o niewytłumaczonej sile oddziaływania.

Ostrzegałem się przed sobą samym, przed iluzjonistą, który tkwi we mnie. Inni ludzie nicby w tym człowieku nie znaleźli, a ja sam daleki jeszcze byłem od dostatecznej dojrzałości, aby poznawać r z e-

czywistość, i padałem zawsze ofiarą romantycznego pociągu do wbudowywania w ludzi czegoś „zajmującego". Powinnoby mi przecież być zupełnie obojętne, czy Saverio jest malarzem, czy nie. Jak bez znaczenia było to pytanie . . .

Nie! Nie było jednak bez znaczenia. Malarstwo miało tu inny sens, było symboliczne dla wyższej egzystencji, która nie mogła przezwyciężyć niższego pozoru.

Jakie to dręczące! Próbowałem nie myśleć już o tych rzeczach! Ale nie mogłem się od tego wyzwolić, co przy szybkiej zmianie moich obrazów myślowych jest rzeczą rzadką.

Podczas tej jazdy łodzią parową obcy ten człowiek z minuty na minutę coraz natarczywiej mię wypełniał. Ułożyłem sobie wreszcie wiarogodne wytłumaczenie, przyczem jednak ciągle brzmiał mi w uchu niemiły śmiech Mondhausa:

— — Saverio był genjalnym młodzieńcem. Pierwsze jego prace miały niezwykłe powodzenie. Był on jednak niestety tylko jednym z owych talentów, które zamierają wraz z młodością. Dlatego mówił o zatruwającem działaniu wczesnego talentu i wczesnej sławy. Od dwudziestu lat nie bierze już pendzla do ręki. Ta bezpłodność jest źródłem jego mąk i kłamstw. Utrzymuje on w mocy fikcję sztuki, ale wie dobrze, że każdy potrafi go przejrzeć. — —

Tak mniejwięcej brzmiało wytłumaczenie, które ułożyłem sobie wówczas na statku.

Co dziwna, posiadałem w owej chwili przybliżone wyobrażenie obrazów, jakie młody Saverio mógł był niegdyś namalować. Wyobrażenie to łączyło się z wrażeniem, jakie w młodości wywierał na mnie Gabrjel Max, jeden z owych malarzy, których pochłonęła fala impresjonizmu francuskiego i panującego od owego czasu kierunku

sztuki i którzy dzisiaj nie posiadają żadnego znaczenia.

Musiałem pomyśleć o „Wieszczce z Prevorst" Maxa: — marny podobno obraz —, ale dla mnie silnem przeżyciem była niegdyś ta przezroczysta dziewczyna, która na łożu śmierci spogląda w tajemne kręgi i plany pozagrobowych światów. Oblicze jej i inne nacechowane cierpieniem i wiedzą twarze przesunęły się przede mną, a wszystkie namalował ów człowiek, który w najlepszym razie pochodził z Triestu, stał na czele najwspanialszego ze wszystkich antykwarskich lokali handlowych, utrzymywał w Arosie filję przyborów narciarskich i jako ubrany bez zarzutu i nowocześnie myśliwiec szedł do lasu Dantego (jeden drogowskaz nosił napis „Selva oscura") polować na pantery. Ale nie był sam. Zakochana kroczyła obok niego młoda dziewczyna z prastarą, biedną twarzą, dziewczyna, której nazwisko znałem: Małgorzata Maultasch*.

Wszystko to przesunęło przede mną, i zasnąłem.

Ale raz poraz budziłem się ze swego smutnego snu, gdyż w uchu wyło mi mnóstwo gramofonów, fortepian elektryczny grzmiał, a pode mną warczała maszyna okrętowa.

---

* „Maultasch" tyle co „gęba". Małgorzata Maultasch, hrabina Tyrolu (1318—69), córka Henryka, księcia Karyntji i Tyrolu, poślubiła ośmioletniego księcia Jana, brata cesarza Karola IV, którego po jedenastu latach nieszczęśliwego pożycia skazała na wygnanie. Przyp. tł.

III

Gdyby historja ta była zmyślona, miałbym teraz obowiązek wymyślić jakieś rozwiązanie o dobrej poincie, a równanie tego studjum charakterów rozwiązać definitywnie i w sposób nieoczekiwany. Ale matematyka losu nie jest zadaniem szkolnem. Niczego nie dotwarzam, niczego nie ujmuję i nie daję wyjaśnień. Życie skrada się rozpaczliwie niedramatycznie, wykoszlawia, miażdży wszystko i wypuszcza z powolnej ręki.

W półtora roku później obchodzono otwarcie wielkiej „Międzynarodowej Wystawy Sztuki“ w giardini publici.

Nie jestem, jak powiedziałem, miłośnikiem muzeów i galeryj. Jakiemż barbarzyństwem jest ściana, obwieszona obrazami! Z dwudziestu bezsensownie rozwartych szybów dwudziestokrotnie spoglądają krajobrazy, głowy, ukrzyżowania i kombinacje wiktuałów, spoglądają ze swego świata w nasz, który przez odrobinę światła górnego nie jest dostatecznie zaczarowany. Dwadzieścia charakterów barw w zawody strzela swemi promieniami na oszołomionego widza, a w zażartej tej walce ofiarą jest niewinny. Dwadzieścia dusz, delikatnych, rozpromienionych, zuchwałych, pysznych, pełnych nienawiści, śpiewa obok siebie swoją pieśń, a targowisko barw zmusza najsubtelniejsze do za-

krzykiwania się. Chciałoby się często zatrzasnąć z gniewem te okna do innego świata, ale nie udaje się nawet uciec wzrokiem obok nich w próżnię ściany.

Inaczej natomiast przedstawia się sprawa dnia otwarcia wystawy sztuki. Posiada on własny uroczysty erotyzm, jaki w innym sensie zna tylko teatr.

Co nas obchodzi sztuka? Co nas obchodzą dążenia, „zmagania się" wszystkich tych malarzy, co niepoznani przeciskają się przez tłum i w bladem oczekiwaniu chcą teraz i w żadnej lepszej chwili zbierać swoje żniwo podzięki? Nie jesteśmy krytykami. Nie przynosimy w głowach skorygowanych odbitek szczotkowych jakichś teoryj albo uprzedzeń. Niedbale zwracamy wzrok ku temu i owemu obrazowi, czekając, czy jego barwy odpowiedzą na pytanie w nas.

Ale ważniejszy jest za oknami błękitny, złoty dzień wiosenny, ważniejsze smutne zachwycenie we wszystkich naszych członkach, gdyż wiemy, żeśmy się postarzeli o rok i poczynamy już liczyć czas.

Tłum obraca nami, jak woda obraca urwaną kartką. Zamykamy oczy i poprzez lekki opar oliwy i perfum wdychamy zmieszaną z cynamonem winną woń kobiety. A i dla kobiety suknia i kapelusz, włożone po raz pierwszy, ważniejsze są niż cała sztuka i całe zmaganie się o problemy.

My zaś otwieramy znowu oczy i zrywamy blond lub ciemny kwiat z kielicha kobiet...

Znalazłem się w pawilonie belgijskim, w wielkiej sali środkowej, gdzie wisiała kolekcja owego słynnego malarza, którego nazwiska ze zrozumiałych powodów nie wymieniam.

„Malarz, malarz, malarz!" przypomniały mi się słowa Saveria. Tak, tutaj ograniczone ale tryskające życie poświęcone było sztuce bez reszty. Świe-

ciło teraz ze ścian dokoła niby odrodzone światło słoneczne.

To, co teraz nastąpiło, nie zaskoczyło mnie. Przeciwnie, dziwiłem się, że tak długo było mi to oszczędzone. Nagle doznałem niemiłego uczucia w grzbiecie. Proszę wybaczyć mi to wyrażenie, ale tak było: uczułem za sobą zezowanie. Mondhaus złapał mię.

— Gatunek?! Co?! — zawołał, przyczepiając się do mnie.

Niestety — jest to słabość, którą sobie gorzko wyrzucam — czuję się bezbronny wobec silnej natarczywości. Co więcej! Ludzie bezczelni, jak Mondhaus, paraliżują mię; choć wiję się w niesympatycznej sieci, czynią mię współsprzysiężonym swojej brutalności. Nie udało mi się więc wyzwolić od przyjacielsko podsuniętego ramienia. Ja, który nie znam się zupełnie na malarstwie, musiałem w braterskiem zjednoczeniu z Mondhausem, który uważał, że jest w swoim żywiole, obchodzić teraz tę salę. Miał widocznie obowiązek napisać sprawozdanie z wystawy i zamierzał użyć mnie jako kamienia probierczego dla przekonania się o skuteczności swoich feljetonistycznych pomysłów. Charakterystycznem było, że mówiąc o obrazach, zaledwe muskał je wzrokiem:

— Bajeczne! Widzi pan tutaj dziesięć lat olbrzymiej pracy. Co też ta tępa, kwadratowa czaszka wydusi z siebie! Nie do wiary! Widzi się wprost biceps jego woli. A teraz uporał się nawet z architekturą. Drogi przyjacielu, jego nerwami nie wstrząsnął żaden ekspresjonizm, żaden kubizm, żaden futuryzm, żaden neo-klasycyzm. On przecież nie ma wogóle nerwów. Niby koń pociągowy, kroczy naprzód na podkutych kopytach...

Mondhaus urwał nagle:

— Między nami mówiąc, czy nie uważa pan tego

całego gatunku za okropnie nudny? Te strzelające portrety pól bitw z twarzy ludzkich! Te pełne temperamentu krajobrazy! Te wieczne martwe natury z wysoko rozdartym horyzontem stołu à la Cezanne! Te polichromowe olbrzymie zadki ciepłych jak krowy kobiet! Człowiek ten pochodzi jeszcze chyba z pokolenia, które niby wielki czyn ducha krzyknęło w świat przekonanie, że dobrze namalowana cebula jest lepsza niż miernie namalowana Madonna. Czas ten przeminął nieodwołalnie.

Mondhaus musiał spostrzec, że jego przemądrzała gadanina i kawiarniane dowcipy były mi wstrętne, gdyż zaczął mówić z podnieceniem:

— No, słyszy pan!? Oczywiście skiczowana Madonna jest cenniejsza niż najgenjalniejsza cebula! „Sztuka absolutna“ skończyła się. Gwiżdżemy na estetyczne kłopoty jaśnie państwa. „Sztuka“, „indywidualność“, „oryginalność“, to wszystko pusty wiek dziewiętnasty, zupełnie jak naprzykład „wrażliwość i cnota“ były wiekiem osiemnastym. Ideały wczorajsze cuchną djabelnie. Teraz nadczodzi...

Ale w tej chwili uderzył się w usta:

— Czy pan już wie, że Saverio znajduje się w San Clemente?

— W San Clemente?

— Tak! Saverio S. jest internowany. W domu obłąkanych! Beznadziejny przypadek!

Odepchnąłem jego ramię. Ale on spojrzał zmieszany zezem:

— Czy przypomina pan sobie, co panu wtedy powiedziałem? Kto miał rację? Zadrwił sobie z nas! Nigdy nie jechał do Szwajcarji, lecz...

— Do Treviso...

— Do Treviso? Jakto do Treviso? Właściwie nie idzie o to, czy do Treviso, czy gdzie indziej. Zniknął na pewien czas, ukrył się i walczył jak dziki.

— Skąd pan to wie?

— Na moich kombinacjach może pan zawsze polegać!

— I rzeczywiście jest stracony?

Mondhaus załatwił się z losem Saveria drobnym gestem. Ale natychmiast powróciła jego zarozumiałość:

— Mogę być rzeczywiście dumny. Wszystkich oszuka, tylko mnie nie. Niech pan sobie przypomni moje słowa! Willa oczywiście nie należała do niego...

— Więc był jednak agentem Barbieriego?

Mondhaus spróbował spojrzeć współczująco:

— Panie! Tak proste to to znowu nie jest. Grał rolę pana domu, aby nam swoją kiepską grą wmówić, że jest agentem. Ale Barbieri przysięga, że nigdy nie miał do czynienia ze sprzedażą jakiegokolwiek dzieła, że w podstępny sposób przeważnie udaremniał interes. Dla przedsiębiorstwa starego umieszczenie Saveria w zakładzie jest szczęściem. Ja kombinuję tak: Barbieri z jakiegoś szczególnego powodu, który trzeba jeszcze wyśledzić, zaofiarował mu schronienie, wzamian za co musiał Saverio przyjmować i oprowadzać obcych. Wie pan przecież, że tacy ludzie jak Barbieri chętnie ukrywają swoje mienie. Musiał mu więc być na rękę człowiek, którego główną cechą było ukrywanie. Ale czy pan się domyśla, j a k żył Saverio? Kiedy chcę stwierdzić jakąś prawdę, mam już do tego swoich ludzi, na to jestem dziennikarzem. W tym wypadku portjer willi był moim informatorem. Więc Saverio nie zajmował ani „komnat“ pałacu, ani atelier, lecz nędzną izdebkę służbową na mansardzie. Jedzenie przeważnie gotował sobie sam na maszynce spirytusowej. A wie pan, na czem sypiał? Na pryczy z odwachu, nakrytej dwoma derkami końskiemi! Jest to nieodwołalnie stwierdzone!

Chciałem zadać pytanie. Ale Mondhaus nie pozwolił sobie przerwać:

— Chce pan oczywiście zapytać, dlaczego ten człowiek tak żył? Niech pan będzie cierpliwy! Konfidenci moi donieśli mi, że połowa biedaków okolicznych żyła z n i e g o. Niech pan to zrozumie: grał rolę eleganta, a mieszkał jak trapista. Dla siebie nie potrzebował ani solda, a niewątpliwie miał pieniądze, nawet dużo pieniędzy! Ale teraz następuje rzecz najważniejsza: Udawał on, jakoby pozował na malarza. A wszyscy otaczający go dawali się poprostu złapać na tę pozę pozy. Wynika to stąd, że w najgorszym razie jest się przygotowanym na ludzi o podwójnem dnie. Ale Saverio posiadał znacznie więcej den. Zawsze sobie z tego zdawałem sprawę. Sam pan przecież był świadkiem, jak wywabiłem od niego ten mały, ciemny obraz. Niestety byłem w tym roku niezmiernie zaabsorbowany, inaczej byłbym tę sprawę wyświetlił jeszcze przed katastrofą. Ale pan jest świadkiem, że byłem na dobrej drodze. Gdyż Saverio jest artystą. I jakim jeszcze!

Tego było za wiele. Ogarnęła mię wściekłość:

— Czego jestem świadkiem? Jestem świadkiem, że okpił pana samego jak najgruntowniej. Gdyż niepytany zapewnił mię pan, że Saverio jest takim samym malarzem, jak pan lub ja.

Mondhaus zamilkł smutno, jakby stan mego umysłu sprawiał mu kłopot, potem wyjaśnił powoli:

— Jest pan autorem i posiada pan istotnie wyobraźnię.

Teraz jeszcze krew mi napływa do głowy, że nie ukarałem tej bezczelności. Mondhaus skulił się przerażony:

— Tem wszystkiem nie uzdrowimy biednego Saveria. Wiem tylko, że pracował jak szalony. Pozostawił z pewnością nieprzejrzaną spuściznę. Opo-

wiadano mi o setkach płócien, a także o pokaźnej grafice i rzeźbie. Panowie ci będą musieli bardzo ostrożnie przystąpić do dzieła, aby nie obniżyć ceny tych rzeczy, choćby ze względu na ich ilość...

To było okropne. Nieszczęsny żył jeszcze, a człowiek ten wciągał już w rachunek cenę rynkową jego spuścizny. Znaleźliśmy się, nie wiem jak, w pawilonie węgierskim. Ale ja nie widziałem już barw kobiet, barw obrazów. Przygnębiało mię, bolało mię, że Mondhaus mógł widzieć prace Saveria. Zapytałem go o to. Był zdumiony:

— Widzieć?! Zdaje mi się, że niedocenia pan Barbieriego i contessy Fagarazzi. Co do Fagarazzi, to zobowiązuję się stwierdzić w ciągu kilku dni, czy Saverio był z nią rzeczywiście ożeniony, czy też była ona jego kochanką albo tylko zaufaną. Że ona jest Francuzką a nie Włoszką, o tem chyba nawet pan wie. Może Saverio znał ją już przed jej małżeństwem z Fagarazzim w Paryżu. Ale skąd pochodzi jej choroba, nie wie pan napewno. Na dwa lata straciła mowę. Z pewnością nie należy do największych przyjemności w życiu odciąć męża od klamki okna, na której się powiesił...

Gaduła przerwał swoją straszliwą historję:

— Widzieć?! Mam przecież swoje źródła, swoje informacje i więcej jeszcze! Zresztą, trzeba panu wiedzieć, nie potrzebuję wcale gapić się na obraz przez godzinę, podobnie jak nie potrzebuję rzeczywiście czytać książki, żeby wiedzieć, co o niej myśleć. To mój talent! Przy książce wystarcza mi już, abym jej dotknął albo przerzucił.

Przechodziliśmy teraz przez pawilon polski. Poznałem to po nazwiskach malarzy, umieszczonych na tabliczkach pod obrazami. Mondhaus nie zrobił jeszcze najmniejszej pauzy:

— Chce się pan dowiedzieć czegoś bliższego o sztuce Saveria! Przed pięciu laty wtajemniczeni

nazwaliby to może „wyższym kiczem“ albo „malarstwem literackiem“. Gdyż ten Saverio nie znał żadnvch boleści atelier. Nie szło mu o „sztukę“. Była ona dla niego niczem więcej, jak językiem potocznym czy środkiem porozumiewania się, którym władał swobodnie. Pęd analityczny naszych czasów nie oddziaływał na niego zupełnie. P r z e d m i o t — to było wszystko! Rzecz, tak mój drogi, może się pan dziwić, ile pan chce! W Paryżu wie się już o tem dawno. A we wszystkich małych oknach wystawowych na rue de la Boëtie może pan znaleźć ten magiczny realizm, który jest nowem hasłem. Nie malarstwo samo przez się, nie rozwiązania już, nie zniekształcenia, ale przedmioty same, jakiemi są i co opowiadają, ale zarazem ich świat pozagrobowy...

Od tego głośnego feljetonu, płynącego tak gładko, doznałem bólu głowy. A jednak nie mogłem uciec. Mondhaus stał się teraz patetyczny:

— I to, mój szanowny panie, malował biedny Saverio już przed dwudziestu laty. Niech się pan uspokoi, nie mówię z czystej intuicji. Istnieje zapomniana broszura o nim. On sam postarał się, aby znikła. Ale nacóżbym był historykiem sztuki, gdybym nie potrafił odnajdować zapomnianych broszur? Może posłuży mi ona kiedyś za podstawę do jakiejś publikacji. Jest to katalog wystawowy. Proszę! Niech pan patrzy!

I podał mi żółty zeszyt, z którego karty tytułowej brakowało połowy. Okaleczone nazwisko na niej n i e b y ł o nazwiskiem Saveria. Mondhaus promieniał jak zwycięski detektyw:

— Dzisiejsze nazwisko Saveria jest przecież pseudonimem. Jest to zbadane policyjnie. Czy to jest jego prawdziwe, pierwotne nazwisko, w co bynajmniej nie wierzę, zostanie jeszcze stwierdzone. Ale reprodukcje zostały zidentyfikowane. Przecho-

dzimy teraz do najistotniejszego punktu mojej hipotezy.

Inne nazwisko! Więc to był powód, dla którego Saverio natychmiast wydarł mi zpowrotem dowód, że jest malarzem. Dlaczego człowiek zmienia nazwisko? Rozmaite bywają powody; naprzykład chęć wyparcia się pochodzenia. Mondhaus podjął moją własną myśl:

— Pierwsze nazwisko bardzo mało tylko różni się od drugiego. To daje do myślenia. Otóż przed dwudziestu laty to pierwsze nazwisko zażywało w paryskich sferach malarskich niejakiej sławy. Podobieństwo drugiego dowodzi, że Saverio z trudnością tylko rozstał się ze swoją słową. Ale jednak uczynił to lub uczynić musiał . . . Jakie jest pańskie zdanie?

Wpatrywałem się w podartą kartkę tytułową. Czytałem słowa „Exposition“, „Oeuvre“, „Paris“, okaleczone nazwisko; wszystko to nic mi nie zdradzało. Mondhaus puścił dalej wodze swoim myślom:

— Nie chcę uprzedzać swego własnego śledztwa. Ale nie ulega już wątpliwości, że w życiu Saveria istnieje jakieś załamanie, jakieś ciemne miejsce. Musi on mieć coś na sumieniu — tak kombinuję — coś haniebnego, kryminalnego . . .

Ujrzałem przed sobą wyraźnie izdebkę na mansardzie z pryczą z odwachu. Mondhaus zapytał:

— Czy nie chce pan obejrzeć reprodukcyj?

Byłem już bliski usłuchania go i otworzenia katalogu. Ale w ostatniej chwili powstrzymał mię jakiś lęk przed przyjęciem z t y c h bezwstydnych rąk zeszyt, ukłoniłem się niezręcznie i opuściłem Mondhausa.

Wychodząc z uroczyście przytłumionych sal, wpadało się nagle pod przemoc bezlitosnego światła. Muzyka z pawilonu swego promieniała w wiosnę żółtem ciepłem słonecznem sytych instrumentów dętych. Jaskrawe suknie, nogi, kapelusze, parasolki sunęły gęsto po drogach, jak kolorowe kręgi i plamy przed okiem zasypiającego. Laguna sama była olbrzymim lustrzanym reflektorem. Straciłem przytomność i schroniłem się w uliczkach.

Ale i w cieniu nie mogłem zupełnie oprzytomnieć. Wspaniałe to przecież było nie musieć myśleć o niczem, tylko oddychać błogo i kąpać swoje zataczające się człowieczeństwo w życiu. Błąkałem się po niezliczonych przecznicach miasta, zapomniałem o jedzeniu.

Wreszcie znalazem się na pontonie parowca do F. Wówczas zrozumiałem, że wszystko to były tylko drogi okrężne. Gdyż ogarnęła mię wielka tęsknota, aby się dowiedzieć tajemnicy Saveria z jego obrazów. Tęsknota ta nie miała nic wspólnego z zainteresowaniem dla sztuki lub ciekawością psychologa — gdyż właściwości te posiadam w bardzo małym tylko stopniu —, była ona głębokim niepokojem, jakimś głodem we mnie, żądającym zaspokojenia, jakgdyby własna moja istota pozostawała w bolesnym związku z istotą Saveria. Zaraz, natychmiast chciałem zaspokoić tę tęsknotę. Jutro, kto wie, może byłaby słabsza. A było mi jej żal.

Mondhaus zagadki samej nie dotknął. Kilka faktów może przejrzał, ale właśnie tylko przejrzał. Pomieszał jedynie grubsze błędy z drobniejszemi, więcej nic. Prawie wszystko wiedział, jak wyznał sam, tylko z opowiadań innych. Przypuszczenie jego, że Saverio zmienił poprzednie nazwisko, ponieważ zmusiło go do tego jakieś przestępstwo, na chwilę wydało mi się prawdopodobne. Ale natychmiast wyczułem w tem wyjaśnieniu ów romantyczny repor-

taż, który doskonale nadawał się do „Listów Włoskich“ Mondhausa. Jeżeli Saverio rzeczywiście sypiał w owym pałacu na pryczy i wiódł potajemne życie ascety, czy nie mogło to być skazaniem siebie samego? Ale i te słowa są przecież tylko nowym labiryntem. W owej chwili wierzyłem niezłomnie, że tylko twarzą w twarz z dziełem Saveria będę mógł wyczuć prawdę. Żałowałem teraz niemal, że w przesadnej skrupulatności sumienia odepchnąłem katalog wystawy. Nie wątpiłem jednak w najmniejszym stopniu, że jeśli idzie o niezmordowaną pracę malarza, to Mondhaus był dobrze poinformowany i że praca ta stanie mi się dostępna w pałacu Barbieriego.

Było już dość późno, gdy w okolicy poza laguną począłem rozpytywać o ten dom. Rozporządzałem nielepszem światłem popołudniowem, jak owo, w którem Saverio ukrył wówczas swój obraz. Ale za każdym krokiem, który mię przybliżał, rosło we mnie lękliwe zakłopotanie. Miałem wrażenie, jakby Saverio ze swojej celi w San Clemente organizował przeciwko mnie jakąś siłę, wysyłał hamulce, uniemożliwiające przekroczenie granicy, jaką mi wyznaczył. Nie zaprosił mnie, abym go jeszcze raz odwiedził. I zdawał się upierać przy tem niezaproszeniu.

Ale ja postanowiłem nie ustąpić, przełamać zakaz i kogokolwiekbym zastał w domu, poprosić o pozwolenie obejrzenia obrazów Saveria. Muszę wyznać, że decyzja ta kosztowała mię zawstydzający nakład odwagi. Zresztą nigdy mi nie jest łatwo wchodzić do cudzego mieszkania. Dzisiaj jeszcze dzwonienie do nieznanych drzwi powoduje u mnie bicie serca.

Dom miał dość duży ogródek na przedzie, ale zauważyłem odrazu, że w tym roku był on bardzo zaniedbany. Zanim jeszcze mogłem powziąć myśl

o tej ruinie, spostrzegłem przed bramą grupę niezwykłych postaci.

Bardzo wysoki mężczyzna paplał i złorzeczył piskliwym głosem kastrata. Kiedy się zbliżyłem, poznałem, że był to ślepiec. Poruszał szybko papierowo bladą twarzą na niespokojnej łodydze szyi, a jego perłowe źrenice drgały rozpaczliwie. Bronzowa uniformowa kurtka jakiegoś zakładu dla ociemniałych czy chorych była o wiele za krótka dla jego olbrzymich ramion. Za nim stała stara kobieta, zapewne przewodniczka, której zwisała przez ramię harmonja, a dalej kilku uliczników, ubawionych komizmem kłótni.

Ubogi pertraktował z jakimś chłopakiem bez marynarki, który stał pod portalem i sprawiał wrażenie łazika, który doszedł do urzędu i godności. Swobodnie bronił się przed gadatliwym ślepcem, który wysokim głosem zdawał się upierać przy jakichś uroszczeniach. Słyszałem często powtarzające się słowo „padrone“. Co dawał stary padrone, musi też dawać i nowy, i niech się cieszy, jeżeli nie żąda się więcej, jakby właściwie przystało. Porządek musi być, obedrzeć się nikt nie da, wołał ślepiec.

Podejrzany totumfacki domowy oświadczył na to, że to warjackie oszustwo skończyło się, a on się już postara o gruntowne oczyszczenie stosunków. Nieszczęście jest widocznie intratnem przedsiębiorstwem. On jest także ubogi, a nikt go nie karmi, musi się cały dzień męczyć, za to zaś, że ma słabe płuco, nie dostaje żadnej zapłaty.

Wysoki ślepiec począł znowu zawodzić. Aby mu zatkać usta, chłopak wetknął mu macedońskiego papierosa między zęby. Nieszczęśliwy począł ciągnąć tak łapczywie, jak nigdy jeszcze nie widziałem, nie zaprzestał jednak przytem piskliwego perorowania, zręcznie paląc zarazem i mówiąc.

Zabrzmiały mi w uchu słowa:
„Połowa biedaków okolicznych żyła z niego“.
A może to by model?
Z domu rozległo się teraz wołanie:
— Toni!
Chłopak zniknął w portalu.
Poszedłem za nim.

IV

Antykwarjusz Barbieri stał na schodach.

Rześki, stary pan, z kapeluszem na tyle głowy, wymachiwał hebanową laską, której srebrna gałka stanowiła nagi tułów kobiecy. Gdy wspierał się na lasce, gruby palec wskazujący znajdował się w najmilszem schronieniu między srebrnemi piersiami, ukazując widzowi sygnet, olbrzymi jak pierścień kardynalski patrjarchy weneckiego. Niekiedy wkładał rękę razem z gałką laski do kieszeni spodni, poruszając z niezadowoleniem ubraniem, jakby jego żywa indywidualność nie znajdowała sobie w niem dość miejsca. Mówił bardzo szybko i w rozmaitych tonacjach głosem ochrypłym, odznaczającym się jednak jak większość włoskich głosów męskich muzykalnem vibrato.

Powitał mię szerokim ruchem:

— Professore! Doskonale, że nareszcie przypomniał pan sobie starego Barbieriego. Co za miła wizyta! Milsza dla mnie, niż stu tych okropnych dollarieri... Niech pan wejdzie!

Nigdy przedtem nie spotkałem się z Barbierim. Musiał mię więc widocznie przyjąć za kogoś innego. Jakże charakterystycznem było dla tej całej gmatwaniny, że ja, który wyruszyłem, aby się dowiedzieć, kim był Saverio, sam przyjęty zostałem za kogoś innego.

Antykwarjusz nie wypuszczał mojej ręki, odwrócił się jednak gniewnie do chłopaka, który w zuchwałej pozie stał u stóp schodów:

— Toni! Złodzieju! Szubrawcze! Gdzie ty siedzisz?

Toni z ostrożną swobodą zapalił macedońskiego, zanim odpowiedział:

— Jest tam jakiś człowiek, który przyszedł po swoją rentę, bo to dziś pierwszy maja.

Barbieri wściekał się:

— Zawołam policję... ty...

Toni długo obserwował papierosa, z którego smaku nie był widocznie zadowolony; potem swobodnie wypluł resztkę tytoniu wbok, wyciągając zarazem rękę:

— Niech pan da!

Barbieri cierpiał:

— Niech pan da, niech pan da!... O, professore, tak jest przez cały dzień. Ze wszystkich stron nic tylko: Niech pan da, niech pan da...

I z trudnością rozstał się ze zgniecionym banknotem pięciolirowym.

Potem spojrzał na mnie jak na współprzysiężonego:

— Wszystko to zwalił mi na kark ten demon. (Questo demonio insuperabile!) Niech pan da, niech pan da! A pan przecież najlepiej wie, professore, że zawsze byłem dla niego jak ojciec.

Zrozumiałem, że miał na myśli Saveria. Utyskiwanie brzmiało dalej:

— Uczyniłem z niego swego syna. Co mam począć? Siedem kobiet siedzi mi w domu: pięć córek, żona i szwagierka. Siedem kobiet i żadnej obsługi, żadnej ulgi! Niech pan sobie wyobrazi stół domowy, przy którym siedem kobiet gada, zrzędzi, kłóci się, przy lada sposobności płacze, zrywa się, siada znowu, wybiega i powraca! Kto to może wytrzymać? Niech pan zrozumie mój los! Przez cały dzień tylko: Niech pan da, niech pan da! A ja muszę się o to wszystko starać! Ale dla kogo

i poco? Same kobiety! A jego strzegłem jak syna, tego wrogiego demona! No, teraz ma za swoje! Wy młodzi ludzie, wy...

Rozpostarł ramiona, jakby po raz pierwszy widział nową niedolę:

— Professore! Niech pan spojrzy na ten dom! Ciągle na nowo kosztuje i kosztuje... Jak długo mogę jeszcze wlec to brzemię? A wreszcie siedem kobiet będzie go nosiło na ciele jako perły i suknie.

Rzeczywiście trudno było poznać palazzo. Kurz pokrywał schody, dokoła stały wiadra z wapnem, wióry leżały stosami po kątach, na flizach hali leżało kilka wielkich płyt granitowych.

Przebudowa! Wiedziałem, że Barbieri znany był wszędzie ze swej manji przebudówek. Ciągle kupował stare pałace, rozbierał je do połowy, restaurował, rujnował, zwalał, wznosił, mieszał kapryśnie wszelkie style, a gdy się wyszalał, sprzedawał objekt. Ta zwarjowana gospodarka wprawiała świat w zdumienie. Nigdy nie wiedziało się, czy Barbieri był bezmiernie bogaty czy zbankrutowany.

Teraz przyglądał się boleśnie spustoszeniu.

— Kosztuje i kosztuje, professore! A syna nie mam, aby mnie wspierał w walce z brutalnością. Ach, nasz biedny Saverio! Dzień i noc przyjaciele jego przychodzą do mnie z wyrzutami. I pan jest jego przyjacielem, professore! Naturalnie! Powiadam panu, świat jest pełen szpiegów. Zwłaszcza w naszym zawodzie. Ale może pan być spokojny, Saveriowi wiedzie się dobrze. Niczego mu nie brak. Dba się o niego. W przyszłym tygodniu przeniosę go do prywatnej kliniki. Założę się z panem, że wyzdrowieje... Czyż się przez całe jego życie nie troszczyłem o niego! Utrzymuję nawet jego matkę! Jest moją rodaczką. Z Toskanji...

Pachniało to kłamstwem. Saverio z pewnością

nie był rodowitym Włochem. Pod tym względem Mondhaus miał rację.

Barbieri rozgarniał laską brudy dokoła i rzucał Toniemu i innym służącym złorzeczenia i rozkazy. Nikt nie nadchodził. Spróbowałem przystąpić do swojej sprawy. Na wszelki wypadek, aby nie popełnić błędu, nadałem staremu tytuł:

— Commendatore! Przychodzę w sprawie obrazów Saveria.

Zbliżył do mnie rękę z muszlą ucha:

— Co? Proszę, niech pan mówi trochę głośniej!

Powtórzyłem swoją prośbę.

Przysłuchiwał się z wysiłkiem. Potem opisał wielki łuk laską:

— Obrazy? Naturalnie obrazy! To zaszczyt dla mnie. Zobaczy pan wszystko, co posiadam. Jest pan przecież uczonym, professore!

Czyżby mnie źle zrozumiał?

W przystępie głupoty oznajmiłem nagle, że zajmuję się sztuką współczesną. Sądziłem, że osłabię przez to wrażenie swego zainteresowania dla Saveria.

Barbieri zrobił udręczoną minę:

— Jaką sztuką, przyjacielu?

Zawołałem z wysiłkiem:

— Sztuką współczesną!

Rozgniewał się:

— Sztuką współczesną? Co to takiego? Kilku bałwanów w Paryżu, którzy są tak głupi, że się ich uważa za spryciarzy, sporo na tem zarobiło. Od tego czasu niema sztuki współczesnej.

Pogroził wdal:

— Wszędzie tylko hołota!

Potem popchnął mię naprzód.

Także pokoje i sale były wszystkie w nieładzie. Wielkie szafy stały na środku; stoły, skrzynie, witryny, kościelne krzesła chóralne zagradzały

drogę, drzwi były powyjmowane, sopraporty pozdejmowane, kurz wdzierał się do płuc.

Barbieri tupnął nagle i wydał okrzyk boleści:

— Czy pan wie, co mi ten demon narobił!? Posąg drewniany, powiadam panu, słodki, jakby spadł prosto z nieba! Sygnowany Benedetto da Majano! Połowa mego majątku w nim tkwiła i całe moje nerwy. Walczyłem o tę rzeźbę jak bohater, co najmniej czternaście nocy nie spałem. Siekierą, professore, siekierą porąbał go ten demon i napalił nim w piecu. A policja i pogotowie przybyły za późno. Co on mógł jeszcze narobić w swojem szaleństwie! Już teraz strata jest niezmierzona. Powie pan: asekuracja! Wszyscy pocieszają mię asekuracją. Ale towarzystwa ubezpieczeniowe to węże, które się wykręcają. A jeżeli nawet wypłacą pieniądze, czy Benedetta da Majano można odkupić za pieniądze? Przyjącielu, ostrzegam pana! Może ten cały obłęd jest oszustwem, wybiegiem...

Barbieri oprowadzał mię po salach.

Podziwiałem dwie płaskorzeźby Donatella, południowoniemiecką Madonnę i jeszcze jedną Madonnę i znowu Madonnę. Przed formellą szafy zakrystyjnej, którą Barbieri przypisywał Gaddiemu, zatrzymaliśmy się długo, a srebrny tułów kobiecy na lasce posuwał się z zachwytem wzdłuż rytmicznych fałd jakiejś szaty świętego. Na widok każdego dzieła Barbieri wpadał w łzawy zapał i twierdził, że żaden dollariere nie wydrze mu tego. Przysięgał, że codziennie odprawia klientów, chociaż błagają go na kolanach, aby odstąpił im swój skarb za wszelką sumę. Ale czyż można rozstać się z taką pięknością? Szczęśliwy jest, gdy nabędzie kiedyś jakieś trudne do sprzedania dzieło, jak naprzykład tego anioła Cartapesty. (Giętkie ciało kobiece na lasce dotykało średniowiecznie surowej głowy.) Ale już dzisiaj dyrektor muzeum z Bostonu

jak lis skradał się dokoła tego okazu. A jutro przyjdzie dyrektor muzeum z Cincinati.

Światło dzienne złociło się już. A ciągle jeszcze nie widać było ani śladu prac Saveria! Zaś ze starych arcydzieł płynęło coś, co mię deprymowało. Skupiłem całą wolę — jakże już byłem zmęczony — aby raz jeszcze wypowiedzieć swoje życzenie.

W tej chwili wszedł Toni, nie wyjmując rąk z kieszeni spodni:

— Nadole jest jakaś kobieta.

Barbieri zaszczekał jak pies na łańcuchu:

— Jaka kobieta?

— No, kobieta!

Barbieri podniósł laskę. Toni odniechcenia odtrącił nogą jakiś oprawny w świńską skórę tom, leżący na podłodze:

— Młoda nie jest. Brzydka kobieta.

Barbieri dyszał:

— Łajdaku, pytam się ciebie, czego ona chce!

— A czego ma chcieć? Dzisiaj pierwszy! Przychodzi po swoją rentę.

Myślałem, że teraz wybuchnie skandal. Ale po chwili odrętwienia Barbieri znowu rzucił chłopakowi banknot:

— Morderco, zabiję cię, jeżeli jeszcze raz odważysz się przeszkodzić mi!

A do mnie:

— Widzi pan, to jest jego podzięka, professore!

Sala, która dawniej nazywała się atelier, była zupełnie opróżniona. Fortepian, gramofony, wszystko znikło; dywan leżał zwinięty, firanki były pozdejmowane.

Barbieri zdjął kapelusz i odstawił nawet swoją nieodłączną laskę do kąta. Nieustannie chodził na palcach, jak w kościele. I rzeczywiście na węższej ścianie pokoju wznosiła się przesłonięta workowem

płótnem budowla, podobna do ołtarza. Stary rzekł głosem stłumionym:

— Ponieważ to jest pan, professore, pokażę panu coś, co niewielu ludziom danem było widzieć.

Zerwał zasłonę ze wzniesienia. Ukazał się tryptyk, które boczne skrzydła były puste. Ale w środkowem polu połyskiwał, zalany czerwonozłotą falą zapadającego wieczora, prastary obraz. Głos Barbieriego brzmiał jakby zdławiony ze wzruszenia:

— Cimabue!

I po chwili:

— Dowiedziony w literaturze!

Starzec nie grał przede mną komedji. Był szczerze i mocno wstrząśnięty widokiem obrazu. Przechylił głowę jak w ekstazie religijnej i milczał; słychać było tylko jego przyśpieszony, szlochający z rozkoszy oddech.

Obraz przedstawiał Dziewicę z Dzieciątkiem w otoczeniu świętych. Opromienione złotem głowy uwielbiających cofały się w ciemną głąb. Zaś Królowa Niebios świeciła nadziemskiemi kolowami. Więc przedewszystkiem różowa barwa tuniki, różowa barwa, w której zdawał się rozpuszczony błękit mistycznych zimokwitów jesiennych. Także haftowany błękit płaszcza nie miał sobie równego wśród kolorów natury. Zielonkawodługie, bezkostne palce trzymały Dzieciątko w białych kłębach pieluszek z czarowną lękliwością. Jeśli było na świecie coś tak pięknego, że mogło wywołać płacz, to tylko te niebiańskie barwy na święcie-nieruchomej budowli ikony.

To, co następuje, piszę z największym tylko oporem. Tego rodzaju wrażenia, których ewidencja leży poza granicami rozsądku, wymagają takiego zaufania, jakiego od nikogo nie mogę żądać. Ale nie narzucam żadnego rozwiązania, nie wyciągam

wniosków i z całą prawdomównością, jaką rozporządzam, opisuję jedynie zdarzenie wewnętrzne.

Biorę pod uwagę, że Saverio za pierwszą moją wizytą wywarł na mnie szczególnie silne wrażenie, tak że w ciągu bieżącego roku często widywałem go we śnie, co w stosunku do tak mało znajomych ludzi prawie nigdy mi się nie zdarza. Dalej nie zapominam, że tego dnia rozmowa z Mondhausem i wiadomość o obłędzie malarza wzburzyły mię bardzo i że już od szeregu godzin czułem palące pragnienie poznania dzieł chorego. Do tego dodać jeszcze należy miejsce (atelier, w którem spotkałem się z Saveriem), moje zmęczenie i okoliczność, że od śniadania nic nie jadłem. Wszystkie te powody są dostatecznie silne, aby wyjaśnić niezwykłe podniecenie i wrażliwość.

Nie jestem bardziej jasnowidzący, niż każdy normalny człowiek. Zdolność przeczuwania od czasu do czasu jakiegoś ważnego lub nieważnego zdarzenia moglibyśmy dostrzec u siebie wszyscy, gdybyśmy się zdobyli na bystrzejszą siłę obserwacji w stosunku do najistotniejszych wydarzeń w obrębie naszej egzystencji. Ale nie rozumiemy nawet i nie przeżywamy mniej delikatnego mechanizmu wydarzeń cielesnych. O ileż mniej moglibyśmy, zaplątani wyłącznie w schemat socjalny, uświadomić sobie subtelniejsze przeżycia graniczne, jakie nas codzień spotykają.

Ale oto zapisuję jedno z takich przeżyć:

— — Gdyż z prastarego obrazu Cimabuego szła ku mnie z cielesną niemal siłą indywidualność Saveria. — —

Nie mam najmniejszego powodu wątpić w autentyczność tego pełnego boskości obrazu. Zapewniano mię coprawda później, że bywają wyrafinowane metody preparowania płyty drewnianej w ten sposób, iż na niepodejrzliwym widzu spra-

wia ona wrażenie zamierzchłej starożytności. Fałszerze pokrywają naprzykład kunsztownie wybejcowaną deskę warstwą wosku i z pewnej odległości strzelają do niej odpowiedniemi ładunkami śrutu, co ma łudząco naśladować dzieło czerwia drzewnego. Słyszałem o tem. Czy to prawda, nie wiem. Odpowiadano mi dalej cuda o sztuce genjalnych restauratorów, którzy najsubtelniej dobranemi płaszczyznami barw i płytkami farb wyczarowują z zakopconych, nierozpoznawalnych ruin wizję starego mistrza. Ale wedle mego skromnego rozumienia w tym wypadku fałszerstwo byłoby zupełnie niepojęte. Czy można sfałszować duszę obrazu?

To też oszołamiającem było właśnie, że indywidualność Saveria uderzyła mię odrazu. Indywidualność Saveria? Podobna była przecież do splotu powikłanych sprzeczności: przesadny uścisk dłoni, maniery światowca, kłamstwa i ich wyznania, zamiłowanie do przepychu i prycza, komedjancka deklamacja i nagły szloch, gdy pokazał portret mężczyzny. I przy tak rozpaczliwym rozkładzie ta jedność, która mię ciągle zajmowała, ukazywała mi się we śnie, a teraz stawała w niepojęty sposób przed obrazem Cimabuego? Ale co wspólnego miał ów ciemny portret męski, który odgadłem z lustrzanej powierzchni szkła, z tą wdzięcznie — transcendentalną barwnością dawnego mistrza?

Początkowo myślałem, że przeżywam tu coś „tajemnego“, potem przeniknęło mię jak objawienie: Saverio jest fałszerzem ikony. Ale już w następnej minucie odrzuciłem ten pomysł. Dzisiaj zadowalniam się sceptycznem uzasadnieniem, które powtarzam pokrótce:

Zmęcznie i wygłodzenie! Wpływ miejsca! Dziwne oddziaływanie Saveria na mnie! Przejęcie

się jego losem. Niespełnione pragnienie widoku jego tworu, który uderzył mie z obrazu Cimabuego niby odmalowana magja. Cokolwiekby to jednak wyjaśniło, przeżycie moje było tak silne, że musiałem odwrócić wzrok. Kiedy spojrzałem znowu, Barbieri zawiesił już tryptyk.

Ręce moje były lodowato zimne. Wbrew woli wydarło mi się pytanie:

— Skąd pan ma ten obraz?

Barbieri z przerażeniem zatkał mi usta, jęknął i pociągnął mię do jakiegoś jako tako umeblowanego gabinetu. Tam począł czynić mnie i sobie wyrzuty, że jestem dla niego tak sympatyczny i przez to naraża się na niebezpieczeństwo. Powinienem pozostać zawsze uczonym i nie mieszać się nigdy do interesów, jak szpiegowie i oszuści, przez których handel dziełami sztuki staje się niepewny. Gdyby on miał syna, także uczyniłby go uczonym. Kazał mi złożyć sto przysiąg, że nigdy i przed nikim nie zdradzę wielkiego misterjum. Nawet sławy muzealne całego świata i najsłynniejsi zbieracze, Mitchinson i Havemeyer, znają tylko fałszywą wersję.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie.

Przed memi oczyma chybotał się srebrny tułów kobiecy. Barbieri opowiadał:

W pobiżu S. znajduje się na wysokiem wzgórzu stara abbazia, opactwo, należące do benedyktynów. Mały budynek konwentu jest jeszcze ciągle dobrze zachowany. W roku 1824 nawiedziło jednak tę okolicę trzęsienie ziemi, czy też obsunięcie się góry, którego ofiarą padł należący do opactwa, znajdujący się nieco na uboczu kościół romański. Ruina z niewiadomych powodów dotychczas nie została rozebrana; mnisi bronią się przeciwko temu, co stanowi wieczny punkt sporu między władzami świeckiemi a klerem. Z uwagi na niebezpieczeństwo

dla życia, zawalone miejsce otoczone zostało szeroko parkanem i zabezpieczone drutem kolczastym. Nikomu nie wolno tam wchodzić, tylko opat posiada klucze do ruiny.

Barbieri opisał teraz z iskrzącą się namiętnością, jak bawiąc w S., niby wietrzące zwierzę skradał się ciągle wokół zamkniętej ruiny, przeczuwając zmysłami prawdę, choć nie miał żadnego punktu zaczepienia, i jak postarał się w sposób jak najmniej rzucający się w oczy poznać przy winie nieufnego opata benedyktynów. Opowiadał o długotrwałych zapasach między nim a mnichem, jak szukał po całej okolicy jakichś przydatnych represalij przeciwko klasztorowi, aż wreszie trzymał śliską płotkę benedytyńską w niemiłosiernych rękach.

Głos jego załamał się, gdy opisywał wejście do ruiny i napad omdlenia na widok tej niesłychanej skarbnicy. Gdyż najwyższa sztuka włoska, wszyscy mistrze minionych stuleci wyznaczyli sobie rendez-vous w tym zapadłym domu bożym, aby ozdobić ołtarze główne i boczne, nawę, chór, ściany, ambonę i zakrystje, ba, nawet krypty i lochy piwniczne.

Tutaj antykwarjusz zrobił pauzę i szybkiem, zatajonem spojrzeniem upewnił się, że mu wierzę. Dotknął mię kolanami:

— Zdradzam panu swoją egzystencję, professore, nie zrujnuje mnie pan. Może będę mógł zabrać tam pana kiedyś. Przeżyje pan coś wielkiego. Ale trzeba z tymi mnichami postępować ostrożnie. Za sto lat nie skończymy jeszcze z inwentarzem. Mam tajny układ z Watykanem. Biada mi, jeżeli dollarieri dowiedzą się czegoś. W przyszłym roku jest anno santo. Rozumie pan? Niech tylko dollarieri zwąchają sprawę, a przelicytują, mię. A kościół ma moc wiązania i rozwiązywania! Dlaczegóżby nie mógł

rozwiązać mojej umowy? Troski, profesorze, troski . . .

Powrócił do opactwa:

— Niech pan sobie wyobrazi, przyjacielu, wietrzną noc księżycową jak na filmie. Preor i ja niesiemy latarnie. Za nami pięciu mnichów w białych habitach. Czaty rozstawione. A my wynosimy relikwje ze świętej góry, o, boskie, najbardziej boskie relikwje! Niech pan to sobie tylko wyobrazi!

Wyobraziłem to sobie żywo i miałem wrażenie, że słyszę szybki, głuchy akompanjament, odpowiedni do jakiejś sceny sprzysiężenia.

Barbieri głośno uderzył laską w podłogę:

— Tak, teraz pan wie, skąd pochodzi ten Cimabue. Ja, professore, zbogacem świat, nie siebie. Siedemdziesiąt pięć procent dostają benedyktyni. Tak, kościół potrafi robić ostre kontrakty. A kto ponosi całe ryzyko? Ja!

Krzyknął:

— Ale świat mnie nienawidzi! Niech pan naprzykład weźmie Dubosca! Dubosc nie ma duszy dla sztuki, nie ma oczu, ale ma trzysta miljonów dolarów. Ludzie z muzeów i historycy sztuki muszą tańczyć, jak on im zagra. Dubosc rozkazuje: „Najwyższy już czas, abyśmy skompromitowali starego Barbieriego. Barbieri staje mi się za wielki. Co zrobimy, Smithers?“ A dr. Smithers, Glasgow, niewolnik, kłania się głęboko: „Jak Wasza Dolarowa Mość rozkaże!“ I w ciągu czterech tygodni zjawia się publikacja Smithersa, Glasgow, w której machający ogonkiem pies dolarowy twierdzi, że litera M w napisie na cokole tej czy owej Madonny jest literą M, która w roku 1322 jeszcze nie istniała i zjawiła się dopiero w roku 1347. To się nazywa nauka! Eksperci i zbieracze leżą. Zaś Dubosc daruje Smithersowi swoją fotografję w brylantowej

ramie. A ja, professore, a ja, który mam oczy i duszę...

Antykwarjusz wstał, aby zdruzgotać swoich wrogów:

— Niech ze mną nie igrają. W nowej Italji można im będzie pomieszać szyki. Czy wie pan, czem są ci wszyscy szpiegowie sztuki i głupcy?

Syknął:

— Ja wiem, czem oni są!

Fioletowe plamy triumfu poczęły się odcinać na jego policzkach:

— I wie pan, co się w najbliższych dniach odbędzie w naszem mieście?

Pienił się ze wstydu:

— Odbędzie się kongres homoseksualistów, professore! Proszę sobie pomyśleć kongres tych ludzi! Takie perwersyjne świństwo w naszej nowej, męskiej Italji!

Fakt kongresu wydawał się zresztą bardzo na rękę Barbieriemu:

— Czy Włochy faszystowskie mogą ścierpieć tego rodzaju zdrożność? Czy tacy Smithersowie mogą się tu wałęsać? Nie, nie, nie, professore! Precz z nimi!

I zakończył cicho:

— Napisałem do Duce długi list i zwróciłem jego uwagę na kongres!

Z niebezpieczną wibracją, która wszelkie powątpiewanie napiętnowałaby jako zdradę stanu, zapytał mnie:

— Czy pan wie, że Benito Mussolini czyta każdy list Włocha?

Przyznałem, że jest to godny podziwu wyczyn.

Ale on zagrzmiał teraz, głosząc swoje wyznanie wiary:

— Duce uważa za swoje najwyższe zadanie chronić interes włoski przed intruzami.

Toni wsunął się przez drzwi i zameldował:

— Dwoje państwa przyszli, a także jedzenie podane, panie!

Antykwarjusz wydał przeciągły dźwięk bólu:

— Państwo przyszli, zawsze ci państwo . . . Komu to mam do zawdzięczenia, jak nie pańskiemu Saveriowi, professore . . .

Zeszliśmy po schodach. Nagle zatrzymał mię niespodzianym ruchem:

— Siedem kobiet siedzi mi w domu, siedem rozrzutnic, a najmłodsza ma już siedemnaście lat. Jeżeli jedna ma dostać nowe futro, muszę pozostałym także kupić nowe futra, co stanowi siedem futer. I muszą to być drogie futra, na to jestem Barbierim! Niech pan zrozumie mój los! Jaką pomoc mam za to, jakie wygody, jaką obsługę? Jakiś nicpoń przynosi mi jedzenie w koszyku, jakbym był murarzem. Niech pan to ogłosi światu, professore! Nie uwierzy . . .

I tonem szczerego cierpienia:

— Syna powinienem był mieć! Dubosc ma trzech synów i wszyscy są w przedsiębiorstwie!

Znowu owładnęło Barbierim rozgoryczenie i począł szczegółowo odmalowywać atak szału Saveria, od którego zaczęła się choroba, i użalać się na los swego Benedetta da Majano. Ręka, która trzymała mię za surdut, drżała:

— Oszukuje pana i mnie, professore! Niech pan zapamięta moje słowa! Ten obłęd jest szantażem . . . Ale kogo się ostatecznie obwinia? Mnie i znowu mnie!

Nie wiem, dlaczego go teraz nie pożegnałem, lecz pozwoliłem się wepchnąć przez antykwarjusza do innego pokoju. Była to we mnie zapewne ostatnia resztka nadziei, że rzucę okiem na prawdę. Ale czyż nie widziałem aż nadto?

Zapadł wieczór.

Państwo, zameldowani przez Toniego, stali

w pokoju, w którym część stołu nakryta była przybrudzonym obrusem. Poznałem contessę Fagarazzi i jakiegoś nieznajomego pana, którego Barbieri przedstawił jako avvocato Sanudo, zaprezentowawszy mnie jakiemś nazwiskiem niemieckiem i długim tytułem, o którymbym nigdy nie śmiał marzyć.

Sanudo był wytwornym mężczyzną o wilgotnych wargach i pobłażliwie-przebiegle przechylonej główce. Uśmiechał się z niezmiennem utęsknieniem, ale była to, jeśli można tak powiedzieć, tęsknota logiki, nie opuszczająca jego rysów.

Pani Fagarazzi usiadła sztywno przy końcu stołu z odrzuconą woalką. Nakreślone tuszem brwi działały na nieruchomej emalji jej twarzy jak na sztychu japońskim. Obawiałem się, że nagle wybuchnie jej tik, a fioletowe usteczka zaczną się krzywić, wić, miotać i drgać. Nie stało się to. Może teraz, gdy Saverio był stracony, usta jej i dusza odzyskały spokój. Może ból o niego dawał jej siłę i wytrwałość. A jednak mimo całej sztuczności wydała mi się tym razem o wiele młodsza. W oczach jej zapaliło się jakieś gotowe do walki naprężenie. Nieomylnie ukazywał się urok jej zużycia!

Barbieri począł uprzejmie oplatać Sanuda:

— Przygotowałem nieco materjału dla pańskich studjów, avvocato! Pochwali mię pan!

Zachowanie contessy Fagarazzi i te wysiłki antykwarjusza wobec adwokata pozwalały się domyślać, że Barbieri znajdował się wobec swoich gości w słabszej pozycji. Mieli oni widocznie pretensje prawne i środki w ręku, które mogły być dla niego niebezpieczne. Że te pretensje prawne pozostawały w związku z Saveriem, nie ulegało wątpliwości. Czyż Barbieri nie biadał ciągle nad swoim demonem? A nie było niemożliwe, aby contessa była żoną tego demona i teraz, nieruchoma jak jej

sztuczna twarz, reprezentowała prawa swego bezbronnego męża.

Barbieri siadł stękając i położył laskę obok siebie na stole:

— Wie pani, jaki miałem wczoraj przykry wypadek? Pęknięcie osi między Strą a Padwą. Wóz do niczego! Musieliśmy wracać pociągiem!

Teraz usłyszałem po raz pierwszy głos kobiety, głos niemniej dziewczęcy niż jej postać:

— Myślałam już o takich możliwościach. Postarałam się więc, abyśmy w poniedziałek mieli na wszelki wypadek auto do dyspozycji . . .

Barbieri spoglądał na nią niebywale ubawiony:

— Jest pani jedyną w swoim rodzaju kobietą, contesso! Ale pozwoliłem sobie uprzedzić panią. Dzisiaj już nadejdzie do Mestre nowy wielki wóz, który zamówiłem telegraficznie z Turynu!

I zwracając się do mnie:

— Musi pan wiedzieć, professore, iż lekarze twierdzą, że kilkogodzinna jazda samochodem może mieć dla mego zdrowia najfatalniejsze skutki. A jednak będę w poniedziałek siedział wiele, wiele godzin w aucie. Towarzystwo contessy będzie moją ochroną. Nie, professore, nigdy nie wykręcam się od swego obowiązku. W sześćdziesiątym roku życia zgłosiłem się jako ochotnik do służby frontowej. Nie moją było winą, że mnie nie przyjęto . . .

Wszyscy siedzieli. Ja stałem, mimo ożywionego zaproszenia Barbieriego, abym usiadł. Avvocato raz poraz spoglądał na mnie zdziwiony, ze swojem rozumnem utęsknieniem. Stanowiłem wyraźną przeszkodę. Tylko antykwarjusz, który pomylił mię Bóg wie z kim, był z mojej obecnością niezwykle zadowolony. Prowadził głośną rozmowę, rozwodził się nad siedmioma kobietami, nad swojem nędznem życiem, nad Duboskiem i nieszlachetną konkurencją w ogólności. Potem uskarżał się, że nie posiada już

dawnej sprężystości, a mimo to po całych dniach musi odbywać konferencje. Niegdyś mógł być czasami niebezpiecznym przeciwnikiem, ale teraz stał się tak zobojętniały i pogodny, że bawi go bronienie wbrew własnemu interesowi sprawy sympatycznego przeciwnika. Przy tych słowach pochylił z uśmiechem głowę w stronę contessy.

Prosił o wybaczenie, że spożywa swój posiłek przy gościach, ale jest przecież starym człowiekiem.

Racząc się jedzeniem z koszyka, wygłosił twierdzenie, że chcąc osiągnąć przyzwoity wiek, powinien człowiek jeść powoli. I jadł swoją „pastę" niezmiernie wolno, gdy przecież z wyglądu sprawiał wrażenie człowieka, który lubi jeść łapczywie.

Zrozumiałem, że ten sposób jedzenia, jak i wszystko inne, jak jego gadatliwość, serdeczność, bieg jego myśli, był niczem innem, tylko mądrym manewrem w celu zbałamucenia i wyczerpania przeciwnika. I mnie, który przyszedłem obejrzeć obrazy Saveria, zbałamucił i wyczerpał. Dlaczego?

Byłem świadkiem straszliwej i niezbadanej walki; poznawałem to po jasnych oczach pani Fagarazzi, które promieniały z coraz większem naprężeniem i zapałem. Nietylko byłem świadkiem tej walki, mimowoli brałem w niej udział, gdyż Barbieri używał mojej zawadzającej osoby jako sprzymierzeńca. Sądziłem, iż poznaję, że wzmaganiu tem chodziło o znacznie więcej, niżeli o pieniądze.

Sanudo wydobył ostrożnie plik akt i położył przed sobą kilka arkuszy linjowanego papieru notarjalnego, na jakim sporządza się we Włoszech umowy i dokumenty. Odchrząknął i kilkakrotnie próbował ostrzegawczem „dunque" położyć kres tej scenie.

Barbieri oświadczył na to, że system Fletchera z jego trzydziestoma dwoma ruchami żucia jest niewystarczający, trzeba zastosować czterdzieści pięć

ruchów, aby uczynić kęs nadającym się do strawienia. Bardzo też jest dobrze popijać do tego za każdym razem maleńki łyczek wina.

Rozległ się cichy, dziewczęcy głos contessy Fagarazzi:

— Ma pan w zupełności rację, commendatore! Zdrowie pańskie jest dla nas cenniejsze jeszcze, niż dla pana. Niech pan sobie nie przeszkadza! Mamy tyle czasu, ile go tylko jest na świecie.

Nigdy w całem swem życiu nie uświadomiłem sobie tak wyraźnie nieprzeniknionej natury ludzkiej, jak w owej chwili. Ale odczuwałem ją nie jako daną życiową, z którą trzeba się było pogodzić, lecz jako coś złego, bezbożnego, jako przeszkodę wszelkiej miłości, jako demoniczną przyczynę wszelkiego zwątpienia.

Siedziało tutaj troje ludzi, którzy byli mi zupełnie obcy, którzy mnie wcale nie obchodzili, a jednak moje udręczone nerwy żebrały prawdy, której nie wolno mi było żądać i która była zapewne niepojęta. Czy znał ją adwokat Sanudo, którego tęskna wyrozumiałość zdawała się ją okazywać? Nie! Z pewnością nie wtajemniczono go bardziej, niż to było potrzebne dla jego asystencji i dla stemplowanego papieru urzędowego. A dwoje zapaśników, Barbieri i Fagarazzi? Widać było po obojgu, że nie znali jeszcze atutów przeciwnika. Co oznaczała ta jazda autem? Czy Saverio miał być przewieziony do prywatnego zakładu? Czy Barbieri lękał się tego? Czy obłęd był prawdziwy, udawany czy wręcz ukartowany? I dlaczego? Nieprzeniknione zagadki! A gdybym znał w s z y s t k i e fakty, czy nie odsłoniłyby się za niemi nowe nieprzeniknione zagadki? Co najstraszliwsza: Ja sam grałem w tem spotkaniu losów nieprzeniknioną rolę. Pobłażliwie-przebiegły uśmiech Sanuda starał się zrozumieć tę moją rolę. I niedość na tem! Dla mnie samego była

ona nieprzenikniona. Ogarnęło mię chorobliwe wyobrażenie, że to nie moja własna wola sprowadziła mię tutaj. W tej przeraźliwej minucie dławiła mnie, gnuśnego, samolubnego człowieka nieznośna niemal obawa o tego zupełnie obcego Saveria i potężny nakaz duszy: P o m ó ż m u!

Dreszczem przeniknęła mię myśl, jak często zapomocą przekupienia lekarzy i urzędników sądowych zamykano zdrowych ludzi do zakładu dla obłąkanych, poto tylko, aby znikł główny świadek jakiejś niesprawiedliwości. Czy Barbieri i hrabina, oboje, nie byli zdolni do takiego czynu? W bezsilnych myślach zacinałem zęby. Ale miałem tylko wrażenie, jakbym wdychał oszołamiający czad.

Otwarte okna pokoju wychodziły na wielki ogród, który leżał za domem i którego przy pierwszej wizycie nie widziałem. Gałęzie jego jaworów wdzierały się niemal do pokoju. Wielkie ćmy chmarą wleciały do pokoju, uderzały o ściany, sufit, lampę, sprawiając wrzawę szybko przewracanych kartek i pukających kostek palców.

Wówczas ogarnął mnie stan, którego nie mogę nazwać smutkiem, zadumą, melancholją, a tem mniej niedyspozycją fizyczną.

Istnieje niedyspozycja natury duchowej, gorsza niż wszystko. Chiałoby się człowiekowi położyć, gdzie stoi, na ulicy, bez nadziei, że zdoła umrzeć...

A jednak mimo gorliwego oporu antykwarjusza udało mi się z przyjaznym uśmiechem i uprzejmem podziękowaniem pożegnać.

V

W nocy — aż do rana leżałem bezsennie — powziąłem postanowienie odwiedzenia Saveria w San Clemente. Może umysł jego nie był zburzony, a tylko zamroczony, może teraz wyspowiada się przede mną. Podczas sączących się godzin tej nocy duchowa męka nieświadomości wzrosła aż do stanu choroby.

Ale gdy nadszedł ranek, byłem śmiertelnie znużony, deszcz padał, i nie czułem się na siłach, aby wykonać swoje postanowienie.

Następny dzień promieniał taką pięknością, że ustąpiłem przeciwnym głosom w sobie, ostrzegającym mię przed zasępieniem takiego przepychu życia przez wizytę w zakładzie dla obłąkanych.

Trzeciego ranka zbudziło się we mnie nagle wiele skrupułów: Nie miałem prawa usiłować wyrwać człowiekowi choremu zagadki, którą przy zdrowych zmysłach lękliwie ukrywał. Wizyta moja mogła mieć zresztą dla niego szkodliwe skutki. Może ten obłęd był tylko środkiem walki w rozpaczliwej wojnie między Saveriem, contessą i jakimś potężnym wyzyskiwaczem. Czyżby wówczas wtargnięcie obcego człowieka nie zgotowało nieszczęścia? I jakżebym ja, nieświadomy i niezainteresowany, mógł pomóc?

Wreszcie w niedzielę wiedziałem, że się boję i szukam wymówek, aby uniknąć drogi do San Clemente.

Wkrótce potem dotknęła mię zmiana losu, która

na kilka dni zaabsorbowała wszystkie moje siły. Kiedy powróciłem, sprawa Saveria przybladła dla mnie w niesamowity sposób. Posiadałem nagle cały szereg wyjaśnień, a do wyrazu „tajemnica“ odczuwałem racjonalistyczną nienawiść. Z wielką też przykrością tylko mogłem myśleć o swojej bytności w domu Barbieriego.

Nie widziałem więcej Saveria. Nie wiem, czy umarł w domu obłąkanych, czy też żyje jeszcze. Mondhaus, którego przed wyjazdem z Włoch spotkałem raz jeszcze tylko w większem towarzystwie, był namiętnie zainteresowany inną aferą i wyszukał sobie jakiegoś innego młodzieńca jako nową ofiarę swojej zezującej natarczywości. Rzutki ten człowiek odłożył widocznie cały swój zapał badacza w sprawie Saveria S. ad acta. Nie zamieniliśmy z sobą trzech sów. Sprawiło mi jednak dziwnie bolesne zadowolenie, że nie zadałem pytania co do malarza.

Życie wykoszlawia i miażdży wszystko i wypuszcza z powolnej ręki. Życie? My sami! O, to zobojętnienie, o ta niemożność zrozumienia! I wśród wielu powodów do obłędu najgłębszy, ta „doczesność“!

Gdybym po kilku latach, teraz, dzisiaj, w tej chwili przeczytał na ulicy afisz: „Wystawa pośmiertna obrazów malarza Saveria S.“, czy poszedłbym?

Nie wiem!

Przede mną, na stole, na którym to piszę, leży gazeta. Feljeton jej przynosi „List Włoski“ Stefana Mondhausa. List ten stanowi krótki rzut oka na nowe prawa korporacyjne półwyspu, opisuje uroczyste przedstawienie na arenie Werony i kończy się hymnem pochwalnym na cześć nowoodkrytego Cimabuego, który po pełnej przygód odyssei

zawitał wreszcie do patrjotycznej przystani jakiegoś rodzimego zbieracza:

„Nie mówcie o „stylu“, „dekoracyjności“, „rytmie“, nie ratujcie się przebrzmiałemi frazesami, lecz padnijcie na kolana przed druzgocącą pobożnością i jednością stulecia, którego niegodni jesteśmy rozumieć“.

Ale ja nie myślę o boskim obrazie Cimabuego. Patrzę na bezbarwnie-ciemny portret męski, o którym nie wiem, czy go niegdyś r z e c z y w i ś c i e widziałem. A jednak mógłbym go opisać dokładnie, aż do najdrobniejszych szczegółów techniki.

Kontury głowy — widzę, jak powiewnie otaczają one cierpiącą twarz świeciły od żółtawej, kostnej bieli.

SCHODY HOTELOWE

Liftboy zrobił rozpaczliwą minę, ale winda była pełna. O wiele chętniej byłby zabrał tę młodą damę, niż suchy ciężar czterech Angielek, które poważnie czekały na wzniesienie się.

Francina miała w ręku ważny list, który otrzymała, powracając z sali jadalnej, i zaledwie przebiegła oczyma. Nie wiedziała, co w tym liście było napisane, nie znała słów, nie znała szczegółów, ale wiedziała, że niósł on jej naprzeciw niezmącone serce Filipa, i to właśnie w chwili, gdy powzięła pewność, że jest wolna od Gwidona.

Dziwiła się, że ta zbawcza chwila, o którą w ciągu ostatnich siedmiu nocy tak gorąco się modliła, teraz, gdy została jej dana, nie budziła w niej większego uczucia, bardziej spazmatycznego szczęścia. Może temu zdziwieniu i pragnieniu wyraźniejszych uczuć przypisać należy, że Francina nie czekała na powrót windy, lecz skierowała się do szerokich, grubo wyłożonych czerwonym chodnikiem schodów, które łagodnie wznoszącemi się prostokątemi oplatały z godnością olbrzymi szyb luksusowego hotelu.

Trudno sobie wyobrazić większe wyzwolenie, niż to, które mogła teraz święcić. Dzisiaj jeszcze — gdy pod poniec tygodnia granica niepewności była niemal osiągnięta — wszelka nadzieja wydawała się stracona, a w jasnym i uporządkowanym umyśle Franciny tłoczyły się nieubłaganie wszystkie środki zapobiegawcze, kłamstwa i ohydne skutki, które byłyby konieczne.

Rozważyła wszystko dobrze. Surowości wobec siebie nie brakło jej. Filip? No, prawa Filipa najmniej ją przygnębiały. Czyż miał do niej prawa? Prawa, przez jakie zdobyte zalety i czyny?

Ale być zmuszoną okłamywać rodziców, wynajdować nikczemne wymówki i podstępy, a wszystko to ze swobodnem czołem udawanej wesołości, jakżeby tego mogła dokonać! Rodzice jej byli bardzo starzy i pełni nieświadomej surowości obyczajów dawno przebrzmiałych stuleci. Nie znaczy to, aby ona, Francina, w najmniejszym bodaj zakątku serca buntowała się przeciwko tej surowości obyczajów. Zgadzała się z nią w zupełności, jak z każdem urządzeniem i utrudnieniem życia.

Chociaż nie posiadała w takich sprawach stałego poglądu, uważała jednak za zachwycające ze strony ojca, byłego ministra cesarsko-królewskiego, że ignorował teraźniejszość, że zawsze w dzień urodzin swego dawno zmarłego, legendarnego monarchy zjawiał się przy stole domowym w uroczystym stroju i — nie wspominając zresztą ani słowem o intencji — celebrował ciche uczczenie pamięci. Była o wiele za młoda, aby czuć do teraźniejszości gorycz zranionej ambicji klasowej, ale odczuwała jednak jakąś odrazę do wszelkiego obniżania ceny życia i na swój sposób przeciwstawiła się pędowi czasu przez to, że nie obcięła swych blond włosów. Ale nawet konserwatywna długość włosów nie obroniła jej...

Lecz teraz nadeszło wyzwolenie! Bóg darował jej to, czego się już niemal nie spodziewała. Ale tak szybko rozwiała się brunatna mgła, która ciążyła jej przez siedem dni, z taką naturalnością powróciło teraz wszystko do dawnego stanu, tak szybko zmieniło się jej przeżycie w niemiły sen,

i nawet nie w sen — że odczuwała szybkość swego zapomnienia niby nierząd.

Farncina stała u stóp schodów. Widziała, że w salonie odsuwano już stoliki do muzyki wieczornej i tańca. Najwyższy już był czas na ucieczkę. Podniosła głowę i zmierzyła odstęp, dzielący ją od jej pokoju na najwyższem piętrze. Wysoka jak katedra przestrzeń wyrastała nad nią oszołamiająco. A na wyżynie otchłani wisiał olbrzymi żyrandol z matowo połyskującemi, lekko pobrzękującemi pryzmatami, jakby kołysząc się w tajemniczym powiewie powietrza.

Pomyślała o miejscowości odpustowej, do której matka zabrała ją niegdyś, jako dziecko jeszcze. Sto i więcej stopni prowadziło do wysokiego, opancerzonego skałami kościoła. A matka, w wykonaniu swojej pokuty, wczołgała się po tych wszystkich setkach stopni, skruszona, na kolanach.

Jak błahym musiał być grzech biednej, zawsze milczącej matki, za który czyniła tak pobożną pokutę. Czasy się zmieniły, osłabiły wiarę. Ona, Francina, nie weszłaby na kolanach po setkach stopni wysokiego kościoła, ale w każdym razie wzgardziłaby wygodną windą i w pokucie weszła po pokrytych czerwonym chodnikiem schodach tego luksusowego hotelu — w najpiękniejszej coprawda toalecie wieczorowej, z obnażonemi barkami i ramionami.

Wolno postawiła nogę na pierwszym stopniu.

Droga, leżąca przed nią, wydała się jej daleka i żmudna, jak samotne wspinanie się po górach, gdyż w tej chwili w olbrzymiej klatce schodowej hotelu nie było widać nikogo, i Francina czuła się opuszczona w tej przestrzeni, którą nakazała sobie przezwyciężyć. Ale nietylko tę przestrzeń trzeba było przezwyciężyć.

Już jako dziecko nauczyła się bez zawrotu głowy

i słabości zdawać przed sobą samą rachunek. Nauczyła się, że wszelkie marzycielstwo, potok niewyraźnych uczuć jest grzechem, a religja nakazuje nieustanne badanie sumienia. A oto naraz rozwiał się nieprzejrzany zamęt. W ostatniej chwili stało się coś nieoczekiwanego, Bóg sam ulitował się i zmiłował.

Było więc jej obowiązkiem, zanim na wieki zepchnie Gwidona w przepaść, zanim wszystko odstanie się na zawsze, tak, teraz miała ciężki obowiązek raz jeszcze przywołać jego twarz. Ale choć surowo marszczyła brwi i fałdowała czoło, Gwido nie miał twarzy!

Francina z wysiłkiem spoglądała wdół na stopnie, aby wywołać jego obraz z dywanu. Ale widziała tylko własne wąskie i lekko obute stopy, które — a miało to w sobie coś wzruszającego — równomiernie kroczyły przed nią. Ale tego człowieka nie mogła w sobie dojrzeć. Nic z niego nie pozostało, żadnego rysu, żadnego słowa, tylko jego szept podczas owego niebezpiecznego, powolnego bostona, którego z nim niestety zatańczyła.

Szept ten nie miał treści: nie przypominała sobie żadnych pochlebstw, żadnych zalotów miłosnych. Nie było to nic innego, tylko „szept", jak wiatr jest niczem innem, tylko wiatrem, i niby wiatr całował ten szept konchę jej ucha wesoło-śpiczastym językiem.

Francina uczyniła nowy wysiłek, aby wyczarować coś więcej z Gwidona, niż tylko ten łaskoczący szept. Ale — chociaż z napięcia woli zagryzała zęby — nie mogła wyczarować nic innego, jak nienagannie ubrany manekin w smokingu, który mógł być tym czy owym, wszystkimi, tylko nie Filipem, który był nieco tęższy i niższy od Gwidona albo od tego czy owego w tym domu.

Arcyśmiesznym był ten nienaganny manekin,

gdy siedział bez marynarki w czarnej jedwabnej, przesadnie wciętej w pasie kamizelce. A ponadto siedział w jej, Franciny, pokoju, który na nieszczęście nosił numer 517. Siedział o pierwszym oburzającym brzasku porannym przy stoliku toaletowym i pocierał cold-kremem Franciny białoowalną i pewną siebie szybę, którą nosił na miejscu twarzy. Francina mogła z łóżka, w którem leżała bezwstydnie, obserwować próżne i staranne zabiegi manekina, jakby to wszystko było zupełnie naturalne.

Szczerze mówiąc, nie uważała też tego za okropne ani godne płaczu, lecz tylko za obojętne.

Więc to była miłość!

I dlaczegóżby miłość miała być czemś innem? Łaskoczące szeptanie do ucha! Zakłopotane oszołomienie! Twarz, która jest tylko próżną szybą, pod którą można podsunąć wszelkie możliwe fizjognomie!

Ale było w miłości zawarte jeszcze coś innego, coś bardzo poważnego i nieubłaganego, co nie miało nic wspólnego ze smokingiem, bostonem, manekinami, wiatrem szeptu, cold-kremem i próżnemi szybami twarzy. Podczas tych wszystkich dni niepewnej tęsknoty przeżyła Francina jedną tylko rzeczywistą hańbę. Była to scena w aptece.

Przez piętnaście minut nie miała odwagi wejść do sklepu. Coraz to na nowo zestawiała słowa obcego języka, które miała wypowiedzieć i coraz to na nowo z rozpaczą rozsypywała je w duchu. Przedewszystkiem zaś spodziewała się, że zastanie w magazynie prastarego, białobrodego aptekarza, poczciwego staruszka, któremu nie będzie niemożliwe zaufać.

Stanęła potem nie przed młodym wprawdzie, ale też bynajmniej nie przed starym aptekarzem, lecz — jak zdradziło osłabienie jej kolan — przed męż-

czyzną w najohydniejszym wieku. Początkowo nie mogła wydobyć słowa, czerwieniła się coraz bardziej, służąc za strawę dla cynicznych oczu farmaceuty, który strzegł się, aby nie skrócić jej zakłopotania i swojej rozkoszy. Po chwili huczącego milczenia wybuchnęła wreszcie najnieodpowiedniejszym ze wszystkich wyrazów i bliska była omdlenia.

Aptekarz, zdecydowany lubować się aż do końca urokiem tej sceny, zadzierając nosa zadawał jej z lekarską powagą bezwstydne pytania, doradzał, ostrzegał i zapuszczał się coraz bardziej w dwuznaczniki. Gdy mu wreszcie nic innego nie pozostało, wręczył jej buteleczkę z czerwonemi pigułkami, których skuteczność podawał jednak z okrutnie-pożądliwą miną w wątpliwość, a wreszcie zakomunikował Francinie adres pewnej zaufanej kobiety, dotykając przytem czule jej ramienia.

Gdyby Francina popełniła grzech, tam w aptece odbyła pokutą po wszystkie czasy. Niebo samo było snać z tej pokuty zadowolone, gdyż dzisiaj preparat tego ohydnego człowieka okazał się wbrew jego własnym wątpliwościom skutecznym.

Teraz Francina nic sobie nie potrzebowała wyrzucać. Gwido był nienagannym smokingiem z niemożliwą do wyobrażenia sobie twarzą nad kołnierzykiem, był ckliwym, powolnym bostonem, którego gumowej melodji zapomina się równie szybko jak owego wyrafinowanego szeptu. Wczoraj odesłała temu człowiekowi drugi jego list nie otwarty. Nadejdzie jeszcze zapewne trzeci i czwarty list. Naturalnie! Tyle jest chyba warta! Ale po siódmej czy dziewiątej daremnej próbie pan ten zaniecha swojej listownej natarczywości. Po powrocie rodziców nie będzie już pewnie potrzebowała uważać na pocztę.

Gdy Francina kroczyła po przytłumionym przez

chodnik pomoście pierwszego piętra, było rzeczą postanowioną, że teraz, nigdy i po samą wieczność, Gwido nie żył.

Lekkiemi i wesołemi stopami poczęła teraz wchodzić po nowych stopniach, zatapiając wzrok z nieznanem zadowoleniem w liście Filipa:

„Moja ukochana Francino“, — czytała — „nareszcie udało się wielkie pociągnięcie. Zbudowałem dla nas obojga najpiękniejszą przyszłość. Z dumą mogę powiedzieć, że tylko swojej działalności, a nie jakiejś protekcji zawdzięczam niespodziewany sukces. Centrala nowojorska wysyła mię na kierownicze stanowisko do Genewy, gdzie mam zorganizować i poprowadzić filję europejską. Pierwsze lata naszego małżeństwa, moja słodka, ukochana, spędzimy nad jeziorem Genewskiem u stóp Mont Blanc'u. Czy to nie wspaniałe?...“

Nieznane zadowolenie znikło. Namaszczony ton słów Filipa ścigał kroczącą.

„Udało się wielkie pociągnięcie!“... „Zbudowałem dla nas obojga piękną przyszłość“... „Działalność!“... „Nasze małżeństwo!“... „U stóp Mont Blanc'u!“

Gwido nie miał twarzy, ale Filip miał twarz, zupełnie tę twarz, jaką przynosił styl jego listu z Ameryki. Zagniewana Francina widziała przed sobą tę twarz wyraźnie. Widziała blond włoski tworzącej się łysiny, igrające na wietrze. Niebieskie oczy Filipa (najładniejsze zresztą, co w nim było) sięgały jej akurat do ust. Nie poruszając głową, całowała niekiedy jego oczy, ale tylko ze współczucia, że była taka wysoka, a on taki niski. Czy mężczyzna, którego oczy sięgały jej akurat do ust, który robił interesy w Ameryce i rozwodził się patetycznie o swojej „działalności“, jakby to były czyny rycerskie, czy taki mężczyzna miał prawo być jej tak pewnym?! Kimże on był? Czy nie zro-

zumiał subtelnej i zrezygnowanej miny ojca przy oświadczynach?

Francina nie mogła czytać dalej i przyłapała się na tem, że z gniewu — jakgdyby sobie samej nic nie miała do wyrzucenia — brała po dwa stopnie naraz.

Nagle wzdrygnęła się i zwolniła kroku.

Wysoki, błyszcząco wyprostowany pan we fraku i płaszczu szedł jej naprzeciw, zstępując ze schodów. Zanim skierowała wzrok obojętnie nabok, dostrzegła twardą, kościstą twarz, jaką mimo wszystko lubiła, i szaro połyskujące skronie. Pan ze swej strony przygotował się do szczegółowego i pozostawiającego wrażenie wyminięcia.

Niezwykle niemiła dla Fraciny chwila spotkania wydawała się jej nieskończona. Wciągając członki i spojrzenia, jakby były oddechem, mogła sobie zadać dziwne pytanie, czy dwa okręty, które na samotnem morzu ocierają się o siebie wzajemnie burta o burtę, doznają podobnie przykrego uczucia zakłopotania, jak ona teraz.

Pan zniknął za Franciną! Ale czuła wyraźnie i z rezygnacją, że zatrzymał się, odwrócił i spoglądał za nią. Wówczas Francina odmieniła się i utraciła wszystkie myśli. Jak koń szła teraz równomiernie w zaprzęgu spojrzenia męskiego, które mocno trzymało ją ztyłu w cuglach. Głęboko pochyliła głowę, jakby kroczyła naprzód wbrew lekkiemu oporowi kierowanego doświadczoną ręką zaprzęgu. Tajemne kapturki boczne oślepiały z prawej i lewej jej oczy, które nie mogły przecież ujrzeć żadnej przeraźliwej zjawy, nic, prócz fałszywego marmuru ścian hotelowych. Wolno stawiała nogę za nogą z ostrożnym wdziękiem muła. Szła ścieśniwszy zupełnie kończyny. Kolana jej ocierały się często o siebie, jakby musiały mleć krok niby niewidzialne ziarno.

Francina nie mogła zaprzeczyć wobec siebie samej, że narzucony równomierny takt i oszołomienie braku myśli sprawiały jej przyjemność, że ułatwiały jej drogę. Gdy kroki pana za nią, zabrzmiawszy znowu, oddaliły się, ubolewała niemal, że musi iść dalej bez pęt i pozostawiona sobie samej.

Ciągle jeszcze nieskończenie wysoko zwisał z kopuły żyrandol. Przy swojem zmęczeniu czuła Francina pokusę, aby zadzwonić na windę i kazać się zawieźć na piąte piętro, do swego pokoju, którego suma cyfr, jak dawno wyliczyła zabobonnie, wynosiła trzynaście. Ale natychmiast porzuciła tę tchórzliwą myśl. Nie leżało w jej charakterze tak łatwo porzucać postanowienia, poświęcać drobną nałożoną sobie karę i własną wolę wygodzie, chociaż — z jakichkolwiek zresztą powodów — ofiarę tę składała dla człowieka, z którego twarzy nie mogła przywołać więcej, jak pustą, białą szybę.

Idąc dalej, poczęła znowu czytać list Filipa. Niezadowolenie jej znikło: tylko że przewróciła stronicę, która ją zgorszyła. W tej chwili wzrok jej padł na zdanie, które przejęło ją tak silnie, że zatrzymała się pośrodku schodów:

„Nie zasługuję na Ciebie, moja dostojna, królewska Francino! Stoisz ponade mną we wszelkim sensie, jako ciało i krew, jako człowiek i duch. Czegoż więcej mógłbym od Ciebie wymagać, jak tylko, abyś mi pozwoliła służyć Ci i rozumieć Cię, póki mi starczy życia. — Wszystko, co Ty czynisz, będzie dla mnie wiecznie dobre, choćby to było pokrzywdzeniem, zdradą, ba, zniweczeniem mojej własnej osoby! Od Ciebie niczego mi żądać nie wolno. Tobie zaś daję władzę nad swojem życiem i swoją śmiercią.“

Francina ucałowała, nie poruszając się, dobre oczy Filipa. Po raz pierwszy całowała te niebieskie

oczy (jakby ich dwojga nie dzieliło morze) z cichem rozrzewnieniem. Jakże niesprawiedliwa była pierw wobec niego! O, Filip z prawdziwą szlachetnością rozumiał swoje stanowisko! Był subtelny i stały, był jedyną duszą, na której mogła polegać, przez którą zawsze będzie kochana. W cudownej swojej tkliwości wyczuł tam za oceanem wszystko. Przeczuwał wszystko i nie wytaczał żadnych uroszczeń. Była przekonana, że w tajemnicy sposób odgadł ten wypadek zawczasu i że list jego był odpowiedzią na jej przeżycie. Jakże bajeczne nerwy posiadał jednak Filip mimo swojej „działalności"! Wie wszystko, nie wiedząc nic, a jej wolno to będzie wiecznie przemilczać, nie stając się kłamczynią.

Francina przełknęła szczęśliwa trochę łez. Po raz pierwszy od tak wielu dni letarg uwolnił jej skroń. Teraz odczuwała całą siłą pełnię łaski, jaka stała się jej udziałem. Ujrzała otwartemi oczyma, jakich uniknęła poniżeń i jakiej ohydy, w której się już prawie znajdowała. A list Filipa wyrywał z rzeczywistości najdrobniejsze korzonki jej zamętu, dopiero jego mocna przysięga usuwała ostatnie cienie Gwidona z jej losu. Teraz nienaganny manekin leżał istotnie w najgłębszej otchłani, a nieprzenikniony grób wznosił się nad nim. Nic się nie stało. Zaś Francina była wolna. Francina była znowu Franciną.

Z bijącem sercem wbiegała po następnych stopniach. W szczerem oszołomieniu podnieconej serdeczności kreśliła sobie teraz w duchu jedynie obraz mieszkania, do którego niedługo wprowadzi się z narzeczonym. W przelocie rozdzielała pokoje, biorąc czule pod uwagę ciepło, spokój, wygodę swego przyszłego męża. Nie znała Genewy, ale jasnem było, że mieszkanie jej nie może leżeć w gorszej dzielnicy, jak na Quai Mont

Blanc, wszystkiemi oknami na jezioro. Usiłowała też uwierzyć, że jej obojętność wobec dzieci jest cechą uleczalną, ze względu na Filipa.

Jak pomyślnie złożyło się wszystko! W przyszłości jej nie ziała już żadna rysa. Filip zapowiadał swój powrót do Europy na początek przyszłego miesiąca. Była mocno zdecydowana wyjechać mu naprzeciw aż do Hamburga i nigdy go już nie opuszczać. Nie uważała za przypadek, że może właśnie dzisiaj wsiadł w New Yorku na okręt.

Gorącemi dłońmi złożyła Francina list. Wówczas spostrzegła, że przed nią leżała na schodach nieotwarta depesza. Podano jej ją razem z listem Filipa w chwili odmiany losu. Nie zdając sobie z tego sprawy, trzymała ją przez cały czas. Natychmiast wiedziała: rodzice!

Ojciec i matka wybrali się z wycieczką na Sycylję. Ona sama, znużona ponurem towarzystwem i zatroskaną pieczą nad staruszkami, na własne życzenie pozostała tutaj. Spełnienie tego życzenia kosztowało coprawda wiele walk. Ojciec nie chciał się żadną miarą zgodzić, aby wolna i zupełnie bez opieki spędzała tutaj czas. I dopiero cichej sztuce matki, pewnym bolesnym napomknieniom o zmienionych stosunkach i obyczajach, o powszechnej emancypacji i o rychłym ślubie Franciny udało się skłonić ojca do zrezygnowania ze swego zakazu. Subtelna rezygnacja, tak, to był żywioł ojca! Ale jakże słuszna była tym razem jego przestarzała obawa!

Francina oczekiwała wiadomości z Palermo. Otworzyła telegram. Datowany był z Neapolu, a rodzice donosili jej, że już jutro przed południem zabiorą ją w podróż powrotną do domu.

Francina omal nie krzyknęła. W depeszy tej ujrzała ostatni dar nieba. Czuła cieleśnie, jak ukochani ze wszystkich stron wyruszali jej z odsieczą,

niby oblężonej. Czuła zbliżanie się pomocy z sekundy na sekundę. Łaska boża była zupełna. Jedną noc jeszcze tylko musiała przetrwać w tym przeklętym pokoju, jedną noc jeszcze tylko przespać w tem przeklętem łóżku! Z całem swojem brzemieniem spadła zpowrotem w rzeczywistość. Przed rzeźwym, porannym obrazem odjazdu ustąpiła ostatnia resztka brudnoszarych więzów snu.

„Natychmiast pakować kufry!“

I wbiegła na dziesiątą kondygnację schodów.

Odetchnęła głęboko, stanąwszy nagórze. Ale za wiele spodziewała się po swojem sercu. A i oczy jej nie mogły teraz zatrzymać linij i barw przedmiotów. Wszystko gmatwało się. Musiała stanąć na chwilę, wypocząć, zanim ruszy do swego pokoju, przez ostatni mały kawałek drogi po korytarzu, wydający się jej teraz tak dalekim i uciążliwym.

Olbrzymi żyrandol wisiał teraz na wysokości jej oczu, matowo połyskujący, lekko pobrzękujący stwór bajeczny, który od pierwszego dnia dziecięcemi fantazjami przyciągnął wzrok Franciny. Kołysał się rzeczywiście, zakreślając lekki, czarowny kąt, albo raczej, gdy spojrzeć dokładniej, zataczał małe, ledwo dostrzegalne koło.

Francina podeszła do poręczy pomostu, gdyż uczuła nagle potrzebę zbliżenia się do tego promieniejącego olbrzymiego ptaka, co z rozpostartemi skrzydłami szybował nad otchłanią.

Poręcz, dzieląca korytarz od straszliwej głębi, nie była wysoka. Francina mogła się wolnym tułowiem wychylić daleko. I spoglądała teraz — serce jej uspokoiło się znowu — bez najmniejszego zawrotu głowy wdół, widziała, jak sala napełniała się mnóstwem zniekształconych postaci ludzkich, i słyszała strojenie instrumentów.

Wczoraj o tej samej godzinie rzuciła to samo

spojrzenie w głębinę. I wówczas — wczoraj — zakradła się do jej krwi lekka pokusa:

„A gdybym się tak teraz jeszcze bardziej przechyliła do przodu i straciła równowagę . . .“

Natychmiast jednak odrzuciła od siebie stanowczo tę pokusę. Była to głębia, przepaść, pusta przestrzeń i jej siła przyciągania, wywierana na duszę, siła, którą Francina znała dobrze, — ale nie pragnienie położenia kresu swemu życiu. Z tego zdawała sobie sprawę tak jasno, że przez chwilę jeszcze przekornie stawiła czoła otchłani, zanim opuściła poręcz, . . . wczoraj . . .

A wczoraj istniał przecież powód do rozpaczy. Ale dzisiaj i teraz był wszak tylko powód do radości i dziękczynienia. Francina szukała w sobie wdzięczności, szukała uczucia wyzwolenia i szczęścia, które przez kilku jeszcze minutami tętniło w niej przy wyznaniu Filipa. Ale znalazła tylko wielką próżnię, która szumiała jej w uszach jak bezbożna woda. Coraz ohydniej wzrastało brzmienie tej próżni w jej uszach. Ale nie pozbawiało ono przytomności, nie, podniecało złą przenikliwość. Myśli szemrały:

„Wczoraj posiadałam coś. Trwogi, konflikty, decyzje! Byłam bogata. Wybawienie uczyniło mię pustą. Mam wrażenie, jakbym doznała wielkiej straty. Szczęście szczerzy zęby. A czem byłam, tem jednak już nie będę . . .“

Francina wiedziała dobrze, jak niebezpiecznem było snuć dalej te myśli próżni. Miała nadzieję, że otworzą się jakieś drzwi, jakiś gość wyjdzie z pokoju, jakaś pokojówka, jakiś służący przejdzie teraz. Kurczowo nadsłuchiwała kroków. Kroki same wystarczyłyby, aby ją oderwać od poręczy i łagodnie poprowadzić do jej pokoju.

Ale nic się nie poruszało.

Zaś w głębi promieniejącego szybu zabrzmiała

muzyka jazzbandu. Jęki saksofonów, zdławione sapanie instrumentów dętych, stłumione jak przez dywan stukanie brząkadeł łączyły się tu nagórze w swojem echu niby przeraźliwa menażerja. Zaś wokół kołyszącego się żyrandola brzęczały podstępne szepty niewidzialnych owadów. A nadole rozpoczęła się oszołamiająca flegma tańca.

Francina zadrżała. Zdawało się jej teraz, że wśród małpio wspinających się dźwięków poznaje ów ckliwy boston, który był niczem innem, jak melodją próżni, która nią władła, która władła wszystkiem. Raz jeszcze uczyniła słabą próbę oderwania się od poręczy, ale już każdy palec przykuty był własnemi łaskoczącemi łańcuchami. I tylko droga naprzód była wolna. Wówczas poddała się.

Ale natychmiast wyrosła z bezbożnej flegmy, z próżni, śmiertelna pycha. I pycha ta uważała powietrze za żywioł gęsty jak woda, a otchłań za zdolną do unoszenia ciała. W dwa tempa pływackie powinnoby się dosięgnąć złotego żyrandola...

Dlaczego żaden gość nie wychodził z pokoju? Dlaczego nikt nie przechodził? Dlaczego w długich korytarzach hotelu nie ulitował się jeden choćby krok ludzkim odgłosem?

Wielki parowiec linji Hamburg—Ameryka z grobowem wołaniem syren przebijał się przez mgłę.

Pociąg opuścił Rzym i jak szalony pędził sapiąc przez noc.

Ale nic już nie mogło uratować Franciny.

DOM ŻAŁOBY

I

Byłaby to noc jak wszystkie inne, gdyby dwa niespodziane wydarzenia nie zakłóciły jej przebiegu.

Cztery z pośród pięciu stolików Wielkiego Salonu zajęte były już o dziesiątej, ale i Salon Niebieski, gdzie bywały zwierzchnie osobistości władz, wyższa arystokracja oraz znakomitości świata finansowego i przemysłowego, cieszył się tego dnia o wczesnej już porze znakomitą frekwencją. Ten pokój niebieski posiadał przymus szampana, otwierał swoje podwoje tylko przed dobranem towarzystwem od określonego szczebla rangi i podatków wzwyż i wyposażony był w gobeliny oraz wyrafinowany kompleks zwierciadeł, który, jak głosiła fama, służyć miał do wspólnego oddawania się wytworniejszym występkom. Coprawda goście Wielkiego Salonu znali pokój niebieski przeważnie tylko ze słyszenia, gdyż nawet na sali ogólnej spożycie butelki kwaśnego wina połączone było z pokaźnym kosztem. Ponieważ jednak wyszynk napojów nie stanowił istotnego przeznaczenia domu, podawano bliższym przyjaciołom w Wielkim Salonie wedle ilości ich głów odpowiednie porcje kawy lub wódki.

Niechaj to jednak nie oznacza ujmy dla wielkiego Salonu. W swym kapiącym od złota renesansie, z korowanemi zwierciadłami, czerwonemi kotarami aksamitnemi i gładką jak lód, mozaikowaną posadzką taneczną, był on zupełnie feudalny. Mamy

tu przecież do czynienia z zakładem, który spokojnie odrzucić może określenie, jakie nadaje mu nieartykułowana i nędzna skarbnica mowy.* A już przynajmniej należałoby przed tą nazwę dodać c.-k., cesarsko-królewski, gdyż pluszowe meble, złote floresy, zwierciadła, aksamitne kotary, sztychy na ścianach, przedstawiające nietylko swawolnie-przykładne sceny miłosne, ale także wyścigi końskie, renesansowy przepych pysznego, wówczas już dawno przebrzmiałego dziesiątka lat, portret cesarza w kuchni, — z całego tego kurzącego się łatwo i już zlekka parszywiejącego blasku patrzało na widza zmieszane spojrzenie starej podwójnej monarchji.

W mieście naszem aż do późnych czasów wojennych istniały trzy instytucje, które zachowały w czystości ten wysoce oficjalny charakter. Były to cukierna Stutziga, szkoła tańca, którą pan Pirnik założył w pięknym pałacu barokowym w pobliżu słynnego mostu, dystyngowany lokal, w którym lepsza młodzież mieszczańska mogła się, obok walca, „Sir Rogera", polki, tyrolanki uczyć także klasycznego kadryla... i właśnie ten dom, w którym się obecnie znajdujemy..

Zdaje mi się, że zniknął on ostatni.

---

* Aluzja do trywjalnej niemieckiej nazwy domu publicznego: „Puff". P. tł.

II

Damy, o ile nie miały intymniejszej służby, były na swoich stanowiskach. Kołyszącym się krokiem przemierzały salon, obracały się przed lustrem z samotnym zachwytem w minie, z uprzejmym chłodem wypraszały sobie papierosy i z pobłażliwą bezinteresownością siadały na chwilę przy stolikach. Zdawały się przeniknięte uczuciem szczególnej godności, godności, która udzielała się każdej pensjonarjuszce tego słynnego zdawna i wytwornego domu. Zostać tutaj przyjętą, znaczyło to wkroczyć w wyższe sfery życiowe. Godność ta przejawiała się w wieloraki sposób. W przeciwieństwie do innych podobnych lokali niewiele tylko dam ubierało się tu kuso, większość nosiła fantastyczne negliże, powiewne szaty poranne, zaś Valeska, najokazalsza ze wszystkich, nawet prawidłową suknię balową, która na reducie aktorów lub prawników zdobyłaby doskonałą ocenę w gazecie. Mimo stojącego na zawadzie ubioru zdarzało się niezbyt często, że się obnażało nogi, aby wydobyć z pończochy papierośnicę lub puderniczkę.

Tylko Ludmiła chodziła w sukni wyżej kolan, a przy swej wątłej figurze dziecięcej nie mogłaby się wcale inaczej ubierać. Godnem uwagi było, że brakło jej zupełnie niepokoju zewnętrznego, owego obojętnego niepokoju, który należał do zawodowych właściwości dam, wyganiał je stale z miejsca, gdzie siedziały lub stały i zmuszał do bezcelowego biegania po pokoju niby nerwowe zwierzęta w klatce. Natomiast Ludmiła siedziała spokojnie

przy stole wojskowych z prawej strony i z głęboką powagą przysłuchiwała się wywodom podporucznika Kohouta, jakgdyby nie chciała przepuścić żadnej okazji nauczenia się czegoś. Nikt po niej niczego nie mógł poznać.

Podporucznik Kohout z 23 pułku artylerji polowej przybył tu w towarzystwie dwóch jednorocznych ochotników z tej samej formacji. Panowała między nimi owa fałszywa, niepewna poufałość przełożonych i podwładnych, którzy zapomniawszy o szarżach, siedzą przy jednym stole. Manewry były za pasem, a wraz z niemi groźny upiór egzaminu na oficerów rezerwy.

Podporucznik, utkwiwszy wodniste oczy nieruchomo w Ludmile, pocieszał dwóch ochotników, którzy nie bez lęku spoglądali w przyszłość:

— Widzicie, trzeba wam wiedzieć — mówił, szukając spojrzenia uznania dziewczyny, — że i mnie nie było łatwo przy egzaminie na podchorążego, a przecież wy macie za sobą szkoły i jesteście ludźmi wykształconymi. Pan pułkownik von Wurmser spogląda na mnie bystro: Kadet-aspirant oficerski Kohout! Co pan wie o Juljuszu Cezarze? — Ja zrywam się na baczność i wołam: Panie pułkowniku, melduję posłusznie: Nic!... Drugie pytanie: Kadet-aspirant oficerski Kohout! Co pan wie o Karolu Wielkim? — Ja mocniej jeszcze zrywam się na baczność i wołam głośniej: Panie pułkowniku, melduję posłusznie: Nic!... Pan pułkownik von Wurmser czeka chwilę, a potem pyta: Kadet-aspirant oficerski Kohout! Co pan wie o cesarzu Józefie? — Ale teraz to już ślicznie pana pułkownika wpakowałem. Stuknąłem obcasami, aż jęknęło: Panie pułkowniku, zapytuję posłusznie, o k t ó r y m cesarzu Józefie; bo jest ich mianowicie dwóch!?... Pan pułkownik von Wurmser powiada: Patrzcież, patrzcież! Ale ja zdałem. Widzicie więc,

że trzeba się zachować po wojskowemu, nie po cywilnemu, i to już wszystko!

Ludmiła spojrzała na podporucznika z zainteresowaniem i zrozumieniem. Nie śmiała się. Dziecięce jej czoło pozostało surowe i poważne pod ciężkiemi blond włosami, które jej Bóg dał. Widocznie zgadzała się zupełnie z dziarską konkluzją anegdoty: po wojskowemu, nie po cywilnemu! Zawsze i we wszystkiem energiczniejszy porządek świata cieszył się jej sympatją.

Gdy jeden z ochotników począł pod stołem głaskać jej łydkę, pozwoliła na to i tylko odrobinę odsunęła się wbok. Mądra dziewczyna wiedziała, że różnica stopnia wojskowego, wzajemne skrępowanie nierównych szarżą nałoży hamulec ewentualnym uroszczeniom i pożądaniom. A tego właśnie dzisiaj potrzebowała.

Tutaj czuła się w każdym razie lepiej, niż czułaby się przy sąsiednim stoliku, gdzie Ilonka, „to tłuste ścierwo węgierskie“, „narzucała się“ dwum starym. I co też to byli za ludzie! Jeden z nich przybył napewno ze wsi, z okolicy, której ona, Ludmiła, nie widząc jej, nienawidziła. Olbrzymi łańcuszek od zegarka chybotał się na jego brzuchu, i nie wiedziao się, czy brzuch był dla łańcuszka, czy łańcuszek dla brzucha. Znała to już. W jej przeklętem gnieździe rodzinnem człowiek także wówczas dopiero osiągał poważanie, gdy sobie utuczył brzuch do właściwego położenia łańcuszka od zegarka. To był baalbos!

Ten ponuro brzmiący wyraz „baalbos“ wprowadziła Żydówka Jenny, mityczna poprzedniczka dam dzisiejszych, mieszkająca obecnie w Wiedniu jako właścicielka wielkiej kawiarni na Franz-Josefsquai. Jenny była legendarnym wzorem wszelkiej dzielności i karjery. Nie mijał ani dzień, aby nie podawano jej opromienionej osoby za wzór. Co do

wyrażenia „baalbos“, to oznaczało ono tutaj bogatego mężczyznę z prowincji, który przez ciąg jednej nocy szczegółowo i gruntownie absolwuje w stolicy swoje życie miłosne, ale zresztą nie płaci ani halerza ponad taksę.

I do tego baalbosa czuliła się ta świnia Ilonka. Dla tej za dziesięć guldenów każdy był dobry. Ale Ludmiła życzyła jej, aby nawet ci dwaj wujaszkowie — (wstydzićby się powinien taki tłusty ojciec rodziny chodzić do burdelu!) — aby jeden ani drugi nie polecieli na nią.

Baalbos ani zerknął na Ilonkę, natomiast wypatrywał sobie oczy za Ludmiłą, ale Ludmiła nie odpowiadała mu nawet pogardą. Dla niej tacy klienci nie istnieli. Niech sobie nie wiedzieć jak natęża głos, żeby jej zaimponować swojemi nadętemi poglądami. I rzeczywiście wzgardzony tak silnie podnosił głos, że słychać go było wszędzie w Wielkim Salonie:

— Organizacja, panie Kraus, organizacja, — wołał głos, podczas gdy przynależne do niego oczy nie patrzały na pana Krausa, lecz zabiegały o uznanie Ludmiły:

— Gdy spojrzy pan w niebo, panie Kraus, cóż pan tam widzi? Organizację! A kiedy pan obserwuje małe mrowisko? To samo! Brat niemiecki w Rzeszy dawno do tego doszedł: Organizacja w życiu gospodarczem i polityce... Ale my... w Austrji...

Baalbos westchnął, zasępiony smutnym stanem ojczyzny i podrażniony porażką swoich zalotnych spojrzeń.

Pan Kraus, zupełnie przekonany, potwierdził na to westchnienie:

— Tak! Właśnie to samo czytałem dzisiaj w kurjerku.

Ludmiła szukała celu do odwrócenia wzroku. Oto był stolik młodzieży, otaczany przez dziewczęta dobroduszną pogardą, gdyż młodzież rzadko bywała zasobna i używała Wielkiego Salonu przedewszystkiem jako pobudzającego nastrój lokalu tanecznego i dyskusyjnego. Mania i Anita, dwie pokraki, oczywiście już tam siedziały i śmiały się ze swoimi przyjaciółmi, którzy właśnie nadeszli. Ale Oskar nie przyszedł, jak nie przyszedł wczoraj; po raz pierwszy nie przyszedł! Ludmiła raczejby wyskoczyła oknem, niż podeszła do stolika zapytać o Oskara. Nie odpowiedziała nawet na ukłon młodzieńców.

Mania roześmiała się teraz głośno. Niech się śmieje, jest i będzie zawsze córką grabarza z Rokycanów o wielkich, brudnych nogach, które w zeszłym roku jeszcze pewnie boso biegały za gęsiami po wsi. Grabarz? To następuje zaraz po kacie i oprawcy...

Wolała więc Ludmiła patrzeć na bardzo mądrych w przeciwległym kącie, na Żydów, którzy nigdy nie pijali wina ani wódki, a tylko zawsze kawę. Tam panowała warjatka Greta z Berlina. Ludmiła skinęła teraz Grecie przyjaźnie głową, a łaskawość ta wywołała niemałe zdumienie wśród dam. Gdyż takiej uprzejmości szorstka Ludmiła nigdy nie okazywała. A przytem Greta była przedmiotem powszechnej niechęci z powodu swego „wykształcenia". Ale Ludmiła spostrzegła, jak Greta objęła i pocałowała swego doktora Schleissnera. I uczuła wówczas coś w rodzaju radosnej zazdrości i chciała przesłać koleżance znak porozumiewawczy. O Schleissnera oczywiście nie była zazdrosna. Jak można kochać człowieka, który nieustannie mówi i mówi, któremu siedzi na gębie taki olbrzymi nochal i który ciągle kręci w palcach czarne, szczeciniaste włosy... Co ten człowiek robi, kiedy nie

mówi? Czy potrafi wogóle milczeć, spać, kochać... O czułości t a k i nie ma pojęcia.

Ale też pokój Grety był obwieszony portretami pisarzy. A jej album z wierszami i podpisami, który nieznośna dziewczyna ciągle podsuwała innym damom pod nos! Warjatka!

Ludmiła zawstydziła się teraz swojej uprzejmości, gdyż Greta, zachwycona jakimś aforyzmem Schleissnera, zapiszczała głośno:

— Że też coś takiego musi umrzeć! Że też taka głowa będzie musiała gnić pod ziemią!

Wybawieniem było dla Ludmiły, że w tej chwili weszła panna Edyta, gospodyni; przyniosła ona dwum starym świeżą butelkę wina, a na stole mądrych postawiła tackę z małą maszynką kawy na cztery osoby.

Widok promieniującej gorąco siły panny Judyty zawsze zdolny był podnieść Ludmiłę na duchu.

W każdej działalności ludzkiej istnieje naturalna hierarchja i starszeństwo. Czemby dla podporucznika Kohouta był naprzykład stopień dowódcy pułku, tem było dla dam tego domu, a przynajmniej dla przyzwoitych, stanowisko gospodyni. A co najosobliwsze w tym wypadku, że Edyta była ładna, niestara, poniżej trzydziestki, a jej muskularne i bujne kształty znajdowały się w pełni rozkwitu. A jednak była wolna od służby. Żądania nie istniały dla niej, mogła iść za głosem serca. Ona sama prowadziła księgi handlowe, konta pensjonarjuszek, kwalifikowała ich wartość roboczą i miała ponadto kontraktowo zapewnione dwa miejsca abonamentowe w Nowym Teatrze Niemieckim.

Podczas gdy dziewczęta tylko co dwa tygodnie prowadzone były dla wspólnej rozrywki na niedzielne przedstawienia popołudniowe, Edyta dwa razy tygodniowo siedziała na parterze, i damy za-

zdrośnie zabiegały o zaszczyt, by być przez nią zabrane na drugie miejsce.

Przy takiej zresztą sposobności — dawano „Kobieciarza“ — ujrzała Ludmiła po raz pierwszy Oskara. Nikt nie może twierdzić, że chudy początkujący aktor o zapadłych policzkach w roli oficera pruskiego prezentował się wówczas okazale. Ale ona w jasnowidzeniu swem zakochała się w niepozornym młodziku.

Teraz wstała od stolika protestujących artylerzystów i podeszła do panny Edyty. Gospodyni czule otoczyła ramieniem jej biodra:

— Ten łajdak znowu nie przyszedł?

Ludmiła opanowała płacz pieprznem przekleństwem, które natychmiast ukłuło ją w serce. Edyta pocieszała ją:

— Głuptasku! Przyzwyczaisz się już do tego. Czem jest mężczyzna? Jeżeli jest bardzo cacany, stukoronówką w spodniach! A taka jak ty?! Nie będziesz mu przecież poświęcała frajerów! Wstydź się!

— Ale co mam robić, Edyto, jeżeli któryś będzie chciał ze mną pójść...

Edyta była gotowa na wszystko. Ze względu na Ludmiłę zdecydowała się jako „dyżurna“ patrzeć przez palce:

— Wiesz co, Milciu, — szepnęła, — pomogę ci! Idź nagórę i zamknij się!

Ale Ludmiła tupnęła nogą:

— Jezus Marja! Nie mogę. Nie wytrzymam przecież nagórze...

Edyta uspokoiła ją, ale już z rozproszoną uwagą:

— Znam to wszystko, przeszłam to wszystko, kochanie... Czy mi to zaszkodziło? Spójrz na mnie i pluj na to!

W tej chwili gospodyni przerwała rozmowę. Nadchodziło coraz więcej gości i Wielki Salon był

pełen. Także z Niebieskiego Salonu dochodził brzęk naczyń i śmiechy. Ale coś było nie w porządku. Panna Edyta oburzyła się, a jej głęboki głos był groźny:

— Gdzież jest Nejedli?

Ale pan Nejedli zjawił się w tej samej chwili i witał już zebranych panów:

— Proszę wszystkich obecnych o wybaczenie. Ale byłem zaangażowany na bal dzieci. Trwało to bardzo długo. Dotychczas!...

Surowy wzrok gospodyni nie dawał się oszukać. Ręka Nejedlego gorliwie i ze świadomością winy zniżała się do ziemi:

— Takie maleńkie dzieciątka, powiadam pani, panno Edyto, same serdeczne dzieciny...

I staruszek popędził już do fortepianu, i aby nastrój stał się odważniejszy, począł bębnić „Marsz gladjatorów“ Fucika.

III

Pan Nejedli, pianista, posiadał cztery cechy charakterystyczne. Po pierwsze nosił na głowie „kocurka"; tak się mianowicie nazywa lekka peruka, która w tym wypadku znajdowała się w jawnym kontraście barw z obramowaniem włosów jej właściciela. Kocurek był kasztanowaty, zaś obramienie włosów śnieżnobiałe. — Ale ostatecznie któż może wymagać od pianisty, zatrudnionego w lokalu nocnym, aby do każdego stadjum siwizny sprawiał sobie odpowiednią perukę?

Druga cecha budziła już poważniejsze skrupuły. Polega ona na skomplikowanej aurze zapachów, otaczającej pana Nejedlego i składającej się z woni tłustej pomady, anyżówki i starości.

Trzecią cechą były nader zmienne opisy nieszczęśliwych wypadków, których ofiarą padała córka Nejedlego Róża. Tragizm tych nieszczęśliwych wypadków wzmagał się wraz ze spożyciem alkoholu. Nigdy nie żyła na świecie istota bardziej godna ubolewania, niż owa Róża, o której przebiegli znawcy dusz twierdzili, że kwitła rzeczywiście i nie była tylko stworem bajecznym i płodem pijaństwa...

Ale czy i czem była w istocie — w ustach ojca dzisiaj zginęła nędznie na gruźlicę, wczoraj rzuciła się z okna, kiedy indziej trzeba było dopiero katastrofy kolejowej, żeby się z nią uporać. A za każdym razem łzy szczerego i głębokiego przejęcia spływały po policzkach opowiadającego.

Najważniejszą jednak cechą charakterystyczną Nejedlego był fakt, że jako ośmioletni chłopiec był na eks-dworze cesarza Ferdynanda Dobrotliwego w Hradczynie, „c.-k. tytularnem cudownem dzieckiem“, jak sam określał tę niezwykłą rangę. Z uwagi na tak świetną przeszłość często i chętnie podrwiwano sobie z niego.

I teraz doktór Schleissner, który lubił grać tutaj rolę wtajemniczonego i przewodnika obcych, podszedł do fortepianu i przedstawił wysokiego posępnie-poważnego mężczyznę:

— Czy mogę panów zapoznać? Nasz wielki wirtuoz Nejedli! Pan prezes Morè...

— Bez nazwisk, jeśli mogę prosić!

Ponury pan szepnął to z bolesnem drgnięciem twarzy, jakby mu ciężko nastąpiono na nogę.

Schleissner poprawił się:

— Niech pan zapomni nazwika, Nejedli! Ale niech pan nie zapomina, że stoi przed panem pan prezes Towarzystwa Spinozy i mistrz zakonu „Synów Związku“.

— Wielki to dla mnie zaszczyt, panie prezesie! Znam już pana prezesa najuniżeniej. Miałem honor widzieć pana prezesa wczoraj na pogrzebie pana radcy cesarskiego Habrda . . .

Morè przerwał powitanie. Nie lubił, aby mu przypominano pogrzeby, pozostające w związku z jego zawodem zarobkowym, który chętnie ukrywał. Aby to krótko powiedzieć, pan prezes Towarzystwa Spinozy figurował w rejestrach świata handlowego jako „agent pomników“. Pośredniczył między nieutulonymi w żalu, przedsiębiorstwem pogrzebowem i wieczną pamięcią zmarłych. Nietrudno się więc teraz domyślić, że mnogość zaszczytnych stanowisk z jednej strony, a zawodowe obcowanie ze śmiercią z drugiej miały na sumieniu

wstrzemięźliwą powagę i kapłańsko długi surdut prezesa.

W tem miejscu zdawał się być po raz pierwszy. Wolno podniósł do ust nierozłożoną chusteczkę. Tym niewystarczającym ale symbolicznym ruchem chciał zapewne zaznaczyć, że taki człowiek jak on dobrze uczyni, jeżeli w podobnem otoczeniu będzie nieco ukrywał swoje powszechnie znane w mieście rysy.

Ale doktór Schleissner chciał prezesowi coś zaprezentować i zwrócił się do pianisty:

— Jakże to było z cesarzem Ferdynandem Dobrotliwym, Nejedli, i z pańskiemi koncertami?

Stary skulił się lękliwie nad klawiszami:

— Zdaje mi się, moi panowie, że chciecie mnie naciągnąć na zdradę stanu i obrazę majestatu. Na sali siedzą sami balmechomes . . .

Morè rzucił posępne spojrzenie.

Nejedli pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Balmechome, do usług pana prezesa, nazywają panowie Izraelici wszystkich szeregowych i oficerów w czynnej służbie wojskowej.

Schleissner uspokoił go:

— Po pierwsze nikt pana nie może słyszeć, a po drugie nikt przecież nie wie, kim był cesarz Ferdynand.

Nejedli wyjaśnił gorliwie:

— Ależ to przecie nieboszczyk stryj naszego cesarza. Zdetronizowali go anno 48 w Ołomuńcu. Pamiętam go jeszcze jak dzisiaj. Rezydował nagórze w zamku i codziennie wyjeżdżał na wspaniałym koniku — oczywiście lipizańskim siwku — na spacer do Stromorki albo parku Kanałowego.

Niski głos oratorski prezesa Morè zapytał:

— I rzeczywiście był dobrotliwy?

Przy tych słowach uroczysta twarz przybrała zachwycony wyraz dynastycznie czującego męża,

którego myśli ze wzruszeniem zbliżały się do najdostojniejszej osoby.

Nejedli tajemniczo wywrócił oczy:

— Dobrotliwy nie był, ale zwarjowany był.

Schleissner zachęcił go:

— Dawał pan przecież jako cudowne dziecko koncerty na zamku. Jakże to było?

Kościste palce Nejedlego rozpędziły się w perlistym pasażu:

— Niech mi pan wierzy łaskawie, panie doktorze, że byłem bardzo poszukiwanem cudownem dzieckiem. Koncertowałem w sali hiszpańskiej. Obecna była cała P. T. arystokracja dworska, dwór i towarzystwo. Więc tutaj siedział Jego Wysokość pan hrabia Kolowrat, a tam Jej Dostojność księżna Lobkowitz. Widzę ją przed sobą, jakby to było dzisiaj. Piękność, słowo honoru! A potem Jego Ekscelencja pan namiestnik Czech i pan komendant korpusu hrabia... hrabia... do licha... jakże on się nazywał?...

Doktór Schleissner nalegał ciekawie.

Palce Nejedlego zaperliły pasaż zpowrotem:

— Wówczas, moi panowie, miałem pamięć i paluszki, powiadam wam najuniżeniej. Cały program zagrałem z pamięci: „Dzwony wieczorne“, „Mon souvenir“, „Uwertura do Wilhelma Tella“ i „Arrangement z opery Żydówka“. Tak, tak, dzisiaj niewiele już potrafię grać z pamięci, a z nut już zupełnie nic z powodu lichych oczu. Wypłakałem sobie oczy. Pan doktór wie przecież, od czasu tego nieszczęścia z Różą...

Doktór Schleissner szybko i ostrożnie skierował znowu opowiadającego na właściwy temat. Nejedli opowiadał dalej, a palce jego rąbały tymczasem jakiś utwór:

— Więc, moi panowie, grałem wtedy rzeczywiście dobrze. Dwór i towarzystwo oklaskują i żą-

dają da capo. Damy wzruszone przyglądają mi się przez lornetki. Także Jego Cesarska Mość zbliża się do mnie z oklaskiem: Brawo, brawo, woła przytem, a ja mały smyk chcę szurgnąć nogami i pocałować go w rękę. A on zaczyna rzeczywiście głaskać mię bardzo łaskawie. Ale jak żywy tu stoję, nagle dostaje rwania w ręce i wycina mię w pysk...

Oczy prezesa drgnęły posępnie. Ale Nejedli ciągnął z łagodną wyrozumiałością:

— Nie chcę powiedzieć nic przeciwko Jego Cesarskiej Mości. Cesarz przecież temu nie winien. Czułem wyraźnie, jak się bronił przed tem uderzeniem, które mu siedziało w ręku. Policzkowanie było już jego osobliwością. Adjutant jego, pan generał artylerji hrabia Kinsky, przy wyjazdach zawsze trzymał go za ręce, gdyż nic nie można było wiedzieć. Jadą przez Kamienny Most. Stoi tam złoty Pan Bóg, którego musiał ufundować pewien Żyd, ponieważ nie zdjął kapelusza przed Najświętszym Sakramentem. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć nic przeciwko panom Izraelitom. „Puść mnie, ekscelencjo“, powiada Jego Cesarska Mość do adjutanta. Ale ten jeszcze mocniej trzyma ręce cesarza. Jego Cesarska Mość prosi piękniej: „Puść mnie, ekscelencjo, muszę się przecież przeżegnać!“ Wtedy generał w myśl przepisów regulaminu ćwiczebnego nie ma innej rady, jak puścić najjaśniejsze ręce. I już oberwał po buzi!

Doktór Schleissner był zachwycony tą historją. Natomiast przyjaciel jego, agent pomników i prezes Morè, wydawał się mniej zbudowany. Pod maską niewinnej anegdoty kryło się wywrotowe usposobienie i czeskosłowacka zdrada stanu wobec domu cesarskiego, któremu on był wiernie oddany.

Nejedli odpędził teraz Anitę i Manię od fortepianu.

— Idźcie precz, dziewczęta! Zaraz wam coś zagram do tańca.

Potem zwrócił się do Schleissnera:

— Czy pan zna, panie doktorze, ten hymn ludowy, który za czasów nieboszczyka cesarza Ferdynanda grywano w Wiedniu?

I zaśpiewał bardzo cicho, akompanjując sobie tylko w basie:

— W pięknym Schönbrunnie
Powiada,
Mamy maszkarę
Powiada,
Gębę ma niby
Powiada,
Kleszysko stare
Powiada,
Cukru żreć nie chce
Powiada,
Wina nie chce pić
Powiada,
Co też to może
Powiada,
Za maszkara być?

Pianista spojrzał prezesowi Morè w oczy, smutne potrząsając głową:

— Bezczelny naród, ci wiedeńczycy! Wogóle wierność dla cesarza istnieje najuniżeniej — tylko u nas.

— Co pan tam śpiewa? Proszę głośniej! — krzyknął na Nejedlego podporucznik Kohout.

Ale grajek odpowiedział służbowo:

— Panie podporuczniku, melduję posłusznie, stary szlagier, który pana podporucznika nie zainteresuje.

Podporucznik potwierdził:

— Ja lubię tylko najnowsze szlagiery. Więc, Nejedli, zagraj pan coś eleganckiego!

Nejedli począł podagrycznemi palcami młócić na klawjaturze walca, który miał już co najmniej dziesięć lat. Damy tańczyły, przeważnie ze sobą. Tylko Greta wyuzdanie trzymała w ramionach doktora Schleissnera, którego o wiele przerastała.

Ludmiła stała w drzwiach, odwrócona do wszystkich tyłem.

IV

Nagle dziewczęta znikły z Wielkiego Salonu. Pannę Edytę można było nazwać mistrzynią w takich niepostrzeżonych przegrupowaniach wojsk.

Nadeszli widocznie wybitni goście, których prowadzono zazwyczaj do bardziej jeszcze odseparowanego pokoju, niż był Salon Niebieski. Ten gabinet, którego istnienia nie zdradziliśmy dotąd, zwany był Separatką Japońską i leżał o dwoje drzwi naprawo do głównego wejścia w sieni.

Dbano o to, aby ta sień domu była godna i nietylko nie ochładzała życzeń gościa, ale przeciwnie, potęgowała je. Gdy tylko odźwierna otworzyła wchodzącemu, biła mu naprzeciw przegrzana fala gorąca i charakterystyczny zapach, którego miał przez całe życie nie zapomnieć. Była to woń gorącej wody do kąpieli, do której dodano perfum, woń piany mydlanej, wazeliny, kremu, szminki, potu, alkoholu i mocno zaprawnych potraw...

Niepodobna było długo ukrywać, że wysoko postawione osoby odwiedziły Separatkę Japońską. Pan doktór Schleissner obdarzony był bystrym słuchem, któremu nie uszedł nietylko turkot dorożek na wąskiej uliczce, ale też pewny siebie brzęk ostróg nadole w sieni. A przytem zniknięcie dziewcząt mówiło wszystko. Schleissner kombinował niezawodnie:

„Książęce Mości od Dragonów Brandyskich!"

Moré zrobił nieprzeniknioną minę. Wyglądał, jakby nie potrzebował nawet kombinować, gdyż oddawna znał nazwiska owych osobistości, które

teraz przybyły; ale niedyskrecja nie leżała w jego charakterze.

W owych czasach nie było jeszcze tych olbrzymich pałaców tanecznych, które dzisiaj opanowały noce wielkich miast. Ilość „Tabarinów“, „Maximów“ i „Alhambr“ była bardzo ograniczona. Stąd zapewne pochodziło, że odwiedzanie tego domu na ulicy Gams nie było rzeczą hańbiącą. Oficerowie mogli się tu spokojnie zjawiać w pełnym uniformie, funkcjonarjusze publiczni, pokazując się tutaj, nie potrzebowali się obawiać nagany, dostojni goście nie stanowili rzadkości. Umysły historyczne wyjaśniały tę swobodę tem, że w roku wojny 1866 generalicja pruska odbyła w Niebieskim Salonie kilka obchodów zwycięstw, nadawszy przez to całemu domowi szczególnych święceń.

Damy rychło powróciły do salonu. Tylko Anitę, Valeskę i Polkę Jadwigę spotkało to szczęście, że wytworni przybysze zaszczycili je swojem zaufaniem. Greta klęła:

— Niewychowane draby!

Rzuciła się znowu w chętne ramiona swego doktora Schleissnera. Najdziwniejsze było jednak, że wróciła Ludmiła, korona, dziecięca piękność domu. Żadna z koleżanek nie zauważyła chyba, że Edyta, która z własnego doświadczenia potrafiła się wczuć w jej romans, ukryła ją w intymnem miejscu i nie pokazała panom.

Ludmiła przeszła swemu kłująco-zdecydowanemi krokami przez salę, zamierzając widocznie usiąść znowu przy mało niebezpiecznym stoliku artylerzystów, gdy baalbos, ów tubalny gość z brzuchem, łańcuszkiem i organizacją, powstając ciężko, podszedł do niej i wykonał niezręczny okłon taneczny leciwego małomieszczanina:

— Moja panienko, czy mogę zapytać o szacowne zdrowie?

Kiedy to mówił, na czoło jego wystąpił pot chuci, panowania nad sobą i kwaskawe zafrasowanie nieczystego sumienia. Ludmiła zmierzyła go od stóp do głowy, jak wierna małżonka daje odprawę mężczyźnie, która zaczepia ją na ulicy, zrobiła „bah“ i usiadła na dawnem miejscu. Spostponowany pozostał ciężki i samotny na lśniącej posadzce. Potem zawrócił na wielkich stopach, które wstydziły się swego trzeszczenia, ale w znieruchomiałych jego oczach wyczytać było można nietylko stropienie.

Nikt nie spostrzegł tej sceny, gdyż od drzwi zaskrzeczał wysoki i powłóczysty głos:

— A bądźcie mi zdrowe, dzieci, wszystkie jak jeden mąż!

Właściciel tego powłóczystego głosu i daleko bardziej jeszcze powłóczystego ciała powitany został oklaskami i ożywionemi okrzykami. Był to nikt inny, jak pan i szef tego domu, Maks Stein, osobistość dziwaczna i lubiana, zwana przez wszystkich bywalców lokalu „Maksiem“.

Twierdzi się naogół, że „dekadencja“ jest oznaką późnych potomków zniewieściałych rodów i pokoleń arystokratycznych. Maksio pochodził wprawdzie ze starej rodziny, ale pokoleniem arystokratycznem trudno ją było nazwać. Jeżeli jednak idzie o „dekadencję“, to nie ustępował pod tym względem epigonom najbardziej książęcych ras.

Chociaż dom na ulicy Gams nie był zamkiem rycerskim, to jednak posiadał prastarą historję, co więcej, własny świat legendarny.

Czyż nie nazywała się i dzisiaj jeszcze pewna uliczka Nowego Miasta „nienakazaną ulicą“? Karol Czwarty, budowniczy miast w wielkim stylu, ochrzcił ją w ten sposób, gdyż w jego planie miasta nie była ona przewidziana i wyznaczona. Ale na-

kaz budowy lupanaru wydał podobno najdostojniej osobiście i własnoręcznie zaznaczył miejsce w planie. Najwyższej chwały godna jest roztropność polityczna tego wielkiego władcy, który aby położyć tamę rozpoczynającemu się kacerstwu i nowemu ruchowi purytańskiemu, umieścił nierządnice i lokale nocne w najczarowniejszej dzielnicy Małej Strony, którą za miastem Wenery nazwał „Wenecją". Ale prawdziwego ogniska wzrastającej herezji szukać należało nigdzie indziej, jak w nowozałożonym uniwersytecie, który — pierwszy na ziemiach świętego cesarstwa rzymsko-niemieckiego — promieniował daleko. Nie będzie wnioskiem nieprzystojnym, jeżeli przyjmiemy, że pobożny majestat cesarza umyślił Wielki Salon w najbliższem sąsiedztwie uniwersytetu nie dla innego celu, jak tylko, aby doprowadzić wyniosłych i ascetycznych kacerzy do upadku, a tem samem do nawrócenia. Wszakże jak ustalić mogła komisja budowlana, podziemne korytarze prowadziły z ulicy Gams do gmachu karolińskiego. Hulali tu już studenci w kaftanach i kirysach. A nawet Wallenstein podczas swego pobytu z dworem w stolicy często — można wierzyć źródłom — zjawiał się w Wielkim Salonie dla przelotnej rozkoszy.

Stare przedsiębiorstwa posiadają tę samą tajemniczą wartość, co stare wina i stare skrzypce. Choćby konkurencja nadawała swoim firmom najpiękniejsze tytuły, nic jej to nie pomagało, że się nazwała „Napoleonem"; gościła u niej tylko hołota i motłoch.

Od dawnych już czasów dom ten, dziedzictwo to znajdowało się w posiadaniu i pod zarządem rodziny Steinów. Babka, z domu Busch, znana w mieście filantropka, wniosła zakład jako posąg do małżeństwa; ale już pradziad Maksia, na mocy przywileju wyższej policji, piastował godność publicz-

nego gospodarza. Teraz Maksio mógł istotnie uchodzić za „ostatniego".

Rodzice jego zmarli. Brat, pan Adolf, gospodarzył tu jeszcze przed kilku laty. Ale był to suchy, nieznośny patron, który gdy w Wielkim Salonie bawiono się wesoło ale bez rezultatów, oświadczał kwaśno:

— Nie róbcie komedji i idźcie do pokojów!

Tak trzeźwy ton nie mógł się utrzymać w tych romantycznych salach. Na szczęście Adolf musiał z niezmiernie pilnych powodów wywędrować do Ameryki. A teraz Maksio nie miał nikogo prócz Edyty. Ale Edyta była silną kobietą, wspaniale trzymała wszystko w ręku, a jeśli idzie o uczciwość, mogła uchodzić za klejnot.

Maksio obojętnie przyjął aplauz, jakim go powitano. Jego dziecięco-zestarzała twarz, której wieku nikt nie potrafiłby określić, była zupełnie żółta. Na cebulastym, tępym nosie siedziały krzywe binokle, a bezwolna warga dolna zwisała jak szmata nad podbródkiem. Człowiek ten był tak słaby i tak wyniszczony, że ktoś obcy nie mógłby zrozumieć, dlaczego witano go tak wielką wesołością, a tak małem współczuciem. Bo gdy godnemi litości, uginającemi się w kolanach krokami zbliżał się do fortepianu, aby zasiąść na swojem ulubionem miejscu, ławeczce obok Nejedlego, ze wszystkich stron rozlegały się złośliwe żądania:

— Maksio, opowiedz nam nowy kawał!

Maksio bronił się:

— Dajcie mi spokój! Dzisiaj nic nie opowiadam. Jestem taki zmęczony. Jestem taki zmęczony, że aż mi się spać chce...

Toby była próżność artysty. Nie pozwolono na to. Maksio zwrócił się do swego przyjaciela, pianisty:

— Nejedli, niech mi dzisiaj nie dokuczają. Jestem rzeczywiście zmęczony. Niedobrze spałem...

Ale i u Nejedlego nie znalazł poparcia. Zaczął więc swoim chorym i leniwym głosem:

— Dwóch Żydów idzie przez ulicę. Wtem nadchodzi zgrabna kobietka. Jeden powiada, chciałbym ją mieć jeszcze raz. A drugi...

Maksio przerwał swoją anegdotę i z wysiłkiem spojrzał wgórę. Potem zakończył:

— Pointy zapomniałem.

I beknął wśród powszechnego śmiechu:

— Dobre?! Co—o—o?

Ale nie dano mu spokoju. Gdyż podjudzony przez doktora Schleissnera wstał teraz posępny prezes Morè i kiwającym się godnie krokiem podszedł do fortepianu:

— Mam zaszczyt, mój panie! Czy nie byłby pan łaskaw zaprodukować nam jakiejś piosenki?

Maksio z przerażeniem wpatrywał się w czarne zjawisko:

— Wygląda pan, panie prezesie, jak Melech ha mowes, Anioł śmierci!

Anioł śmierci nie dał się zbić z tropu. Maksio, który szczycił się ambitną duszą artysty, wykręcał się:

— Wiesz przecież, Nejedli, że nie jestem przy głosie. Zupełnie jestem niedysponowany...

Prezes rzekł zachęcająco:

— Nie potrzebuje pan przecież śpiewać „Wdzięczna Aido“!

Pan domu stawał się coraz słabszy:

— Więc co mam śpiewać?

Zabrzmiały naprzemian nazwy przebojów owego czasu: „Do Manzanaru“, „Dessous“, „Zygmunt“, „Płakaćby się chciało jak maleńkie dziecię“.

Maksio wybrał właśnie ów kuplet, którego potoczysta muzyka wymagała silnego organu głosu

i namiętnej produkcji. Dał znak Nejedlemu, chrząkał przez kilka minut, potem z pofałdowanej szyjki, naprężającej się całą siłą, wydobył się cichy i piskliwy głos. W głosie tym brzmiała prastara niedyspozycja, znużona aż do płaczliwej obojętności. I ta płaczliwa obojętność śpiewała, zachłystując się co chwila:

— Włosy jej złotą falą wezbrane,
Oko jej pełne słodkiego czaru,
Pójdź ze mną, dziewczę, pójdź, ukochane
Do Manzanaru, do Manza...

W tej chwili wielka głowa na cienkiej szyi poczęła się nagle chwiać, a binokle z brzękiem spadły z cebulastego nosa na podłogę. Ku powszechnej radości Maksio wczołgał się wściekły pod fortepian i ukazał dopiero po długiem szukaniu, żałośnie zmordowany. Żółta jego twarz zlana była potem. Złorzeczył:

— Ale teraz mam już dość! Że wam się tak podoba, ja mam harować? To już wolę zrobić kiepski interes. Edyto, kolejkę konjaku! A ty, Nejedli, graj...

Nejedli wstał i oznajmił:

— Zaprodukuję państwu wspaniałą arję ze wspaniałej opery „Żydówka".

Ludmiła, która zawsze gotowa była słuchać „smutnej muzyki", podeszła do fortepianu.

Maksio, zadowolony z tej klientki, wybełkotał:

— Siadaj mi na kolanach, Milciu!

Ale Ludmiła odpowiedziała solidnem pytaniem:

— Poco, proszę pana?

Wówczas znawca z tkliwością obejrzał ją od stóp do głowy i wypowiedział proroczą opinję:

— Do ciebie, szykso, też będzie kiedyś trzeba mówić jaśnie pani!

Ale oto Nejedli począł grzmocić, śpiewając jednocześnie:

— Boże mój, uslysz mię,
Uslysz mię, Boże mój,
Moje dziecię mi wróć,
Moją Rechę mi wróć!

— Różę, Różę, — poprawili wtajemniczeni. Zaś Nejedli zerknął zjadliwie nad okularami i po zabronionych manowcach przemodulował do Barkaroli Offenbacha:

— O nocy słodka, nocy miłosna,
O, ukój moje pożądanie!

Maksio począł się niepokoić, wiercić na swojem siedzeniu, zatykać uszy, wreszcie zawołał:

— Dość, Nejedli! Nie mogę tego wytrzymać. Musiałbym płakać jak maleńkie dziecię.

Kolejka konjaku, powtarzana jeszcze wielokrotnie przez innych także fundatorów, wywarła skutek. Salę ogarnął tępy zapał i rytmiczne zbałamucenie takich godzin. Większość dam pozbyła się przyzwoitych okryć i tańczyła w koszulach. Wrzawa rosła, podsycana znakomicie przez spór literacki, który wybuchnął nagle. Do stolika bardzo mądrych, przy którym siedzieli Greta, Schleissner i Morè, zbliżyła się nowa osoba, koncypient Namiestnictwa i poeta Edward von Peppler. Udziałem tego nieszczęśnika stało się ciężkie przeznaczenie łączenia obowiązków dziewiątej kategorji urzędniczej z osławionemi obowiązkami satanicznego poety. Najwłaściwiej byłoby nazwać go przydzielonym do c.-k. Prezydjam Namiestnictwa Baudelaire'm.

Krew pana von Pepplera wskutek obecności młodszego pisarza przy stoliku młodzieży doszła

do temperatury wrzenia. Ambitny młodzik miał już bowiem do odnotowania kilka sukcesów. Peppler wołał, że j e g o pokolenie z mocą szukało życia, a znajdowało syfilis, zaś nowa tchórzliwa młodzież szuka życia bez mocy, a znajduje wydawców. Krwistoczerwony odparował ironiczny śmiech młodej generacji:

— Jesteście filistrami! Jesteście warzywnymi lirykami! Jesteście rozbitkami przy ognisku domowem! Tfu, gospodarski wikt!

Oszalały poeta chwycił z lewej i prawej kieliszki Morè'go i Schleissnera i wychylił oba.

Ale teraz i doktór Schleissner nie chciał pozostać wtyle. Zerwał się więc i oznajmił, że musiały nadejść inne czasy, że ludzkość w przeważnej części składa się z „ciemiężycieli“ i że na uciemiężeniu, na kiepskiem trawieniu seksualnem polega zło świata. Jeden tylko istnieje cel, wyzwolenie erotyczne!

Aby niejako zapoczątkować to wyzwolenie, jął, nia bacząc na przerażone spojrzenia prezesa, nucić ową piosenkę, którą nazwał „Hymnem Związku“, a która niestety była raczej gorsząca niż dowcipna:

— Póki tyłek do portek pasuje,
Póty żaden z nas nie pracuje...

Trzeba nadmienić, że twierdzenie to w ustach śpiewającego było kłamstwem i czystą fanfaronadą. Gdyż współwłaściciel znanej w całem mieście kancelarji adwokackiej, doktór Juljusz Schleissner, był pracownikiem pilnym i punktualnym, żywiącym prócz swoich ambicyj prawniczych także polityczne i artystyczne. W ciągu bieżącego roku wygłosił nawet w salach wystawowych Klubu Niezależnych Artystek cykl odczytów pod zachęcającym tytułem: „Immoralizm francuski od Stendhala do André

Gide'a". Po prelekcjach w tych samych salach odbywał się stale kurs tanga, zaś wieszcz immoralizmu z uroczystą powagą brał udział w tęsknych skrętach tego tańca.

Natomiast prezes Morè nie był zwolennikiem ani tanga, ani immoralizmu francuskiego, ani już najmniej zwolennikiem sprośnych facecyj. Był on zatwardziałym miłośnikiem Goethego. Jedno z jego ulubionych zajęć polegało na wyławianiu z najrozmaitszych wydań Fausta I i II błędów drukarskich, usterek stylu, uchybień wiersza i sprzeczności myślowych. — Ale teraz, urażony bezwstydną pieśnią Schleissnera, w zmieszaniu pochylił głowę.

Gdy tak wszyscy zataczali się i hałasowali, pan Maksio siedział cichy i potulny obok Nejedlego, którego sztywne w stawach palce nieprzytomnie i bez zmiłowania rąbały tańce. Podczas tej pracy pianista słuchał zdławionych słów swego chlebodawcy:

— Ty, Nejedli! Musisz wiedzieć, że ja sypiam bardzo szybko...

Nejedli skinął głową, że zrozumiał.

Ale mina Maksia zdradzała lekki ból człowieka, który nie potrafi dość wyraźnie wypowiedzieć czegoś szczególnie subtelnego:

— Musisz to dobrze zrozumieć, Nejedli. Można spać wolno, można spać zwyczajnie, można spać szybko i można spać bardzo szybko. Czy wiesz, mój kochany, ile można przespać w ciągu jednego kwadransa...

Nejedli chrząknął na znak zgody, ale wyraz jego zrozumienia nie był przekonywujący. Wtem po postaci Maksia przemknął jakiś dreszcz, jakiś gorączkowy dygot, jak ledwo dostrzegalny ruch

przemyka po ciemnem zwierciadle wody. Oczy jego były nieruchome:

— Nie uwierzysz mi, Nejedli. Ale jakem żyw, przespałem pierw w ciągu jednej godziny dziesięć lat, i dlatego jestem taki zmęczony...

W tej chwili baalbos w trzeszczącym bucikach opuścił salę. Nastrój ciągle jeszcze potęgował się hałaśliwie. W minutę później panna Edyta weszła do salonu i poczęła gorliwie pertraktować z Ludmiłą.

V

W przeciwieństwie do wulgarnych lokali jak „Napoleon“, należało do dobrych zwyczajów domu, że porozumienia miłosne nie następowały bezwstydnie przed oczyma wszystkich. Panowie dla pozoru żegnali się ze swojem towarzystwem, niepostrzeżenie oznajmiali Edycie o wyborze damy, a gospodyni nieznacznie zapośredniczała idyllę miłosną, przyczem od gości wątpliwych lub nieznajomych żądała zawczasu ustalonej sumy pieniężnej. Trzeba jednak natychmiast powiedzieć, że to ostatnie zdarzało się niezmiernie rzadko, gdyż bywało tutaj przecież wyłącznie pierwszorzędne towarzystwo. Obcy prawie nigdy się nie zjawiali, a przedewszystkiem panna Edyta była znawczynią ludzi i mogła polegać na swojem pewnem spojrzeniu. Równie rzadko — i ten fakt pozostaje w jaskrawem przeciwieństwie do niższej klasy „Napoleona“ — równie rzadko zdarzały się skandale. Oczywiście wśród pensjonarjuszek panowały nieprzyjaźni, rozterki, nienawiści, ale niepisane prawo żądało, aby przynajmniej w ciągu nocnych godzin urzędowania zachowywano pokój i przyjaźń.

Tem bardziej więc niesłychanem było to, co się teraz przytrafiło.

Za otwartemi drzwiami Wielkiego Salonu rozlegała się nagle ohydna wrzawa. Tubalny głos pijacki ociężałego małomieszczanina grzmiał, stając się coraz głośniejszym, coraz nieodpowiedniejszym dla starego i wątłego już domu. Początkowo wymagalny

jego dźwięk brzmiał samotnie; ale dobrych manier panienek nie można było zbyt długo wystawiać na próbę, gdyż po chwili piskliwe głosy kobiece przyłączyły się klnącego basu.

Kto widział żądne sensacji zbiegowisko, powstające na ulicy, gdy stary, śmiertelnie znużony koń pada na ziemię, ten sobie przedstawi, z jak pożądliwą ciekawością zbiegło się wszystko tutaj. w takiem miejscu, o takiej godzinie, aby się rozkoszować bezwstydnym skandalem. Nawet goście z Niebieskiego Salonu wytykali przez portierę rozradowanie-złośliwe twarze.

Szło o to:

Ziemianin z olbrzymim łańcuszkiem od zegarka wedle zwyczaju zamówił u panny Edyty usługi Ludmiły. Daremnie szukała Edyta najlepszych wymówek, przytaczała najpiękniejsze powody, aby uchronić młodą przyjaciółkę od niepożądanego, ba, nienawistnego epizodu. W duchu przeklinała gospodyni niewierność Oskara. Nieszczęśliwa miłość sprowadzała damy na bezdroża, była powodem wszelkiej niesubordynacji i zaniedbania obowiązków. Ale cały jej spryt nie zdał się na nic. Baalbos był nietylko szczwany, ale w najwyższym stopniu uparty i złośliwy. Powodowała nim przekora obrażonego. Edyta nie widziała już wyjścia i musiała sprowadzić Ludmiłę. Ale Ludmiła z najzimniejszą obojętnością oświadczyła baalbosowi prosto z mostu, że ani jej się śni spełniać jego życzenia. Wówczas wybuchnął skandal.

Szalejący małomieszczanin cofnął się aż do pomostu schodów i prawą ręką trzymał się pozłacanej Wenery, umieszczonej tam jako symbol domu. (O pół piętra niżej stał, niemniej pozłacany, Trębacz z Säkkingen, ale nie stanowił on symbolu.) Dziewczęta kłóciły się głośno, goście śmiali się,

a głos wzgardzonego nieustannie, nie dając się ułagodzić perswazjami Edyty, wzywał właściciela.

Nareszcie przywlókł się w towarzystwie Nejedlego pan Maksio; i trzeba powiedzieć, że mimo śmiertelnej bladości, osłabienia fizycznego i skołowacenia języka zachował się nietylko przytomnie, ale jako rycerski opiekun swoich dam.

Baalbos krzyknął do niego:

— Panie właścaelu! W jakim to ja się domu znajduję?

Maksio wybełkotał:

— Edyto, zejdź nadół i przynieś tabliczkę z numerem domu!

Szalejący nie dał się tem wprowadzić w błąd:

— Jeżeli idę do piekarni i chcę kupić bułkę . . .

Słabe stękanie Maksia przerwało mu:

— Idź pan do piekarni i kup sobie bułkę!

— Jak pan to rozumie?

— Jak mam rozumieć?

Baalbos zmusił teraz swój szczekający bas do łagodnego spokoju rozsądnej dialektyki:

— Panie właścicielu! Przypuśćmy, że klient wchodzi do sklepu, gdzie nie chcą mu sprzedać towaru, znajdującego się na składzie . . .

Maksio spojrzał melancholijnie na kłótnika i powtórzył z westchnieniem:

— Na składzie . . .

Cierpliwość wyczerpała się. Teraz wybuchnął ryk:

— Panie Boże w niebie, dłużej nie dam z siebie robić dudka! Tak się nie traktuje przyzwoitej klienteli. Czy pan myśli, że niema innych renomowanych domów? Bywają lepsze domy. Ciotka Pohl w Usti też jest niczego. Tam jest jeszcze organizacja. Po raz ostatni zwracam panu uwagę: Pociąg mój odchodzi o godzinie 7 minut 35 rano. Mam zamiar

spędzić resztę nocy w tym domu i to z dziewczyną, którą wybieram i za którą płacę!

Na ten krzyk Maksio spokorniał zupełnie:

— Pardon . . . panie . . . panie . . . radco leśny . . . chętnie pana obsłużymy! Czy pan jest człowiekiem? Naturalnie jest pan człowiekiem. A czy Ludmiła jest człowiekiem? Jest człowiekiem! Pardon . . . panie . . . panie . . . inspektorze drogowy . . . człowiek powinien przecież zrozumieć, że człowiek nie chce z nim pójść . . .

Wielki śmiech. Triumfująco zwrócił się Maksio do śmiejących się:

— Dobrze!? Co—o—o!?

Ludmiła stała przez cały czas obojętnie, jakby jej ta cała sprawa nie obchodziła. Ale teraz nastrój począł się zmieniać. Dziewczęta podniecały się coraz bardziej: Ta dumna za wiele już sobie pozwalała. Edyta rozglądała się lękliwie i zastanawiała się, jak zapobiec grożącej burzy. Partje poczęły się dzielić, nienawiści i zazdrości niepodobna było dłużej opanować, wszyscy stracili panowanie nad sobą.

Nagle Ilonka, gruba Węgierka, stanęła szeroko przed Ludmiłą:

— Powiedzno, poco ty właściwie jesteś kurwą?

Greta przerwała jej ekstatycznie:

— Daj jej spokój! Czyż i my nie mamy praw człowieczych?

— Praw człowieczych, — odpowiedział jakiś głos.

Ilonka stawała się coraz zajadlejsza:

— Gdyby tak każda robiła!? Ładnyby to był interes! Coraz lepiej! Gości sobie dobierać! Dla mnie to też niezawsze jest przyjemne!

Ludmiła rzekła spokojnie:

— Dla ciebie to jest zawsze przyjemne.

Greta, ogarnięta przesadnemi ideami, ku przerażeniu Edyty pogorszyła jeszcze sytuację:

— Nie wstydzicie się?! Ludmiła ma rację. Musimy sobie zdobyć wolność . . .

To napuszone zdanie bardziej jeszcze niż krnąbrność Ludmiły rozgoryczyło damy. Nienawidziły w berlince najwynioślejszej pychy ze wszystkich, pychy wykształcenia.

Ilonka zawołała:

— Na ciebieśmy czekały, warjatko!

Greta skrzywiła się z afektacją:

— Nie jestem winna, że się uczyłam czytać. Nie każdy może się wychować w chlewie.

I wówczas stało się nieszczęście. Gdyż Ilonka rzuciła się na Gretę i małą, tłustą pięścią walnęła wysoką dziewczynę w twarz. Bitwa rozpętała się natychmiast. Już kilka zapaśniczek zataczało się po podłodze. Jedwabne koszule pękały w wielu miejscach i elastyczne ciało niedykretnej kobiecości przeświecało przez otwory. Mania, niezdarna dziewczyna z Rokycanów, bez namysłu zerwała koszulę z ciała, zanim z radosnym okrzykiem rzuciła się między walczące. Nawet w gniewie pozostawała gospodarna. Potem dopiero poczęła tłuc jak furja na wszystkie strony, nie zastanawiając się, kogo uderza. Zemsta córki grabarza odnosiła się do całej bandy.

Kilku brutalnych rozpustników bez sumień podniecało ogień walki, aby móc się sycić jej widokiem. Zaś sprawca nieszczęścia, baalbos, sapiąc starał się zbliżyć do Ludmiły, aby ją siłą zmusić do posłuszeństwa. Ale zręcznej dziewczynie udało się umknąć niepostrzeżenie.

Bezpłatne widowisko, które rozgrywało się na pomoście schodów między Wielkim a Niebieskim Salonem, niezmiernie podniecało panów. Doktór Schleissner rżał z zachwytu. Urzędnik Na-

miestnictwa i satanista Peppler miał w szeroko rozwartych oczach zachwyt końca świata i podżegał zderanżowane zapaśniczki do nowych czynów. Jedynie podporucznik Kohout i prezes Morè opuścili pole bitwy. Podporucznik przypomniał sobie przepis, nakazujący oficerom, aby jak najpieczołowiciej chronili swoją osobę przed niehonorowemi zajściami, zaś pan Morè także musiał strzec honoru zawodowego. Obaj panowie powrócili w milczeniu do fortepianu.

Natomiast Nejedli był jednym z niewielu, którzy czynili wysiłki, aby rozerwać wgryzające się w siebie wzajemnie kobiety. Sapał z wysiłku, „kocurek" przechylił mu się, a zeszyty krawat wisiał zboku.

Edyta patrzała na walkę z rozpoczą, Maksio jak przygwożdżony. Coś podobnego nigdy się tutaj nie przydarzyło. Dotychczas damy mimo wszelkich wypadków i sporów zawsze uświadamiały sobie godność pierwszorzędnego zakładu.

Kto wie, jaki byłby koniec tej zawieruchy, gdyby w tej samej minucie grom potężnego wydarzenia nie uderzył i w ten dom.

Nagle, jakby wyrósłszy z pod ziemi, zjawił się goniec, ordynans szóstego pułku dragonów. Zazwyczaj gdy z jakiegokolwiek powodu zjawiał się tutaj wysłaniec władz państwowych, jakiś pan z dozoru sanitarnego lub urzędnik policji, potrafił on dyskretnie ukryć swoją obecność. Ale ten żołnierz, jasnowłosy czeski chłopak wiejski, podszedł śmiało i prosto do dzikiej sceny. Stał pośrodku tego tańca czarownic, wnosząc do przepoconej, zakopconej atmosfery wir rumianolicego, świeżego powietrza. Naprawdę frontowo wyglądał ten żołnierz w mundurze służbowym, w hełmie, z ładownicami, pałaszem i wielkiemi ostrogami . . .

W jednej chwili bójka ustała. Damy szybko doprowadziły się do porządku, jakby się nic nie stało.

Głęboka cisza zapanowała nagle. Każdy czuł zbliżające się przeznaczenie. Nawet w wiotką postać Maksia wstąpiło żwawsze życie. Osobiście poprowadził gońca tam, dokąd chciał on być poprowadzony.

W dwie minuty później zadźwięczały nadole w sieni szybkie kroki kawaleryjskie, a brama domu zatrzasnęła się. Wolno, w odrętwieniu i bez tchu wspinał się Maksio po schodach. Płaczliwie wygłaszał jakieś niezrozumiałe skargi.

Stopniowo dopiero wydobyto od niego straszliwą wiadomość: Następca tronu został zamordowany w Sarajewie.

Nigdy jeszcze poważany dom na ulicy Gams nie opróżnił się tak szybko, jak o tej nocnej godzinie. Okazało się, że polot dionizyjski, lekkomyślna opiłość Wielkiego Salonu była w przeważnej części kłamana, tak szybko przywdziali panowie zpowrotem swoją skórę. Pan doktór Schleissner, dowcipny korsarz nocny, zmienił się w poważnego człowieka, który z zastroskaniem — był oficerem rezerwy — spoglądał w przyszłość. Pan prezes Morè zrzucił z siebie lekką niedbałość, która w ciągu ostatnich godzin tolerował jak pyłek na swojem ubraniu. Mruknął z wyrzutem:

— Wszystko to, kiedy się wychodzi wieczorem.

Jak to rozumiał, w jakim gorzkim stosunku widział katastrofę z lekkomyślnie spędzonym wieczorem, nie zostało wyjaśnione.

Baalbos nie był już winien swojej dumie upierać się przy usługach Ludmiły.

Podporucznik Kohout i dwaj ochotnicy zrobili stanowcze miny, jakby zadaniem ich było przewodniczyć radzie wojennej.

Pan von Peppler romantycznie owinął się w płaszcz deszczowy i gorliwie wieszcząc przyszłe wydarzenia, zawarł pokój z młodą generacją.

Wszyscy tłoczyli się ze schodów. Chciano wstąpić do redakcyj, aby się dowiedzieć prawdziwego przebiegu tragedji. Za główną gromadą gości przemykało się, szukając cienia, kilka zmieszanych postaci, które miały do stracenia bądź wrażliwszą reputację, bądź szczególne szczęście małżeńskie.

W opuszczonym salonie siedział szef domu sam obok Nejedlego. Skulił się zupełnie na ławeczce obok fortepianu. Zapomniał widocznie znowu o straszliwem wydarzeniu, gdyż wybełkotał:

— Czy mam iść spać, Nejedli?

Pianista ziewnął:

— Niech pan spokojnie idzie spać, panie Maksio, dzisiaj już nikt nie przyjdzie.

Przerażone spojrzenie padło na starego:

— Ale ja śpię tak szybko, Nejedli, przedtem przespałem dziesięć lat . . . Boję się snu, Nejedli . . .

Nejedli nie odpowiedział już, gdyż zajęty był zlewaniem wszystkich resztek konjaku do kieliszka od wina, który wychylał ze zmysłową rozwagą. Ale gdy już nie miał nic do picia i ujrzał szefa, siedzącego z przymkniętemi oczyma, zgarnął z talerza pieniądze, rzucane za muzykę, i jącząc wyszedł na palcach.

Nie słyszał już wybełkotanego za nim trwożnego pytania:

— Czy mam iść spać . . . Nejedli . . .?

Wielki Salon wyglądał jak pobojowisko. Potłuczone kieliszki pokrywały podłogę, powywracane krzesła zagradzały drogę, wszędzie unosiły się opary rozlanego wina, kawy, wódki. Brudna chmura stała w powietrzu. Maksio mrugał w to spustoszenie. Zaczerpnął głęboko oddechu, jakby chciał zawołać Edytę i rozkazać jej, aby zaprowadzono znowu porządek. Bezsilne zmarszczki gniewu przecięły nagle jego czoło. Ale łapał tylko powietrze, a żaden dźwięk nie wydarł się z jego ob-

wisłych warg. Wreszcie wstał i chwiejnym krokiem opuścił pokój. Długo jeszcze słychać było jego macający i szurgający krok, zanim znikł nagórze na mansardzie.

Gdy wrzawa ostatnich gości przebrzmiała na wąskiej uliczce, Ludmiła nie mogła się dłużej powstrzymać i — co damom surowo było zabronione — otworzyła drzwi w noc.

Przed nią stał Oskar.

Chętnie byłaby sobie zpowrotem wtłoczyła w gardło ten spazmatyczny krzyk, który się z niej teraz wydarł, ale nie miała już nad nim mocy.

VI

Teraz siedziała Ludmiła obok Oskara w kuchni, gdzie stoły były nakryte.

Kuchnia stanowiła prawdziwe sanktuarjum tego domu i była ona rzeczywiście wspaniałą komnatą z kaflową kotliną i czterema obitemi ceratą stołami. Kto miał prawo wejść tutaj, ten nie grał już roli gościa, obcego, frajera, ten pod każdym względem wolny był od taksy, ten należał do rodziny, ten dzielił tajemnice szeroko rozgałęzionego stanu.

Tymczasem nadszedł brzask czwartej godziny lata i pora wielkiego posiłku. Co do ważności przewyższała godzinę czwartą rano tylko godzina szósta wieczorem, gdy damy poczynały się przygotowywać do interesu, a Figaro pędził z karbówką od jednej do drugiej. Ale milej było rano, gdy gorącą zupą spłókiwało się wszystkie opary alkoholu i nikotyny, radując się na myśl o śnie.

Przed każdem miejscem stały na stole dwa talerze, jeden na drugim, serwetka spoczywała w kółku i — czego nie bywało w najelegantszych lokalach — srebrne nakrycie połyskiwało obok talerzy. To srebrna nakrycie obowiązywało. Kto choćby przez krótki czas jadał niem, był na wieki uszlachcony. Trudno mu już było spaść na poziom jakiegoś „Napoleona". Znacznie częściej droga wiodła wgórę.

Ludmiła przebaczyła Oskarowi. Przebaczyła?... co za wspaniałe słowo! A cóż miała zrobić, cóż mogła zrobić innego? Może dąsać się, dokuczać mu,

zepsuć sobie tę krótką chwilę, jaką mógł być u niej?! Kiedy Oskar wychodził za bramę i po dziesięciu krokach stawał na ulicy Żelaznej, ona była dla niego niczem, nędzniejsza niż najnędzniejsza, nie mogła mu grozić jak każda inna kobieta, nie mogła obdarowywać go, straszyć go, w dobrem ani złem nie miała mocy. Czyż kiedy miała wychodne, nie musiał odmawiać — i z zupełną słusznością — spędzenia z nią popołudnia? Uznawała to w zupełności. Czyż mogła się pokazać u jego boku, nie kompromitując dążącego do karjery artysty? Nie chciała być z nim wcale razem tam, na ulicy, w obcych pokojach. To było powodem, dla którego ostatnio stale odstępowała innym dziewczętom swoje wychodne.

Tutaj tylko, tu, w tym domu, w tej kuchni mógł ją znaleźć. Ale ona jego nigdzie znaleźć nie mogła. Czyż niedość wiele już było, że przyszedł? Któż go wogóle zmuszał żeby przyszedł? (Kiedy się ożeni, już go żona zmusi!) Nie znała nawet jego adresu, aby móc napisać do niego list. Nie, nigdy go nie prosiła o adres! Ale taka świnia, taki mężczyzna, nawet tego nie zauważy.

A teraz był! Musiała być wdzięczna, nic tylko wdzięczna. Podniecała ją gorąca radość, że nie uległa przez dwa dni, że przez dwa dni, tutaj, w tym domu, opierając się wszystkim wrogom, potrafiła dowieść sobie swojej siły i swojej woli. Przemilczała o tej walce, gdyż Oskar i dla jej dzielności nie okazałby szczególnego zainteresowania.

Ale teraz siedział obok niej, teraz było jej wszystko jedno i czuła się szczęśliwa, że może nakarmić głodnego, oddać mu swoją zupę. Podczas gdy Oskar, nie podnosząc wzroku, chlipał i łykał, Ludmiła szybko jak łupieżca zbierała rysy ukocha-

nego i zgarniała je w siebie, aby jej wiele z niego pozostało...

Tymczasem i inne damy zjawiły się do jedzenia. Dzika awantura, bijatyka nie pozostawiła ani śladu. Kilka małych sińców i zadrapań nie warte były, aby o nich mówić. Co dziwna, wybuch ten jakby usunął wszystkie poprzednie zawiści, a wstyd z powodu wstrętnego wydarzenia zbliżył nawet najzacieklejsze nieprzyjaciółki. Panowało uprzedzające koleżeństwo, serdeczność, nieco przesadzona i czyhająca. Nawet Mania, mrukliwa zawsze, dowodziła przeciągłemi tonami słowiańskiej piosenki ludowej, że zdecydowana jest teraz na wesołe pojednanie.

Dziewczęta zdjęły luźne stroje wieczorne i nosiły brudne szlafroki, suknie nocne, nawet na nogach zamiast srebrnych lub złotych pantofelków tanecznych wydeptane kapcie i trzewiki. Włosy miały potargane, a pończochy zwisały nienaprężone na nogach.

Leniwe brząkanie łyżek i mlaskanie rozlegało się dokoła. Oskar, który obok Ludmiły brał udział w posiłku dam, wyjaśniał jej cicho powody swojej długiej nieobecności. Dyrekcja teatru zaproponowała mu, aby w ostatniej chwili objął rolę kolegi, który zachorował. Była to dobra rola, klasyczna rola, którą tutaj grał ostatnio Kainz, a przedewszystkiem pierwsza w i e l k a rola Oskara. Nie wolno mu się więc było wahać z poświęceniem dwóch ostatnich nocy na naukę.

Ludmiła, zazwyczaj nieufna, patrzała na niego zachwyconemi oczyma. J e m u wierzyła namiętnie. Powody jego były przecież tak przekonywujące. Słowo w słowo powtórzyła usprawiedliwienie Oskara głośno, aby nie musieć się wstydzić przed koleżankami swojej miłości.

Greta zapytała o tytuł dramatu i nie omieszkała przytem pochwalić się:

— Ojciec mój zabierał mię na wszystkie przedstawienia do teatru. Czy pan zna Christiansa, panie Oskarze?

Oskar zmieszał się na chwilę, zanim odpowiedział. Ludmiła nie pytała go o nazwę jego roli. Zająknął się i wymienił jakiś dramat, którego w tym czasie wcale nie grano. Szybko spojrzał na Ludmiłę. Ale ona była wcieleniem wiary. Nie poznałaby po nim nawet daleko niezręczniejszego kłamstwa.

Wówczas stało się, że Oskar uczuł się porwany miłością tej dziewczyny i jej promiennym teraz wdziękiem i wbrew swemu gnuśnemu nawyknieniu, które kazało mu pozwalać się kochać, sam począł wynajdować czułości i podszeptywać nadsłuchującej Ludmile piękne rzeczy.

Ilonka musiała usłyszeć coś z tego szeptu, gdyż roześmiała się:

— Słyszycie! Utrzymywać ją chce.

A zwracając się do Ludmiły:

— Tak, utrzymywać cię będzie, utrzymywać: nadtrzymywać tyłkiem za oknem...

Ludmiła długo zastanawiała się z zamroczonem czołem i opuszczonemi powiekami, zanim nagle zapytała obcym i głębokim głosem:

— Czy wiesz, Oskarze, jaki był twój najnikczemniejszy postępek?

I sama odpowiedziała powolnemi sylabami:

— Że powróciłeś dzisiaj, to jest twój najnikczemniejszy postępek!

Ale zanim Oskar i inni mogli zrozumieć ten nowy zwrot, weszła gospodyni Edyta, a słowa jej z trudnością ukrywały przerażenie złego przeczucia:

— Dzieci, nie wiem, co się stało, ale z pokoju

pana Maksia słychać takie dziwne jęki. Nie śmialam wogóle zapukać, tak bardzo się balam...

Wszyscy spojrzeli po sobie, a przed wzrokiem każdego ukazał się żółty, nędzny obraz pana szefa. I wszyscy wiedzieli naraz, wiedzieli zawsze, że Maksio był ciężko chorym człowiekiem. Ale nigdy się nad tem nie zastanowiano, gdyż nawet najstarsza z dam nie pamiętała innego pana Maksia, pana Maksia, któryby nie był żółty, dychawiczny, śmiertelnie znużony i śmieszny. To przecież było z nim związane. Nikt też nigdy nie słyszał z jego ust skargi. A stare przysłowie chłopskie powiada; Do szkapy, która żre, nie sprowadza się konowała.

Ale teraz jasnem było, że trzeba było pozwolić wystygnąć pieczeni wieprzowej z kapustą i kluskami. Wybuch trwożnej, macierzyńskiej niemal czułości odpowiedział na wiadomość panny Edyty.

Cała gromada zerwała się, nawet Ludmiła opuściła Oskara. Po schodach, nad któremi czuwali Wenus i Trębacz z Säkkingen, ruszył korowód niechlujnie ubranych młodych kobiet, nie kołyszących się już w kolanach i w biodrach i nie uświadamiających sobie już kuszącego obrotu swych okrągłych grzbietów. Pochód ten podobny był raczej do gromady służących i zaniedbanych panienek sklepowych, wchodzących po schodach do biura pośrednictwa pracy.

Ale im wyżej wchodziła gromada, im bardziej zbliżała się do pokoiku szefa, tem bardziej głuchą i niewytłumaczoną stawała się trwoga, która nagle spowiła wszystkie grzbiety jak mokre sukno. Dziewczęta stłoczyły się drżąc, gdy Edyta daremnie zapukała do drzwi trzy, cztery, pięć razy. Wreszcie — nie słychać już było jęku — ostrożnie otworzyła drzwi, i zanim ręka jej znalazła włącznik światła, najodważniejsze wkroczyły za nią w ciemności.

Żadnej nie wolno było nigdy wejść do tego pokoju. Zabraniał tego surowy paragraf regulaminu domu.

Światło ukazało niespodziewanie przedewszystkiem olbrzymią ilość wizerunków świętych i Madonn, zdobiących ściany. Potem dopiero ukazało światło pana szefa, który połową ciała bez życia zwisał z łóżka.

Czy zemdlał, czy nie żył?

Edyta i Valeska podniosły ciało na łóżko. Inne dziewczęta biegały nieprzytomnie, znosząc ze swoich pokojów wodę kolońską, buteleczki z perfumami i bezsensownemi lekarstwami, których esencje w najrozrzutniejszych ilościach wylewały na ciemnożółte czoło i rozchylone wargi Maksia.

Greta krzyczała nieustannie, że nie może znieść tego widoku. Ilonka natomiast, podniecona i zupełnie w swoim żywiole, paplała, że w takich wypadkach jeden jest tylko środek, mianowicie utrzeć posiekanej cebuli ze śliną i posmarować tem nieprzytomnemu dziurki od nosa i powieki. Znała ten środek od swojej babki, a któż się na tych sprawach lepiej znał, jak ta babka? Edyta przypomniała sobie oprawny w ramę przepis, wiszący w kuchni: „Pierwsza pomoc w nieszczęśliwych wypadkach". Ale nie miała odwagi dotknąć raz jeszcze ciała.

Tylko Mania, córka grabarza z Rokycanów, uśmiechnęła się pogardliwie, podeszła do łóżka, stanowczemi ramionami odepchnęła inne jako niepowołane i uniosła powieki leżącego. Potem odwróciła się i rzekła z pewną siebie miną urzędową:

— Nie żyje!

Lekarz, którego Edyta kazała natychmiast zawezwać, nie mógł zrobić nic innego, jak tylko potwierdzić słowa Mani.

VII

Trudności najrozmaitszego rodzaju piętrzyły się. Po raz pierwszy, jeśli pominąć legendarne bójki na noże w zamierzchłych czasach, leżał w tym domu trup. I to nie trup, którego jako gościa dosięgła nienaturalna lub gwałtowna śmierć, lecz domownik i według orzeczenia lekarskiego zmarły śmiercią zupełnie naturalną.

Nie było ostatniej woli, czemu się nie będzie dziwił nikt, kto raz choćby widział pana Maksia. Zmarłemu brakło przecież często sił do zjedzenia obiadu, skądże więc miał wziąć energję, aby się zająć światem po swojej śmierci i jego interesami.

Udział w innych nieruchomościach rodziców przed laty już odsprzedał za miskę soczewicy bratu Adolfowi, który coprawda ze swej strony bardzo rychło musiał bogactwa te odstąpić podejrzanym wierzycielom. Panu Maksiowi nie pozostało nic innego, jak wyprowadzić się na ulicę Gams, gdzie mieszkał w małej izdebce ponad swojemi pensjonarjuszkami.

Niejasnemi były chwilowo stosunki pana i domu. Prawni spadkobiercy, dalecy krewni, zgłosili się dopiero — wiedzieli zapewne, dlaczego — na czwarty dzień po zgonie. Wszystko więc spoczywało na barkach panny Edyty. Ale barki te były niezmiernie silne.

Coprawda zainteresowanie władz policyjnych i spadkowych zwracało się zwykłe ze szczególną uwagą na takie nagle osierocone przedsiębiorstwa.

Ale stosunki, jakie Edyta posiadała nietylko na policji, ale we wszystkich urzędach komunalnych i państwowych, były potężne, zaufane i trwałe. Po pobieżnem zbadaniu sytuacji pozostawiono jej wolną rękę, a panna Edyta była dość dalekowzroczna, aby uregulować sprawy ku własnej korzyści, ku należnemu dobru personelu i pełnej pietyzmu czci dla zwłok.

Szczególnie wysoko cenić w niej należy to, że wielką kwotę, którą wczoraj jeszcze otrzymała od szefa — z leniwą szczodrobliwością zwykł on pieniądze bieżące wręczać gospodyni —, że tę niezaksięgowaną jeszcze kwotę sumiennie odłożyła nabok. Zamknęła ją nawet do koperty, na której delikatnemi literami napisała „Pan Maksio", pobożnie wymalowawszy za tem imieniem krzyżyk. Była o tyle bezinteresowna, że pieniądze te przeznaczyła na pogrzeb należnego stopnia. Ale właśnie w fakcie tego pogrzebu zawarta była największa trudność.

Więc przedewszystkiem kwestja religijna!

Pan Maksio był pochodzenia żydowskiego. Ona, Edyta, wychowała się u Urszulanek i wyznawała niejednokrotnie, że gdyby nie owo surowe wychowanie, gdyby nie szczęście żarliwej wiary w kościół, nigdyby w tak młodym wieku nie doszła do tego, aby zostać gospodynią jednego z najwytworniejszych domów w Europie. Gdy jej zwracano uwagę, że zawód, któremu służyła, nie mógł być w sensie religijnym chwalebny, opowiadała dzieje pewnej spowiedzi. Młody święty w konfesjonale zakończył następującą pociechą:

— Moje dziecko, — brzmiały jego słowa, — życie twoje jest niewątpliwie bardzo grzeszne. Ale Bóg podzielił między ludzi zalety i zawody wedle swojej woli. A i twój zawód — chociaż to tak niepojęte — zawsze tolerował. Lepiejby było, abyś sobie poszu-

kała innego zawodu. Ale jeżeli nie możesz, musisz jednak pamiętać stale, że jesteś dziecięciem kościoła. Wówczas nie popadniesz w zwątpienie. A zwracam ci uwagę, że najbrutalniejsze niegodziwości ludzkie pochodzą zawsze tylko ze zwątpienia.

Panna Edyta nie zmieniła zawodu i grzeszyła dalej, ale z fanatyzmem oddana była odtąd kościołowi.

Fanatyzm ten wyjaśnia też jej skłonność do nawracania. A któż inny byłby bliższym objektem dla jej zapału do nawracania, jak pan Maksio? I istotnie, gdy szef u boku Edyty po raz pierwszy ujrzał obrządek mszy w kościele świętego Gawła, był jak przemieniony.

Od tego czasu co niedziela chodził z Edytą na mszę poranną, co wymagało niemałego przezwyciężenia siebie, jeśli zważyć, jak długotrwałe i gwarne były właśnie interesy nocne soboty. Ale Edyta sprawiła więcej jeszcze, doprowadziła go do tego, że pojął istotę Królowej Niebios i ozdobił swój pokój wizerunkami świętych. W jednej tylko sprawie, decydującej, w sprawie chrztu stawiał opór. Codziennie powracała Edyta w rozmowie do tej konieczności, bez której niema zbawienia duszy. Ale pan Maksio odpowiadał na jej wzruszające perswazje tą samą zawsze sentencją:

— Ładneby ze mnie było dzieciątko!

Gdy Edyta przechodziła do próśb, płaczliwa obojętność jego głosu skrzeczała:

— I cóżby oni ze mną poczęli?

A gdy gorliwa gospodyni ognistemi barwami malowała wszystkie przeraźliwe skutki metafizyczne nieochrzczenia, Maksio kończył rozmowę stale tem samem wyznaniem:

— Pozwól sobie powiedzieć, Edyto! Żyd pozostanie Żydem.

Mimo to nie można przemilczeć, że pan Maksio

dawno już przed okresem Edyty, z niewyjaśnionych obecnie powodów, podpisał ów stemplowany dokument, który nazywa się „oświadczeniem bezwyznaniowości“ i który uwalnia obywatela od jego religijnych obowiązków i praktyk.

Serdecznem życzeniem Edyty byłoby, aby pan domu miał chrześcijański pogrzeb ze wszystkiemi przepisowemi obrządkami. Pobiegła więc do głównego proboszcza parafji świętego Gawła. Ale mimo swoich najlepszych chęci duchowny pan miał związane ręce i bez świadectwa chrztu nie mógł dać pogrzebu kościelnego. Zwrócił natomiast uwagę, że odprawianie mszy świętych za duszę zmarłego nie jest związane z żadnemi warunkami, i Edyta natychmiast dała na trzy takie msze żałobne. Przy pożegnaniu wielebny dał jeszcze gospodyni z uśmiechem i jowjalnie do zrozumienia, że obecność urzędującego księdza w takiem miejscu i w naszych nikczemnych czasach mogłaby wywołać tylko zgorszenie i szyderstwa wolnomyślicieli.

Chcąc niechcąc uczuła się wobec tego Edyta zmuszona udać się do izraelickiej gminy wyznaniowej, do której metryk zapisane było nazwisko zmarłego. Tam powiedziano jej, że musi nabyć dla zmarłego miejsce w oddziale mojżeszowym cmentarza olszańskiego. Natomiast o kondukcie ceremonjalnym myśleć nie można. Pan Stein był odstępca, złamał wiarę religji ojców i wogóle nie był osobistością, którąby moga służyć za ozdobę gminy wyznaniowej czy narodowej. Gdyby kondukt miał wyruszyć z domu przedpogrzebowego głównego cmentarza, to może — gdyby się łaskawie przymknęło obydwoje oczu — mogłoby to lub owo być uskutecznione. Ale nie można przecież poważnie przypuszczać, że kapłan przestąpi próg lokalu na ulicy Gams.

Gdy Edyta otrzymała już kwitek na miejsce na cmentarzu, urzędnik zapytał jeszcze, czy pan Stein

pozostawił synów, gdyż trzeba przecież powiedzieć za niego „kadisz“, modlitwę za umarłych. Otrzymał wyjaśnienie, że nad grobem tym stanie tylko kilka istot kobiecych. Wówczas stary pan z przyganą spojrzał na gospodynię z nad okularów i ironicznie pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć:

„Nawet synów nie miał! To mi zupełnie wygląda na tego pana Steina . . .“

Nie żądając od klientów spełnienia jakichkolwiek warunków, firma François Blum już wczesnem popołudniem zgłosiła osobistą ofertę najtańszego i najlepszego przeprowadzenia pogrzebu.

Każdy, kto wzrósł w opisanem tutaj mieście, pamięta z pewnością wielki szyld firmowy: „François Blum. Enpreprise des pompes funèbres“.

Co więcej, przypomni sobie wystawy w czerni i srebrze, które wymieniona firma urządziła w kilku ożywionych punktach miasta. W wystawach tych uszeregowane były, przeważnie po obu stronach luksusowej trumny — przeznaczonej na sen wieczny dla przedpotowego olbrzyma — według wielkości inne trumny, aż do ubogich trumienek dla małych dzieci. Całą tę połyskującą grozę spowijało efektownemi fałdami czarne sukno, a gałęzie palmowe, te zakurzone rekwizyty pokoju niebiańskiego, pokrywały ją.

Opatrzność ucieleśniła w firmie François Blum doskonale zaopatrzone Mementomori pędzącego śpiesznym rytmem miasta, bo gdy żądne rozkoszy oko nasyciło się już przy wystawach pełnych homarów, zwierzyny, ananasów i kawioru, albo z podziwem zatrzymało się przed kolekcją bielizny damskiej, klejnotów, kwiatów kuszących ducha szeregów książek i instrumentów muzycznych, — nagle cofało się przerażone, gdyż w czerni i srebrze, pysznią się uschłemi gałęziami palmowemi, spoglądała na nie z za szyby śmierć. Ach, nie był to

Tanatos, chłopiec ze spuszczoną pochodnią, nie kościotrup z kosą, nie, była to małomieszczańska śmierć, wielkomiejska śmierć, współczesna śmierć, śmierć bez sensu i symbolu, coś śmiesznego, skleconego ze srebrnej farby, papierowych palm, czarnego sukna, wapna i zgnilizny.

W każdym razie śmierć ta pozostała jedną z niewielu rzeczy uroczystych, jakie znało życie ludzi. Nikt sobie tego silniej nie uświadamiał, jak damy z zakładu na ulicy Gams. Musiała więc panna Edyta mimo pokaźnych kosztów dodatkowych zdecydować się na zamówienie w firmie Blum „złożenia na katafalku".

Po pierwszej nocy lęku i grozy, ze świadomością trupa w domu, w *ich* domu, dziewczęta już następnego ranka oswoiły się z tą tragiczną okolicznością.

Lokal musiał być oczywiście aż do wieczora po pogrzebie zamknięty. Już te niespodziane ferje, związane z rozmaitemi sprawunkami, wyjściami, wywracającemi zwykły rozkład godzin, radowały je jako coś nowego, pełnego odmiany. Dołączała się do tego podniecona gorliwość, aby w jak największym pośpiechu, choć skąpemi tylko środkami sporządzić konieczne szaty żałobne. Kuchnia zmieniła się w szwalnię, maszyny do szycia warczały, podłogi pokryte były resztkami materjałów, kotlina i naczynia skuliły się lękliwie. Roboty było wbród. Ponieważ damy czułyby się niesamowicie, wchodząc na wyższe piętra, całe życie wrzało na parterze.

Noc opadła z istot tego domu jak choroba. Wszystkie te dzieci ludzi wstających wcześnie, córki chłopów, robotników, drobnych kupców, woźnych, konduktorów, pielęgniarek, z prawdziwą rozkoszą zażywały tego, co im było zabronione, życia dziennego. Zdobywszy urlop przez wypadek śmierci, włóczyły się uszczęśliwione po ulicach

i w obłędnem pożądaniu ruchu jeździły bezcelowo tramwajem z jednego końca miasta na drugi.

Nawet Ludmiła mimo swego aktora dała się porwać powszechnemu zapałowi. Szyła, przerabiała, przymierzała, jak wszystkie inne. A że w wysmukłej czerni żałobnej mieszczki będzie ona najładniejsza, w to nie wątpliła w duchu nawet Ilonka.

Do złożenia na katafalku przeznaczono Wielki Salon. Chociaż nie można było oczekiwać gości, należało jednak na wszelki wypadek przygotować małą zakąskę i coś do wypicia. Do tego celu służyć miał Salon Niebieski.

Następnego dnia robotnicy w ciężkich butach tupali po wątłych schodach, a w salonie rozpoczęły się dzikie krzyki i stukanie młotów. Pokój ten nigdy nie widział światła dziennego, mrugał teraz nieswojo oczyma, jak nawpół ślepe zwierzę nocne, wypłoszone z nory. Ach, jak małem, jak niepozornem było w trzeźwem świetle to zwierzę, które o swojej porze potrafiło się tak fantastycznie rozciągać.

Duchy wszystkich tańców, pieśni, kupletów, dowcipów i sprośności, które tu kiedykolwiek rozbrzmiewały, zrywały się i pędziły wzdłuż ścian. Nic im nie pomagało. Ściany zostały czarno obite, z podłogi wolno wzniósł się katafalk, z największym pośpiechem wtoczono przez drzwi podniszczony gaj palm i wawrzynów. Edyta kazała nawet nieupoważniona ustawić w głowach katafalku wielki krzyż.

Entreprise des pompes funèbres nie przyniosła ujmy swojej sławie. Niewiadomo jednak, czy to ona umieściła w pismach ową notatkę, na którą niektórzy czytenicy zwrócili uwagę dzięki zawartemu w niej fatalnemu paradoksowi:

„Wczoraj zmarł w naszem mieście pan Maks Stein w czterdziestym ósmym roku życia. Wywie-

zienie zwłok nastąpi z d o m u ż a ł o b y na ulicy Gams Nr. 5".

Wszystko odbyło się w najlepszym porządku. Jedna tylko okoliczność niemile dawała się we znaki: Charakterystyczny zapach sieni, ów zapach gorącej wody do kąpieli, do której dodano perfum, zapach piany mydlanej, wazeliny, kremu, szminki, potu, alkoholu i mocno zaprawnych potraw, żadnemi środkami nie dał się usunąć. Damy godzinami paliły w sieni kadzidła, ale zapach stał się przez to — niepodobna tego inaczej określić — jeszcze bardziej nieprzyzwoity.

VIII

Należy to do owych nieprawdopodobieństw, które życiu wybacza się chętnie, a autorom niechętnie, że pan prezes Morè niewątpliwie najskrupulatniejszy czytelnik gazet, przeoczył ową paradoksalną notatkę. Pewnem wyjaśnieniem tego nieprawdopodobieństwa może być coprawda okoliczność, że w owych dniach wielkiego zamętu wszystkie gazety pełne były najdonioślejszych wiadomości i że w każdym wierszu wchodziły w grę wojna i pokój, los świata.

Pan Morè w głębokiem zamyśleniu opuścił swoją kawiarnię. Patrjotyczne wzburzenie szalało w jego duszy, a przed jego oczyma duchowemi falowała wojna. Wojna Morè'go była wojną bardzo zacofaną. Nie ukazywała ona „współczesnej pustki pobojowiska“, nie ukazywała betonowych okopów, eskadr lotniczych i ataków gazowych, była ona skłębionem malowidłem, pełnem wesołości i kawalerji. Wspaniałe konie pomnikowe stawały dęba ku niebu, granaty pękały czerwono, zielono, żółto i niebiesko, niby kosztowne rakiety, ranni chwytali się za serce jak śpiewacy przy wysokich tonach.

Marząc tak barwnie o katastrofie światowej, minął pan prezes rynek Owocowy i szedł przed fasadą uniwersytetu wzdłuż ulicy Żelaznej, gdy po prawej ręce na Małym Placu ujrzał oczekujący dwukonny karawan trzeciej klasy i trzy karety pogrzebowe. Zastanowił się natychmiast, kto to może być tutaj chowany — do zawodu jego należało przecież wiedzieć to — i gorliwie przebiegł myślą bardziej znane firmy i rodziny, które miały siedzibę

w tej okolicy. Sam się dziwił, że wypadek śmierci mógł ujść jego uwadze. Ale równocześnie — ponieważ wiedział, gdzie się znajduje — ogarnęła go chętka, której za dawnych lat niekiedy ustępował.

Pan doktór Schleissner mógł sobie wyobrażać, że to jemu zawdzięcza pan prezes znajomość z „temi świętemi salami“. W charakterze Morè'go nie leżało czynić z nocy dzień i obnażać się przed wszystkimi. Boże, jeden jedyny raz mogło to jeszcze ujść!

Ale znał on dom na ulicy Gams oddawna i w lepszych godzinach, niż godziny motłochu. Jako człowiek młodszy często zachodził tu potajemnie w porze popołudniowej i zawsze znajdował zaspokajającą przyjemność. Postępowanie takie wydawało mu się nietylko dyskretniejsze, ale także moralniejsze, a przedewszystkiem higjeniczniejsze, niżeli zwyczaj powszechny.

Prezes zatrzymał się. Ze wzruszeniem poczuł w tej chwili nastanie nowej epoki. Była ona podwójnej natury. Z jednej strony poważna jak karawaniarski rząd brodatych panów w cylindrach i tużurkach, z drugiej rezolutna i rześko-radośnie żołdacka. Fantazja Morè'go stawiała przed sobą istotnie żołdaków i łączyła z nimi wyobrażenia z odnośnej literatury, jak: ciury, gra w kości i dziewki obozowe.

Morè spojrzał na karawan, pomyślał o ciężkich czasach z jednej strony i o wiszącem w powietrzu rozluźnieniu obyczajów z drugiej i postanowił, ponieważ na najbliższe godziny nie miał żadnych zamiarów, nie stawać dzisiaj na drodze swoim życzeniom. Minąwszy czekający karawan, którego karosze miały na głowach czarno-potakujące pióropusze, wszedł, sam potakującym krokiem, w wąską uliczkę.

Zwykle surowo zamknięte i gęsto zawieszone drzwi zastał teraz otwarte naoścież...

Tymczasem w domu wszystko było już gotowe do obrzędu żałobnego. Trumna stała na katafalku, pokryta luźnemi kwiatami i skromnym wieńcem, gdyż na bogatszą ozdobę nie starczyła już tak szlachetnie odłożona przez Edytę suma.

Co do trumny doszło coprawda między Entreprise des pompes funèbres a panną Edytą do nieporozumienia. Była ona poprostu surową skrzynią, jaką rytuał żydowski przepisuje zmarłym. Bóg sam powiada przecież przez Pismo: „Z prochuś powstał i w proch się obrócisz!" Wszelka ozdoba, wszelkie upiększenie tego nakazanego przez Boga procesu jest więc niepobożne i bluźniercze. Ale gospodyni była zupełnie innego zdania. Trumna musi być piękna i wspaniała, obita srebrem, ozdobiona emblematami, a nie powinno też brakować białej wypustki koronkowej. Grube pieniądze musiała zapłacić, żeby jej dostarczono taką drewnianą skrzynię. To jest, wołała „prawdziwie po żydowsku". Nawet religja służy do tego, żeby robić „grandy" i nabijać klienta w butelkę. Bardzo trudno było przekonać podnieconą gospodynię, że ziemia cmentarza izraelickiego może przyjąć tylko przepisową trumnę.

Damy zebrały się w swojej ubogo zaimprowizowanej, ale zarazem strojnej żałobie. Przyszło też kilka niepozornych osób z sąsiedztwa, które jednak natychmiast wycofały się na zatroskanych palcach do Niebieskiego Salonu, gdzie można się było gratis uraczyć likierem i plackiem serowym. Tam pan Nejedli sprawował honory i niebardzo musiał zachęcać sąsiadów, pracowników Entreprise des pompes funèbres oraz siebie samego do jedzenia i picia.

Niestety nie było żadnego gościa, nikogo z szóstego dragonów, żadnego artylerzysty, intelektualisty, ptaka nocnego, żadnego Schleissnera, żadnego

Pepplera, żadnego Oskara, słowem żadnego zdumionego oka, któreby nie poznało słynnego Wielkiego Salonu. Posadzkę taneczną w przeważnej części zajął katafalk, żarówki świeciły ponuro przesłonięte, amorki nad lustrami przywdziały czarne negliże, krzyż wznosił się u wezgłowia żydowskiej trumny, wielkie świece kościelne paliły się, a wyjątkowo liczna rodzina mocno upudrowanych cór małomieszczańskich w żałobie płakała, gdyż tak należało, gdyż znało się zmarłego, gdyż życie było smutne, śmierć wstrząsająca, a rzadka uroczystość radosna.

Gdy tak czerwone nosy siąkały a wszystko szlochało dokoła, Wielki Salon, ten śmiertelnie czarny pokój, nie miał przeszłości. I znowu minęła niepostrzeżenie chwila, która była nasycona dostojnemi, szekspirowskiemi sprzecznościami życia.

Ale wiecznie nie można było szlochać, siąkać i gapić się na trumnę. Coś się musiało stać, ktoś musiał przemówić, pożegnać zmarłego. Edyta stawała się coraz bardziej zakłopotana. Boleśnie odczuwała brak kapłana, wielką wadę jej imprezy, na którą przecież z takiem wyrzeczeniem się poświęciła okrągłą sumkę. Traciła przytomność, bo jakże bez Boga i świętego obrządku mogła się uroczystość dalej odbywać? Wszystko było wspaniale urządzone, każda oczekiwała wstrząsającego pożegnania, a jednak stało się już za długo dokoła, przykre pytania jakby zagęszczały powietrze; był to cichy skandal. Edyta zagryzała wargi, ale nie znajdowała zbawczego pomysłu. Rzucała wokoło rozpaczliwe spojrzenia...

I oto nagle jej rozpaczliwe spojrzenia padły na prezesa Morè'go, który stał długi i czarny w drzwiach. Żaden z „gości" nie zjawił się. Ale jego przyprowadziło tutaj gorące serce i szlachetny

charakter. Edyta sławiła mądrość losu i duszę Morè'go.

Postać jego zjawiła się jak stworzona dla obchodu żałobnego; teraz nic się już nie mogło stać, gdy przybył ten niezrównany funkcjonarjusz śmierci, którego nazwisko nawet przypominało mors. Gospodyni podbiegła do niego z szeptem i w ciągu dziesięciu sekund sytuacja była uratowana.

Że prezes Towarzystwa Spinozy, mistrz zakonu „Synów Związku" posiadał wybitny dar oratorski, i że agent pomników znał doskonale retorykę cmentarną, to rzecz naturalna. Do tego daru przyłączała się (zwykłe następstwo talentu) nieposkromiona namiętność wygłaszania przy wszelkich sposobnościach, przy otwieraniu i zamykaniu posiedzeń, zebrań, kongresów, przy uroczystych i nieuroczystych okazjach, przy weselach, jubileuszach, pogrzebach i niewinnych wizytach, wszędzie, gdzie się dało i gdzie się nie dało — nieposkromiona namiętność wygłaszania mów! Judyta niemniej była teraz uradowana zgodą prezesa, niż on jej prośbą.

Szybkiem, podejrzliwem spojrzeniem sprawdził, czy nie dostał się tu ktoś niepowołany, jakiś dziennikarz zgoła. Potem dopiero stanął Morè przy katafalku, uniósł głowę, czekając natchnienia, i przymknął bolesne oczy.

Począł teraz wygaszać swoją mowę, która równie dużo i równie mało mogła się nadać dla tego tutaj zmarłego pod całunem, jak dla każdego innego nieboszczyka. Była to jednak, a o to jedynie chodziło, bardzo piękna mowa.

Prezes cytował zaraz na początku Goethego i jego sentencję, że gorliwie dążący człowiek może być zbawiony. Bliskiego niebezpieczeństwa zacytowania w obliczu tylu bajader „ognistych ramion nieśmiertelnych", które „wznoszą marnotrawne

dzieci do nieba", uniknął Morè w ostatniej chwili i uratował się ową mniej ryzykowną strofą, w której nowicjusz domaga się od hurys u wrót raju, „aby go tylko bez ceregieli wpuściły, ponieważ był człowiekiem". Słuchaczki, przejęte zgrozą przez niezrozumiałe dla nich słowa poety, nie zdziwiły się żądaniu prezesa, aby sobie wyobraziły pana Maksia jako gorliwie dążącego i opasanego mieczem szermierza u wrót raju.

Może pan Maksio sam dziwił się temu wyobrażeniu, jeżeli słusznem jest przypuszczenie niektórych nauczycieli wiedzy tajemnej, że „inteligencje" zmarłych obserwują ich własne obrzędy pogrzebowe.

Ale nie skończyło się na Goethem. Mówca powołał się jeszcze na Spinozę, Lessinga, Jezajasza, Haeckla, wprowadzając w ten sposób przy smutnej sposobności najwybitniejszych mężów świata do Wielkiego Salonu na ulicy Gams.

Mowa osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy prezes z po męsku szorstkiem „ty" zwrócił się wprost do zmarłego, przepowiadając groźną burzę przyszłości i sławiąc w zmarłym symbol żądnej użycia, wesołej i swobodnej epoki, która teraz oto leży na marach, aby odejść na zawsze. Niechybnie wolą bożą jest, że trzeba się teraz pożegnać z serdecznym człowiekiem, a może, kto wie, pożegnać także z własną uskrzydloną młodością...

W tem miejscu wzbierający szloch wybuchnął płomieniem głośnego zawodzenia. Ludmiła, ogarnięta beznadziejną miłością, krzyknęła w chusteczkę. I Oskar leżał tam przecież i czekał na pogrzebanie go dzisiaj jeszcze.

Ilonka w nagłem i ponurem szaleństwie biła się w piersi. Mania, twarda córka grabarza, wiła się z bólu. Edyta, w najskrajniejszem przygnębieniu i łzach, klęczała przed katafalkiem. Tylko Greta

zawisła suchemi ale rozpalonemi oczyma na potężnych w słowie ustach mówcy.

Pocieszającym i pełnym namaszczenia zwrotem zakończyła się teraz mowa.

Damy, zbudzone z odrętwienia boleści, zachowywały się niezręcznie jak dzieci lub służące, gdy pan prezes każdej zoddzielna z surową miną współczucia uścisnął rękę.

Najszybciej ochłonęła ze wzruszenia Edyta. Z wdzięcznością odczuwała szczęście, że ta uroczystość, która była przecież jej dziełem i zasługą, miała tak wzniosły przebieg. Ale po tak przejmującem przemówieniu jedynie muzyka mogła jeszcze coś powiedzieć. Gospodyni energicznie pchnęła więc pana Nejedlego do fortepianu.

Okazało się jednak, że z biegiem wielu lat repertuar byłego „c.-k. cudownego dziecka cesarza Ferdynanda Dobrotliwego“ stopniał pokaźnie. Tańce, marsze, przeboje, tak, to mu jeszcze mocno tkwiło w palcach, ale nie można było przecież obchodzić odmarszu zmarłego elektryzującym „Marszem gladjatorów“.

Bardzo kiepsko było z poważną muzyką. Ręce pana Nejedlego nie były zdolne ani do popularnego chorału, ani do Marsza Żałobnego Chopina. Ostatecznie uczuciowy jego program ograniczał się do trzech numerów: „Marsza weselnego“ z „Lohengrina“, arji z „Żydówki“ i „Barkaroli“ z „Opowieści Hoffmanna“.

Stary bez wahania odrzucił Lohengrina i zdecydował się na „Żydówkę“:

„Boże mój, usłysz mię!
Usłysz mię, Boże mój!“

Nikt się nie zgorszył żywą, prawie wesołą namiętnością tego allegro, a gdy Nejedli przemodulował nawet po zabronionych manowcach do „Barka-

roli", wszyscy spojrzeli po sobie, gdyż Barkarola była przecież ulubioną muzyką Maksia, przy której zawsze „musiał płakać jak maleńkie dziecię". — Żarliwiej, promienniej nie mógł się obchód żałobny zakończyć, jak temi wiecznemi dźwiękami, ślizgającemi się na uwieńczonych świetliście barkach po ponurej wodzie:

„O nocy słodka, nocy miłosna,
O ukój moje pożądanie..."

Tragarze z trumną stękali i tupali obok złoconej Wenery i Trębacza z Säkkingen po chorych, kaszlących schodach. Damy szły za nimi. Ale już nie tony żałobne było słychać, lecz szepty i ciche chichoty. Przedtem, tak, przedtem wypłakały się, aż zbrakło łez. Łzy gaszą boskie pragnienie naszej duszy i dlatego jesteśmy szczęśliwi i syci, gdyśmy się wypłakali.

Damy były szczęśliwe i syte. Co więcej, pełne były radosnej dumy, która wyrasta ze wszelkiego udanego dzieła.

IX

Firma Blum nietylko przy organizowaniu obrzędu pogrzebowego odznaczała się prawdziwie ekspresową robotą, podobnież wyróżniała się także przy zdejmowaniu swoich kotar, obić, draperyj i podestów. Szybko uskuteczniała zmianę sceny między śmiercią a życiem, jak dobry dekorator sceniczny.

W tym szczególnie wypadku pośpiech był niezmiernie wskazany, gdyż wieczorem już dom miał być znowu otwarty dla rozrywek, a żaden ślad śmierci nie powinien działać przygnębiająco na duszę gości.

Szybkość była tu rzeczywiście czarnoksięstwem. Zaledwie kondukt ruszył, wszystkie okna otwarły się, krzyki i uderzenia młotów zabrzmiały na nowo, a Wielki Salon, uwolniony ze swoich nienaturalnych okowów, przybrał znowu własny charakter. Także zapach domu, zmącony przez kadzidła, dym świec i nienaturalne wyziewy, powróciwszy do dawnej postaci, rozpanoszył się znowu w sieni. Gdy po dwóch godzinach uczestnicy pogrzebu powrócili karetami z cmentarza, na salach nie pozostało już widocznego cienia, były to znowu dawne sale.

Z lekkiem uczuciem obcości kroczyły damy po staro-nowych komnatach, gdyż każdy dom mieszkalny ma swoje epoki, a mieszkańcy czują to. Między dzisiaj a dzisiaj leżała przepaść, ział grób, do którego przed godziną spuszczoną nagą, nieheblowaną skrzynię.

Prezes Morè powrócił z całem towarzystwem z pogrzebu. Tam w Olszanie, gdzie był znaną osobistością, trzymał się ze względu na swoją opinję nieco na uboczu, ale powściągliwość tę można było sobie tłumaczyć jako cichą skromność.

Ze względu na swą wstrząsającą mowę pogrzebową zażywał prezes bezgranicznego szacuku. Dziewczęta spoglądały na niego z lękliwem zmieszaniem. A przytem był on jedynym z „gości", który zdobył się na ludzki stosunek do nich i ich życia. Nic innego nie miał przecież na celu, przybywając tu dzisiaj, jak oddać zmarłemu ostatnią posługę, a pogrążonym w żałobie wyrazić współczucie.

Panna Edyta potrafiła w całej pełni ocenić okazany im zaszczyt. Ze szczerą wdzięcznością w oczach podeszła do Morè'go, czule ujęła jego dłoń i oświadczyła, że wie teraz, k t o z przyjaciół domu jest prawdziwym człowiekiem i mężem serca.

Prezes żałobnie wzruszył ramionami i odpowiedział, że zna życie i zdaje sobie sprawę z biegu świata. Że jednak — jeśli już nikt inny — doktór Schleissner nie przybył tu dzisiaj, to wprawia go w zdumienie.

Edyta dała do zrozumienia, że mężczyzna pozostaje mężczyzną i nie ma innych celów na widoku, jak męskie świństwa. Prezes jest wyjątkiem. Odrazu to w nim wyczuła. Jej nikt oszukać nie potrafi; nie posiada ona nic, ale znajomość ludzi też jest niezłym kapitałem.

Wówczas łzy napłynęły do oczu poważnego poczciwca, gdyż los dał mu sposobność zachowania się daleko cnotliwiej, niżeli ta znawczyni ludzi naogół spodziewała się po mężczyznach. Prawdziwy powód jego przybycia poszedł w zapomnienie. Począł wierzyć, że sprowadziła go tutaj dzisiaj sama humanitarność, której klasycznym mistrzom i arcydziełom służył niezmordowanie.

Damy otaczały posępnie-dostojną postać kołem niby nauczyciela, nadsłuchiwały jej słów i teraz jeszcze nie ważyły się na odpowiednie do miejsca frazesy i uwagi, chociaż Ilonka odczuwała nieposkromioną wprost chętkę wplecenia do rozmowy kilku soczystych zwrotów ze swego żargonu zawodowego.

Wielki Salon, którego okiennice, jak przystało, były zamknięte, spowity był znowu we właściwe sobie oświetlenie i czerwonym pluszem, marmurowemi stolikami, renesansowemi zwierciadłami i świeżo nawoskowaną posadzką czekał na wrzawę nocy. Stopniowo poczęły dziewczęta mimo swych sukien żałobnych próbować kołyszącego się kroku wieczornego, którego unikały przez trzy dni.

Nie było tylko Ludmiły, która pozostała gdzieś na przedmieściu, aby odwiedzić krewnych.

Prezes, uprzejmie zadowolony z siebie samego, zastanawiał się długo, czy jako solidny kupiec nie powinien i w tym domu rozejrzeć się za klientelą. Mimo pewnych skrupułów moralnych doszedł do wniosku, że byłoby oznaką zanikającej dzielności i zgnuśnienia w interesach, gdyby w tak pomyślnych okolicznościach wypuścił z rąk klienta. Dodał więc sobie bodźca i począł przemawiać znowu, tym razem bez patosu, ale za to z dźwięcznym tonem serdecznym.

— Dzieci, — tak mniejwięcej brzmiała jego przemowa, przyczem kazał Grecie i Anicie usiąść obok siebie i wydał westchnienie, — człowiek umiera i wszyscy my umrzemy. Czy to umieranie jest miłe czy nie, tego nie wie nikt, a kto to wie, dzieci, ten także już nie wie. Dobrze! Trzeba się z tem pogodzić. Ale sprawa ma inny jeszcze haczyk...

Głos jego brzmiał teraz brzemiennie wiedzą i zrezygnowanie:

-- Mogiła taka, gdy się nią nie opiekować, za-

pada się, a daję wam słowo, że w ciągu kilku miesięcy obróci się w kupę gnoju. Mówię z doświadczenia.

Mania potwierdziła to i Morè ciągnął:

— Ale staranie o mogiły, moje damy, kosztuje pieniądze; chociaż to takie szpetne, to jednak w s p o m n i e n i e kosztuje pieniądze. Kto daje te pieniądze? Przyzwoici i szlachetni krewni! Ale jeżeli człowiek nie ma nikogo, co wtedy?!

Prezes wymownie przenosił wzrok z jednej na drugą, zanim się zdecydował ugodzić w serca:

— Co wtedy?! Zapytajcie siebie samych, czy kiedyś będziecie kogoś miały!

Argument tkwił. Kogo one będą kiedyś miały?! Szpital, przytułek, anatomja, a w najlepszym razie twardy kawałek chleba — tak brzmiał koniec bajki, którą im opowiadano tak często. Prezes uśmiechnął się po ojcowsku:

— Ano, pan Maks Stein ma przynajmniej zamiast rodziny tak serdeczne dziewczęta jak wy. Ale gdzie się rozproszycie w przyszłym roku? Nie możecie tego wiedzieć!

I ten argument tkwił. Dzisiaj pracowało się na pierwszorzędnej ulicy Gams i jadało się srebnem nakryciem. Ale lata mijają, a nie każda może awansować na gospodynię, zaś główne wygrane na loterji są w życiu bardzo rzadkie. Bywały dziesiątki Mań, Anit, Ilonek, które spadały do jakichś „Napoleonów", a potem coraz niżej i niżej staczały się na prowincji.

Prezes nie chciał nikogo zasmucić, rysy jego rozjaśniły się nagle:

— Przyszła mi właśnie do głowy doskonała myśl! A możebyście tak urządziły między sobą małą zbiórkę, aby umieścić zmarłemu na grobie pomniczek z jego nazwiskiem? Mówię z doświadczenia! Taki marmur (oczywiście nie musi to być

akurat marmur, piaskowiec naprzykład też się bardzo dobrze prezentuje), ale marmur przedewszystkiem zachowuje grób w wiecznej młodości. Oczywiście najgustowniejsze wykonanie, bez jakichkolwiek rzeźb, prosty złoty napis! I kto wtedy przejdzie po wielu latach i przeczyta: „Maks Stein“, powie „aha“ i przypomni sobie. Jak sądzicie? Może otworzymy małą kwestję? To znaczy tylko w tym wypadku, jeżeli mój pomysł rzeczywiście się wam spodobał. Bo mnie samemu jest to przecież obojętne. Ale myślę o wszystkiem i przypadkowo przyniosłem z sobą cennik. Od trzystu koron wzwyż otrzymuje się już wcale przyzwoite pomniki...

Z serc dam nie ustąpiło jeszcze przygnębienie ostatnich dni. Jeszcze się na posadzce Wielkiego Salonu nie czuły jak w domu. Obraz cmentarza stał im przed oczyma. Pytanie: „Kogo wy będziecie miały?“ brzmiało jeszcze w ich uchu. Chętnie wykupiłyby się od myśli o losie, który straszliwiej im przecież groził, niż innym ludziom. A czyż śmierć nie jest owem zjawiskiem natury, które u prostych ludów i osób budzi popęd do składania ofiar?

Słowa Morè'go padły więc na żyzną rolę. Mniej lub bardziej gorliwie udały się wszystkie do swoich pokojów. Gotówkę i oszczędności liczono i znowu liczono. Zależnie od miary wspaniałomyślności, wiary, skąpstwa i hojności padały składane ofiary.

Valeska, najpróżniejsze i najpoczciwsze serce ze wszystkich, zjawiła się, czy to dlatego, że zbiórka zastała ją przy przebieraniu się, czy tylko, że czuła potrzebę ukazania się w całym swoim przepychu, słowem, zjawiła się zupełnie nagusieńka, aby osobiście wręczyć przedstawicielowi handlowemu śmierci dwadzieścia pięć koron swojej daniny dla śmierci. I co dziwna! Gdy w ciągle jeszcze posępnym nastroju Wielkiego Salonu rozkwitła radosna barwa cielista tej postaci kobiecej, zdawało się, że

po raz pierwszy od śmierci Maksia powraca on rzeczywiście do swego charakteru. Wyczerpany salon uśmiechnął się lekko i z wahaniem zaczerpnął oddechu, jak chory, którego stan zwraca się ku życiu. Zaś Valeska w oszołomieniu obracała się wokół własnej osi. Był to luby, napawający otuchą widok.

Podczas następnego kwadransa prezes Morè wciągnął większość dziewcząt ich mieszczańskiemi nazwiskami i z odpowiedniemi sumami na listę ofiar. Tylko panna Edyta, która zrobiła już swoje, i Mania, wtajemniczona, która znała się na tem oszustwie, odmówiły udziału.

Agent pomników mógł wciągnąć do notesu piękne zamówienie i uczynił — wzruszony sobą samym — coś więcej jeszcze, zmniejszywszy swoją prowizję ze zwykłych piętnastu procent na siedem i pół.

Nadeszła pora przebierania się, a wraz z nią Figaro. Zwykłe podniecenie ogarnęło damy. Z piskami tłoczyły się po schodach na piętro garderób. Potężnie zabrzmiało ulubione soczyste słowo Ilonki, które wykrzyknęła teraz radośnie z uwolnionej od ciężaru piersi.

Tylko Greta pozostała w salonie obok prezesa. Ujęła jego rękę.

— Więc! Wielka dziura! I tam człowieka wrzucą! Błoto i gotowe!

Przewodniczący Towarzystwa Spinozy, nie wyjawiając wyraźniej swego światopoglądu, zaoponował krótko:

— To nie jest najistotniejsze!

Greta zdziwiła się:

— Powiedzno, prezes, nie wierzysz chyba w niebo, jak Edyta?

Prezes ograniczył się do powtórzenia za doktorem Faustem:

— I widzę, że nic wiedzieć nie możemy.

Ale Greta nie doszła jeszcze do końca swojej metafizyki. Spojrzała na Morè'go bystro, podkreślając każde słowo:

— Jeżeli możliwem jest, abyśmy się dostali do nieba, to dlaczego pada zawsze, gdy się kogoś grzebie?

Triumfowała. Ale prezes utrącił jej subtelny sylogizm zawodowem doświadczeniem:

— Przeżyłem już w swojej praktyce piękne dni pogrzebów.

Greta zapytała nagle:

— Ty, prezes! Co powiedział Spinoza?

— Bardzo wiele powiedział, moje dziecko!

— Czy to Spinoza napisał: „Sir, daj wolność myśli!?"

— Nie, to Schiller. Ale Spinoza myślał zupełnie tak samo. Powiada naprzykład: „Szczęście jest cnotą, nie jej nagrodą!"

— Szczęście nie jest jej nagrodą! Moją też nie! To bajeczne, prezes...

Greta zachłysnęła się z rozkoszy nad cytatą Morè'go.

Głos jej stał się bardzo żarliwy:

— Spinoza, to Hiszpan, co? Ja też kiedyś miałam Hiszpana... Nie, dwóch!

Prezes pouczył ją:

— Spinoza był Holendrem.

Greta skrzywiła się z odrazą:

— Holender! Tfu, do licha! Nie znoszę Holenderów. W Hamburgu, wiesz, było wtedy wielu Holendrów...

Prezes, którego myśli z zatroskaniem bawiły przy polityce, krótko przerwał jej zwierzenia:

— Spodziewam się, że pozostaną neutralni.

Teraz Greta przysunęła się blisko do mężczyzny:

— Ty, prezes! Czy ty właściwie wiesz, że ja na

ciebie lecę? Lecę o wiele więcej na ciebie, niż na tego Schleissnera! Jak można się nazywać Schleissner? Musiał pewnie kupę forsy zapłacić za to „l“ w swojem nazwisku? Co? Wspaniale to było z twojej strony, że przyszedłeś dzisiaj, prezes!

Prezes uśmiechnął się pobłażliwie i powoli głaskał wielką, owłosioną ręką długie nogi Grety. Dziewczyna westchnęła na jego piersi:

— Zostaniesz moim kochankiem i nie potrzebujesz mi dawać pieniędzy.

Ale pod tym względem źle znała prezesa.

Wstał, prostując się w całej wysokości i oznajmił, że jest gościem jak wszyscy inni i rezygnuje z tego, aby stanowić wyjątek. Chętnie uda się z nią teraz do jej pokoju. Ale podarunków nie przyjmuje. Skąd ona do tego i skąd on do tego. Porządek musi być!

Para znikła.

O tej samej porze Edyta otrzymała od Ludmiły wiadomość, że nie powróci ona już na ulicę Gams.

X

Na tem muszą się z konieczności skończyć te krótkie i pobieżne notatki, gdyż historja starodawnego i czcigodnego domu na ulicy Gams *kończy się* na tem.

Pokaźną kronikę „ostatnich dni“ obejmują nasze kartki, jeżeli się bez jakiegokolwiek marzycielstwa historycznego przyjmie, że ten słynny dom założony został po bitwie na Białej Górze. Wspaniałe przypuszczenie, że już trzysta lat wcześniej cesarz nieznanych mężów przypisuje ona promiennemu należy zapewne tylko do świata legendy. Ale na tem polega właśnie istota chwały; nawet czyny i dzieła nieznanych mężów przypisuje ona promiennemu nazwisku. Dlaczego Karol, wielki budowniczy miast, któremu zawdzięczamy Nowe Miasto, uniwersytet i Stary Most, nie miał też położyć kamienia węgielnego pod Wielki Salon na ulicy Gams?

W każdym razie potężne epoki i sędziwy wiek dane były temu salonowi między wojną trzydziestoletnią a światową. Ten wspaniały wiek zasługiwałby na bardziej romantyczny kres, niżeli wygaśnięcie w osobie dekadenckiego, nawpół zidjociałego „ostatniego potomka“. Ale czyż potężne mocarstwa świata giną efektowniej? Zdaje im się, że trwają, wiodą wojny, a zanim się spostrzegą jak, zostają poszarpane i podzielone jako łup.

W owej paradoksalnej chwili, gdy pan Maksio leżał w Wielkim Salonie na marach, dopełnił się los zakładu, chociaż wlókł się on jeszcze do prze-

wrotu. Dziedzice byli do niczego. Dowodzi tego dostatecznie okoliczność, że panna Edyta, najpobożniejsza i najrozważniejsza ze wszystkich gospodyń, już w pierwszych dniach nowego reżimu zgłosiła swoją dymisję. Dymisja ta i surowość nowych mężów stanu dobiły przedsiębiorstwo.

Dom stoi jeszcze. Ale zdobył go okoliczny handel skór, a nawet charakterystyczna, nieprzezwyciężona niegdyś woń przedsionka została podobno, według wiarogodnych pogłosek, całkowicie wytrzebiona przez zapach juchtu.

Każda zresztą śmierć jest wyższym wyrokiem i nic nie umiera, jeśli nie nadeszła właściwa chwila. Gdy się dzisiaj idzie nocą przez zalane potokami blasku reklam świetlnych ulice, czyta się na każdym rogu napisy lokali, poświęconych nie radości, ale tańcowi. Saksofon murzyna skrzeczy. Przez jaskrawe portale wchodzą i wychodzą prawdziwe damy, a ich wspaniałe, obnażone kolana kuszą wyraźniej, niż to było nawet niegdyś we zwyczaju na ulicy Gams.

Strapione, pozbawiona chleba przez nieksiążkowaną i bezgraniczną wprost rywalizację, sunie znużona nierządnica uliczna po opuszczonym odcinku. Kto wie, czy wogóle istnieją jeszcze domy publiczne? Można więc opisowi naszemu, jeśli nie żadną inną, przypisać przynajmniej wartość historyczną.

O nieważne losy nader nieważnych osób nikt się troszczyć nie będzie. Odgrywały one wszak na tym obrazie tylko rolę sztafażu. Pytanie takie wprawiłoby zresztą zapytanego w zakłopotanie. Naturalnie wyrecytowałby natychmiast:

— Czy pan wie, że Oskar stał się wielką znakomitością i posiada najpiękniejszą willę w pewnem amerykańskiem mieście filmowem?

Ale pytanie to byłoby zbyteczne, bo przecież każdy Zulus zna Oskara z filmu.

Natomiast Ludmiłę widuje się kilka razy tygodniowo na wszystkich ważniejszych premjerach w teatrach miasta.

Nie przytyła właściwie, tylko w walce z podwójnym podbródkiem zanosi się snać na to, aby podwójny podbródek został zwycięzcą. Ciągle jeszcze można ją nazwać ładną. Jej wysmukłe, klasyczne nogi, wspierane przez modę, święcą na ulicy codziennie triumfy.

Starzy jej znajomi oddawna zrezygnowali z prób kłaniania się jej. Ludmiła odpowiada na ukłon tych tylko panów, których poznaje, a właśnie swoich starych znajomych nie poznaje. Z wysiłkiem dziecięcych oczu spogląda im w twarze, których sobie — choćby się niewiedzieć jak z wtajemniczeniem uśmiechały lub schlebiały — mimo najlepszej woli nie może przypomnieć.

Nieinaczej stało się ostatnio z Oskarem, który znajduje się w podróży triumfalnej po Europie. Spoglądające z wysiłkiem oczy dziecięce nie poznały go i nie wyczytał w tych oczach nic, prócz znudzonego zdziwienia światowej damy przy natarczywych spojrzeniach. Ale on przez długą chwilę był zmieszany i nie mówił nic, co dowodzi znowu, że mężczyzna jest bardziej próżny niż kobieta.

Któżby wyrzucał Ludmile jej złą pamięć?

Wojna zmyła wraz z krwią i inne jeszcze wspomnienia. Ludmiła jest zresztą oddawna żoną poważanego posła republiki. Przypadek chciał, że w entuzjastycznych dniach przewrotu był on członkiem owej komisji parlamentarnej, która pod przewodnictwem znanej szermierki praw kobiecych zniosła „skoszarowaną prostytucję“, a tem samem zadecydowała także o losie Wielkiego Salonu.

Małżonek pani Ludmiły uchodzi za idealistę, dotychczas nie był uwikłany w żaden z licznych skandali korupcyjnych i, jak powiadają, rokują mu wielkie nadzieje polityczne.

Można więc jej i państwu życzyć szczerze, aby przy tworzeniu najbliższego gabinetu został ministrem.

KONIEC